Październik—Listopad—Grudzień 1935

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

TRYBUNA POLSKIEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

Nr. XLVI

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12,
w dzierżawie Spółki Wydawniczej Czasopism, Sp. z o. o.

2

TREŚĆ:

Str.

Redakcja — Pomnik Marszałka i rozbudowa stolicy . . 5

Publicysta — Upadek siódmej potęgi 8

Inauguracja Sekcji gospodarczej Związku Polskiej Myśli Państwowej 20

Zasadnicze postulaty Gospodarcze Z. P. M. P. 79

Józef K. Paygert — Dzisiejsze postulaty rolnictwa . . . 85

Sekcja gospodarcza Z. P. M. P. — O stworzenie Obywatelskiego Frontu Gospodarczego 103

„Święta Żmudź". Na marginesie rozważań geopolitycznych 117

Pod sztandarem Królowej Jadwigi (odezwa Sekcji szerzenia kultu Kr. Jadwigi) 130

Dr. Jan Bobrzyński — Sojusz antybolszewicki 141

PRZEGLĄD POLSKO - WĘGIERSKI:

Prof. Adrjan Divéky — Dziejowe wskazania polskiej i węgierskiej racji stanu 155

Eugenjusz M. Schummer — Moja podróż węgierska . . . 188

Prasa węgierska o nas i wspólnej granicy 203

PRZEGLĄD POLSKO - RUSKI:

Redakcja — W imię prawdy dziejowej 208

DZIAŁ BELETRYSTYCZNY:

Amelja Łączyńska — Dachy płoną. Powieść ziemiańska z ostatniej doby (c. d.). 229

4

POMNIK MARSZAŁKA I ROZBUDOWA STOLICY.

Kto z wielkich stolic zagranicznych przybywa do Warszawy i przejedzie miasto wzdłuż i wszerz, ten skonstatuje wprawdzie, że stolica Polski jest du=żem miastem, ale zarazem, że brak w jej rozplano=waniu i rozbudowie tej okazałości, jaką nawet mniej=sze co do liczby ludności miasta na Zachodzie nieraz poszczycić się mogą. Smutna to konsekwencja dłu=goletnich rządów zaborczych, które zepchnęły War=szawę do stanu tylko większego prowincjonalnego miasta.

To też z wielkiem zadowoleniem przeglądamy przesłany nam uprzejmie przez p. Prezydenta m. Warszawy, wiceministra Stefana Starzyńskiego, ja=ko przewodniczącego „Stołecznego Komitetu budo=wy pomnika Marszałka Józefa Piłsudskiego w War=szawie", ilustrowany komunikat w formie broszury z doskonałą fotografją ś. p. Marszałka na okładce, zawierający rozległy projekt rozbudowy południo=wej części miasta na skalę prawdziwie wielkomiej=ską i to w dostosowaniu do wspaniałego pomnika Wodza Narodu, mającego stanąć w gwieździe krzy=żujących się wielkich alei — na obszernym placu przy skrzyżowaniu Alei Ujazdowskiej z innemi, już istniejącemi i projektowanemi arterjami.

Załączone plany z opisem wyczarowują przed nami wspaniałą wizję, o tyle już realną, że plany te zatwierdzone zostały — w uzgodnieniu z Magistra=tem Warszawy — nietylko przez Komitet Stołeczny budowy pomnika, ale i przez Naczelny Komitet uczczenia pamięci Marszałka pod przewodnictwem

p. Prezydenta Rzeczypospolitej, oraz, że na sam pomnik zebrano już znacznie ponad dwa miljony zł.

Sześć wielkich ulic zbiegać się będzie u stóp pomnika, a z tych zwłaszcza jedna wspaniała, szeroka arterja, mniejwięcej prostopadła do Aleji Ujazdowskiej, ozdobiona w dalekiej perspektywie wielkim łukiem tryumfalnym—jak w Paryżu wielki łuk Napoleona na placu Gwiazdy—kończyć się będzie jeszcze dalej, na polach Mokotowskich, wspaniałą Świątynią Opatrzności, ustanowioną jako niewykonane dotąd votum Sejmu Czteroletniego, na którą także już dość poważne początkowe zebrano fundusze.

A w przedłużeniu tej wspaniałej perspektywy, której bok jeden przechodzić będzie obok specjalnie urządzonego pola defilad i Pola Chwały na Mokotowie dokoła małego kopca, zachowanego na pamiątkę, jako miejsce ostatniego postoju w Warszawie trumny ś. p. Marszałka na lawecie armatniej, inna wyczaruje się zjawa — ta już z dalekiej przeszłości: zamek Książąt Mazowieckich, t. zw. pałac Ujazdowski (jako postawiony ongiś u Zjazdu do Wisły), sięgający fundamentami dwunastego wieku.

Zamek ten, kilkakrotnie w ciągu wieków przebudowywany, stanowi dość potężny czworobok z wyczółkami basztowemi na czterech rogach, w gąszczu parkowym szpitala Ujazdowskiego i jego gmachów, a sam mieści wojskową szkołę sanitarną. Otóż szpital ma zniknąć, przeniesiony gdzieindziej, znikną zasłaniające przeszkody, a w otworzonej od pomnika perspektywie ukaże się odpowiednio odrestaurowany zamek, z imponującym zajazdem, wśród parku, spadającego ku Wiśle. Zamek — muzeum.

A cały ten wielki plan, który możemy tu szkicować oczywiście tylko w głównym zarysie, będzie wspaniałym nietylko przez szeroki rozmach architektury, przestrzeni i perspektywy, ale i jako wciele-

nie historji: prastary zamek Książąt Mazowieckich, pomnik pierwszego od wieków Wodza polskiego, który odniósł zdecydowane zwycięstwo nad Moskwą, potem łuk tryumfalny, którego w Polsce nigdzie dotąd niema, potem Pole Chwały, wreszcie Kościół Opatrzności Bożej nad Polską. Historja ośmiu wieków!

Będzie nareszcie można sceptycznemu cudzoziemcowi pokazać w Warszawie coś naprawdę okazałego i spieszyć będą tłumy od brodu Wisły pod kasztelem dawnych książąt i późniejszych królów, defilując w hołdzie przed pomnikiem Marszałka i przez Pole Chwały, aby w Świątyni Opatrzności składać dzięki za cud nad Wisłą.

Redakcja.

UPADEK SIÓDMEJ POTĘGI.

Jak wiadomo, sześć było w przedwojennej Europie wielkich mocarstw, podzielonych na Trójprzymierze i Trójporozumienie. A za siódmą potęgę uważaną była — Prasa. I słusznie, bo miała wówczas istotnie olbrzymi, pod niejednym względem kierujący wpływ na bieg wypadków. Oczywiście tylko prasa poważna. Obok niej istniała także prasa brukowa, rewolwerowa, ale ta, aczkolwiek przez szerokie tłumy gawiedzi chciwie czytywana, żyjąca sensacją, schlebianiem gorszym instynktom tłumu i różnymi, często niezbyt pochlebnymi procederami, uważana była przez poważniejszą prasę i przez poważniejsze sfery opinji publicznej za to, czem była w istocie: za publicystyczne rewolwery, strzelające bardzo dymiącym prochem, często cuchnącym.

Była ostra granica między tonem, treścią i kulturą publicystyczną poważnego dziennika, bez względu na jego odcień polityczny, a rewolwerowem piśmidłem. I dlatego poważna prasa i publicystyka mogła utrzymywać się rzeczywiście na poziomie potęgi, z którą każdy musiał się liczyć.

Wojna światowa — czyli kilkoletnie rozpasanie i rozwydrzenie ludzkości — popsuło dobre obyczaje i nie oszczędziło także i prasy, spychając ją wdół, najpierw pod względem różnych metod polemiki i publicystyki wogóle, a w naturalnej konsekwencji także i z piedestału dawnego nimbu potęgi. Wskutek tego dzisiaj z prasą daleko mniej już ludzie się liczą, daleko mniej chylą czoła przed jej ongiś kierującym, jowiszowym głosem, a zato coraz częściej tylko obawiają się jej, aby nowoczesnemi metodami

sensacji dziennikarskiej — zwanej obłudnie „obowiązkiem publicystycznym“ — nie być wciągniętym w jakąś nieprzyjemność, albo nawet być obrzuconym błotem.

Powojenny upadek obyczajów zaczyna coraz bardziej zacierać różnicę między organem prasy poważnej a rewolwerowej i dlatego — właśnie dlatego — dawna potęga prasy sypie się w gruzy, mimo wszelkich pretensji jej wydawców i redaktorów. Nawet najważniejszy, kardynalny obowiązek redakcyj i publicystów prasowych: dobra informacja o ludziach i rzeczach, w zupełnem jest zaniedbaniu. Bardzo często pisze się o czemś, czego zupełnie się nie zna, albo tylko z t. zw. „dobrze poinformowanego źródła“ — czyli z plotek, zebranych u osób, nie mających o danym przedmiocie zielonego pojęcia.

A przedewszystkiem: ten jakiś, nieznany dawniej w poważnej publicystyce, ordynarny, karczemny, chamski styl i więcej, niż styl, bo wprost system traktowania spraw, dyskusji i polemiki. Wrazie różnicy zdań w jakiejś np. ważnej sprawie publicznej, zamiast rzeczowej argumentacji i przytaczania istotnie przekonywujących dowodów, na dobrej znajomości przedmiotu i szerszym horyzoncie publicystycznym opartych, rzuca się odrazu karczemnemi wyzwiskami i błotem. Dawniej poważna polemika prasowa robiła historję, dzisiaj zbyt często robi — gnojowisko (przepraszamy za nowoczesne, częste dziennikarskie wyrażenie!).

Gdy dwa dzienniki ze sobą polemizują, to często wcale nie rzeczowymi argumentami, które mogłyby na serjo zaciekawić czytelnika i pobudzić go do poważnego myślenia w danej kwestji, ale zaczynają dyskusję w takim n. p. tonie:

„Wstrętne, brukowe piśmidło, wychodzące w......,ośmiela się smarować wierutne, kłamliwe bzdury,

atakując nasz pogląd, który z obowiązku dziennikarskiego podaliśmy naszym czytelnikom na podstawie informacji z najkompetentniejszych źródeł. Ale nie mamy ochoty zadawać się z chuliganami, redagującymi to pisemko, indywiduami z pod ciemnej gwiazdy...“ i tak dalej w tym tonie. I z takim tonem „dyskusji spotykamy się niezawsze tylko w prasie drugorzędnej!

Ale niedość na tem. Dzisiejsza prasa polska — są oczywiście chwalebne wyjątki od tej reguły — zarówno codzienna, jak wogóle perjodyczna, poszła dalej jeszcze w „nowoczesnym“ systemie, wielce szkodliwym dla niej samej i ośmieszającym dobre imię Polski wobec szerokich mas w kraju i wobec zwłaszcza zagranicy. Czytając bowiem codziennie szereg poważnych gazet lub innych perjodyków polskich, a przynajmniej mających pretensje do powagi, odnosi się wrażenie, że wszyscy wybitni Polacy przed wojną i po wojnie, uważani przez ogół za zasłużonych synów Ojczyzny, to był, czy jest zbiór ciemnych figur, służących dawniej tylko zaborcom, a dziś tylko karjerze, których więc pamięć i działalność winna być przez „nowoczesnego Polaka“ stanowczo „zdemaskowana“ i potępiona i od której z patetyczną dumą patrjotyczną odcina się i odżegnywa oczywiście pan redaktor danej gazety, dając do zrozumienia czytelnikowi, że to on dopiero jest tym prawdziwie czystym i prawdziwie zasłużonym synem Ojczyzny!

Zaprawdę, gdyby opracować dzieje naszych wybitnych ludzi z ostatniego półwiecza według informacji naszej, nieraz nawet poważnej prasy, to historyk doszedłby wnet do przekonania, że tych wszystkich mężów należałoby w czambuł zamknąć do więzienia, a tylko panów redaktorów różnych gazet ozdobić orderem Polonia Restituta!

Ale i na tem nie koniec. Bo oto od pewnego czasu zapanował w niektórych redakcjach dość poczytnych dzienników istny szał „niepodległościowy". Wielu chce się ex post wywindować na piedestał proroków i protagonistów niepodległości polskiej z czasów zaborczych, kiedy nikomu jeszcze o tem w kraju się nie śniło — oprócz oczywiście danemu redaktorowi, który na dwadzieścia pięć lat przed wybuchem wojny światowej wszystko świetnie przewidział i „pierwszy" informował o tem czytelników, krusząc kopje o sprawę niepodległości wśród „panującego wówczas serwilizmu trójzaborczego" ogółu rodaków. Ażeby zaś ułatwić sobie to wywindowanie się na piedestał „ex-post - niepodległościowca", szkaluje się wielkich, prawdziwie zasłużonych pod obcym zaborem dla sprawy polskiej ludzi — mężów prawdziwie wybitnych, wielkiej wiedzy, zasługi i poświęcenia — jako „lokajów" rządów zaborczych, zdrajców sprawy narodowej, apuchtinów, murawiewów, czy metternichów i wogóle czarnosecinnych wrogów polskości. wolności i wszelkiego postępu.

Takiemi to metodami wyjeżdża pan redaktor wraz ze swoim poczytnym dzienniczkiem na platformę bohaterstwa narodowego, a żeby jeszcze złożyć „niezbite" dowody swego daru proroczego, odwagi cywilnej i zasługi, przedrukowuje co pewien czas sprytnie wybrane fragmenty swoich artykułów z czasów przedwojennych. Są tam istotnie ataki na rząd, na różnych dygnitarzy, na warunki i stosunki, obrona ludu, ojczyzny i t .p. Niezorjentowany lub łatwowierny czytelnik może istotnie nabrać po takiej lekturze z jednej strony szalonego respektu dla pana redaktora, z drugiej zaś wstrętu do całej Polski przed datą założenia owego dzienika i do wszystkiego, co było i jest w Polsce poza redakcją tegoż dziennika.

Wszak wyczyny tego rodzaju są sprytnie obliczone na głupotę i bezmyślność ludzką.

Ubawiło nas serdecznie — choć w istocie nader smutnym było objawem — niedawne wystąpienie pewnego, wielce ambitnego organu prasowego, który właśnie szczególnie stara się o taką moralną posadę ex-post - niepodległościowca w bezkrytycznych sferach opinji publicznej. Aby to sobie ułatwić i zasługę swą tem jaskrawiej udowodnić, wyciągnął z tromtadrackiego lamusa redakcyjnego — z tego samego lamusa, gdzie spoczywają na sezon ogórkowy bajki o wężu morskim lub znanej kaczce — starodawną fabułę endecko-radykalistyczno-demagogiczną o „galicyjskiej ochranie" z okresu rządów Bobrzyńskiego i o „krwawych wyborach drohobyckich". Aby udowodnić czytelnikom swą gorliwość patrjotyczną i swą niby niezmienną od początku swego istnienia linię postępowania, przytacza pod sensacyjnymi, jak wyżej, nagłówkami fragmenty paru swych artykułów przedwojenych, które mu wówczas przepuściła austrjacka, a raczej czysto polska, aż nazbyt liberalna cenzura w owych czasach, bez porównania liberalniejsza dla ówczesnej polskiej prasy, nawet rewolwerowej, niż dzisiejsza cenzura w wolnem i niepodległem państwie. Istotnie, białe miejsce w dzienniku po skonfiskowanym artykule należało wówczas do rzadkości pod polskimi rządami w Galicji.

Tymczasem rzeczywista rzeczywistość ówczesnych stosunków wogóle, a pana redaktora i jego dziennika w szczególności, całkiem była inną, niż ją dzisiaj dziennik ów wygrzebywaniem dawnych artykułów stara się przedstawić, względnie — o ile chodzi o niego — wyidealizować. Sens bowiem i właściwa tendencja zarówno tych artykułów, jak i całego danego dziennika wcale nie były i nie mogły być naprawdę niepodległościowe. Niepodległościowego

dziennika nie było wówczas na ziemiach polskich, jak długie i szerokie. Prawda, że idea niepodległościowa zawsze żywą była w polskiem społeczeństwie i to gdzieindziej z pewnością więcej, niż w redakcjach różnych rewolwerowych pisemek, gdzie przecież chodziło o najrealniejszy zarobek dziennikarski i gdzie nieraz za pieniądze wszystko można było pisać, dziś to, jutro całkiem coś przeciwnego. Wiadomo, jak to bywa, nie potrzeba dowodów, ani argumentów! Ale o bezpośredniem realizowaniu idei niepodległościowej, o poświęceniu się jakiejkolwiek redakcji jakiegokolwiek dziennika w walce o tę sprawę nikomu w Polsce wówczas nawet się nie śniło — za jednym jedynym wyjątkiem Józefa Piłsudskiego i jego kilku, czy kilkunastu najbliższych, zakonspirowanych towarzyszy. Bo i jakże śnić się mogło o tem na serjo redaktorowi legalnie wychodzącego dziennika, myślącemu bardzo trzeźwemi kategorjami, wobec wielomiljonowych armii zaborczych i niechęci całego społeczeństwa polskiego do bezpłodnych awantur! Nie, panowie redaktorzy i publicyści, żaden z was nie był na serjo protagonistą realizacji idei niepodległości, choć niejeden z was mógł sobie tu i tam jakiś teoretyczny frazes o tem napisać. Ale jeżeli to uczynił, to nie on jeden, skoro przecież w tym kierunku, choć bardziej poważnie, bardziej odpowiedzialnie i mniej po tromtadracku, pisało wielu, poza redakcjami owych proroczych dzienników i nietylko pisało, ale i pracowało pozytywnie w ówczesnych, ciężkich warunkach. I niewielu panów redaktorów ma należyte pojęcie, jak ciężką była ta praca na obie strony: z zaborczym rządem i z płytką hasełkowością wielu rodaków! A miała jednak ten faktyczny rezultat, że ów redaktorek mógł wogóle zamieszczać swe teoretyczne frazesy niepodległościowe, nieraz bardzo demagogiczne i że mu ich cenzura nie skre-

śliła. Nad tym szczegółem nie wolno dzisiaj ex-post-niepodległościowcom redakcyjnym przechodzić do porządku dzienego i nie wolno pisać oszczerczych bajek o polskiej ochranie i polskich apuchtinach.

Ale, jakież istotne znaczenie miały owe, tu i ówdzie w ówczesnej prasie rewolwerowej napotykane wybuchy niepodległościowe? Trzeba dokładnie wrócić pamięcią w ówczesne stosunki i nastawienie umysłów, aby to zrozumieć. Wobec potęgi zaborczej, a materjalnej bezsilności Polaków, nie miały wcale niepodległościowego znaczenia w sensie realnym, ale były tylko atakami, narzekaniem i radykalistyczną krytyką pod adresem ówczesnych władz i kierujących ludzi, choćby najlepszych Polaków. Jak dziś, w niepodległej Polsce, atakuje się dany reżim, np. rządy „sanacyjne“ i różnych ludzi „na świeczniku“, w imię takich czy innych ideałów i postulatów „demokracji“, tak i wówczas robiono to samo również w imię „demokracji“, a raczej nieodpowiedzialnej, bezplanowej, tromtadrackiej demagogji, a na dodatek przyczepiano niekiedy parę frazesów niepodległościowych, aby tembardziej przedstawić rzekomą czarność charakteru atakowanego starosty, czy namiestnika, czy ministra w oczach bezkrytycznej gawiedzi. Stanowczo twierdzimy, że tylko to, a nie jakiekolwiek inne znaczenie miały wówczas sporadyczne wystrzały z rewolweru niepodległościowego w redakcjach pism, oczywiście tylko drugorzędnych, sensacją i frazesami żyjących.

Dla ilustracji charakteru takich wystrzałów ślepymi nabojami taniego patryjotyzmu (panie kolego, prędko, trzydzieści sześć wierszy wolnych w szpalcie, akurat miejsce na coś patrjotycznego, ale zaraz, bo idzie na maszynę!), przytoczmy z pośród wielu innych dwie słynne kaczki redakcyjne, które po dziś dzień wyfruwają niekiedy — oczywiście nie-

zgrabnie, jak to kaczki — ze szpalt dziennika, ilekroć pan redaktor poczuje z jakichś tam powodów ein patriotisches Rühren.

Pierwszy przykład. Awantury studenckie we Lwowie. Endecka młodzież wpada do auli uniwersytetu, demoluje inwentarz, kraje nożami portrety rektorów, krwawe bójki endecko-ruskie, w ich rezultacie kilka trupów, studenterja znieważa polskich dygnitarzy, Bogu ducha winnych, przybywających na uroczystą inaugurację. Stały, dłuższy ferment nacjonalizmu polskiego i ruskiego, grożący dalszymi ekscesami. Notabene chodzi wyłącznie o walkę poszczególnych odłamów polskiej i ruskiej młodzieży między sobą, a wcale nie o stosunek młodzieży do władz, ani krajowych „rządów zaborczych." Ze wszech stron sypią się na głowę polskiego dyrektora policji we Lwowie inwektywy, że o niczem nie wie, że awantur studenckich nie przewidział, że nie zna tego, co radykalne partje wśród polskiej i ukraińskiej młodzieży jeszcze knują i t. d. A najgłośniej rzuca inwektywy pan redaktor rewolwerowego dziennika, kontent, że ma pozór popisać się przed czytelnikami atakiem na władzę!

Wobec tego dyrektor policji, jak każdy dyrektor policji we wszystkich państwach od początku świata, stara się spełnić swój najprostszy obowiązek i zebrać jakieś informacje o awanturniczych prądach i zamierzeniach w pewnych kołach politycznie zacietrzewionej młodzieży. A ponieważ w b. Galicji system szpiegowski przed wojną zupełnie był nieznany i tajnej policji wogóle nie było, więc z trudem udaje się wreszcie policji pozyskać wywiadowcę. Wobec kilku trupów, zastrzelonych koleżeńskiemi kulami w samym gmachu uniwersytetu i wobec powszechnego oburzenia na „niezdarność policji", trzeba

wkońcu jakimś sposobem zyskać wywiad, choćby dorywczy.

Gdy się to stało, chorągiewka redaktorska obraca się nagle w przeciwną stronę i taki sobie pan redaktorek, zdobywca demagogicznej popularności za wszelką cenę, ciska nagle gromy ze swego dzienniczka na „metody galicyjskiej ochrany". Artykulik taki nie zwraca wówczas niczyjej uwagi, z pobłażliwością traktuje go cenzura, o ile wogóle coś wówczas na kształt cenzury w Galicji istniało. Nikt na serjo tego „patrjotycznego" wypadu nie bierze. Bo przecież wiedzą wszyscy, wie nawet ulica, co i jak było.

Ale dziś, po latach, gdy wielu ówczesnych ludzi legło już w grobie, pan redaktor wyciąga z lamusa pożółkłe szpalty i, rachując przemyślnie na bezkrytycyzm obecnego pokolenia, czy na krótką pamięć ludzką, zamieszcza tryumfalnie ów artykulik „niepodległościowy", czy jego fragment, nadymając się jak paw i wykazując czarno na białem, że już wówczas był bojownikiem o niepodległość Polski, że gromił moskiewskie (???) metody obrzydliwych, zaustryjaczonych rządów polskich Galicji i daje zdezorjentowanemu dzisiaj zupełnie czytelnikowi einen Wink mit dem Zaunpfahl, że to on był od świętej pamięci wspólnikiem geniuszu Józefa Piłsudskiego, a bodajże nawet jego prekursorem!

A więc, o jednego, wyjątkowo, z konieczności zaangażowanego wywiadowcę szkaluje się wielką pracę i wielkich ludzi przeszłości i rośnie się tą drogą na drożdżach sztucznego patrjotyzmu. A czy dziś niema daleko więcej wywiadowców we wszystkich państwach, czy niema systemu policyjnego?

A teraz drugi przykład, tym razem nietyle kaczka, ile raczej wąż morski, który ciągnie się od ćwierć wieku nieprzerwanym ogonem poprzez naiwność i nieszczerość ludzką: wybory drohobyckie.

Wiadomo, jak niemal wszędzie, na całym świecie, przeprowadza się „wolę ludu“ systemem powszechnego głosowania. A wiadomo o tem najlepiej w redakcjach dzienników. Wybory powszechne muszą być wszędzie i zawsze odpowiednio preparowane, a przynajmniej nieco korygowane, bo inaczej rozagitowane, ciemne masy ludowe, którym kandydaci złote góry obiecują, wysyłałyby do parlamentów najradykalniejszych krzykaczy, najgorszych wywrotowców, a nieraz i najciemniejsze indywidua. Tak już jest na tym świecie tam wszędzie, gdzie kolosalne oszustwo XX-go wieku — system powszechnego głosowania — wszechwładnie panuje. Przecież i u nas, w Polsce niepodległej, maszerowały nieraz nieboszczyki do urny wyborczej, że aż miło!

Otóż zdarzyło się raz, że w czasie powszechnych wyborów do parlamentu wiedeńskiego — przyczem w pobliżu lokali wyborczych były z reguły posterunki wojskowe dla zapobieżenia ewentualnym ekscesom — rozagitowany przez różne „hjeny“ tłum w Drohobyczu, pragnąc zdemolować lokal wyborczy, zaczął bombardować stojących spokojnie żołnierzy gradem kamieni. Dłuższą chwilę trwał ten grad kamieni i według wiarogodnych świadectw ówczesnych, niepodejrzanych o stronniczość, oddział wojska, złożony zresztą w znacznej części z Polaków i Rusinów, złożył dowód wielkiej cierpliwości, że atak ten spokojnie wytrzymywał, choć niejednemu biednemu żołnierzowi w łeb kamieniem się oberwało. Ale wkońcu, gdy rozzuchwalony tem tłum ruszył już faktycznie na lokal i na żołnierzy, cóż miał uczynić dowódca oddziału? Odpowiedz szczerze, czytelniku, o ile jesteś lub byłeś oficerem, cobyś w takim momencie zrobił? Uciekłbyś? Nie, kazałbyś strzelać.

Otóż kazał wkońcu dać ognia dowódca tego od-

działu. Padło kilkunastu zabitych. Ale czy u nas, w Polsce, nigdy wojsko, a nawet policja nie strzelała w tłum, panie redaktorze? Strzelało się i strzelać się będzie, gdy niema innego wyjścia. Przecież wojsko nie weźmie nogi za pas przed atakiem tłumu! Bo gdyby tak się stało, byłby to symptom zupełnego rozkładu w państwie i rozpoczynającej się rewolucji.

Ale z tak oczywistej rzeczy, która notabene raz jeden tylko w ciągu kilkudziesięciu lat rządów polskich w Galicji się zdarzyła, wysnuwa się dzisiaj obrzydliwa, iście faryzeuszowska legenda o krwawym systemie galicyjskich wyborów, a pan redaktor, przepasany biało-amarantową wstęgą, naprędce dopasowaną, rzuca błotem na ówczesnych kierowników polskich rządów w Galicji, starając się wywołać w umysłach dzisiejszych czytelników wrażenie, jakgdyby byli oni czemś w rodzaju satrapów moskiewskich. Robi to pan redaktor, chociaż wie o tem doskonale, że słuszną ambicją polskich rządów w Galicji było wykazanie się wobec Wiednia i zagranicy, iż wybory w Galicji, w porównaniu do wyborów gdzieindziej, spokojnie i przynajmniej względnie uczciwie się odbywają. Względnie — bo o stuprocentowej uczciwości wyborczej przy powszechnem głosowaniu nie może być wogóle mowy. I wiadomo, że starosta, czy namiestnik najbardziej i najszczerzej był przybity wiadomością, iż wojsko musiało użyć broni.

W ten tedy sposób preparuje się w niektórych redakcjach historję Polski — błotem, oszczerstwem, przekręcaniem faktów, rachubą na brak pamięci ludzkiej i owem słynnem zgadywaniem ex-post przyszłości. Ale właśnie dlatego potęga prasy upada i coraz bardziej akcentuje się, niestety, wielce dla społeczeństwa ujemne zjawisko, że ludzie zaczynają bać się prasy, aby ich „nie osmarowała“, ale sta-

nowczo tracą dla niej szacunek. Może temu lub owemu wydawcy udaje się, choć rzadko, zrobić jakiś niezły interes na swem przedsiębiorstwie dziennikarskiem, ale prasa przestaje być prawdziwym wyrazem rzeczywistej opinji publicznej. Rządy tej opinji wymykają się upadającej prasie z ręki...

Wobec tego narzuca się konieczność, aby, zamiast narzucania się czytającej publiczności ze swą nieomylnością, darem proroczym i rolą siódmej potęgi, zastanowiono się na licznych zebraniach i zjazdach organizacji prasowych nad tem, co poruszyliśmy w niniejszym rachunku sumienia. Jak wiele innych rzeczy w kraju, tak i prasa potrzebuje koniecznie odrodzenia, poprzedzonego głębokiemi cięciami skalpelem autokrytyki. Potrzebuje naprawdę wyższego poziomu, a nie konwulsyjnej pogoni za tramwajowym czytelnikiem sensacjami, fabrykowanemi systemem, naprawdę niemoralnym. Chyba, że chodzi komuś o poczytność i prenumeratę za wszelką cenę...

Publicysta.

INAUGURACJA SEKCJI GOSPODARCZEJ ZWIĄZKU POLSKIEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ.

Po kilkoletnim okresie przygotowawczym, którego początki sięgają do pierwszego momentu powstania Koła Przyjaciół Naszej Przyszłości w roku 1931, wystąpił Związek P. M. P. publicznie z przewidzianą w swym programie Sekcją dla spraw gospodarczych. A wystąpił z nią na gruntownie przygotowanej podstawie dwudziestu czterech tez zasadniczych, ogłoszonych z obszerną motywacją przez podkomisję Sekcji w tomie za kwiecień — maj b. r. oraz na podstawie dyskusji, która odbyła się nad temi tezami na plenarnem posiedzeniu wewnętrznem Sekcji 11-go października. Wreszcie 30-go października odbyło się tradycyjne zebranie bankietowe Związku w Resursie Kupieckiej, na którem w szerszem gronie członków i zaproszonych gości zainaugurowała Sekcja gospodarcza swą systematyczną akcję o ściśle określonych kierunkach i celach.

Prezes Związku, dr. Jan Bobrzyński, zagaił dyskusję następującem przemówieniem.

„Szanowni Panowie! Związek Polskiej Myśli Państwowej inauguruje na dzisiejszem zebraniu niejako oficjalnie działalność publiczną swej Sekcji gospodarczej, stworzonej w myśl jednego z punktów swego statutu.

Sekcja ta, aczkolwiek znacznie później, niż szereg innych, powołana do życia, jest jednak w istocie

najstarszą dziedziną działania naszego zespołu. Przypominam bowiem obecnym tu przyjaciołom Naszej Przyszłości, którzy od początku są prenumeratorami tego wydawnictwa, że pierwsze, kilkunastoosobowe zebranie grona jego zwolenników odbyło się jeszcze w zimie 1931 r. pod hasłem omawiania problemów gospodarczych z pewnego specjalnego punktu widzenia. I mimo stopniowego podejmowania w następstwie szeregu innych tematów, konferencje gospodarcze — a w ich wyniku odpowiednie serje artykułów w Naszej Przyszłości — ciągną się niemal nieprzerwanie przez czteroletni okres licznych zebrań Koła Przyjaciół wydawnictwa i zostały wkońcu automatycznie przejęte i kontynuowane w ukonstytuowanym z końcem ubiegłego roku Związku Polskiej Myśli Państwowej.

Już na pierwszej konferencji przed niemal pięciu laty wysunięty został — coprawda wówczas jeszcze w bardzo niedoskonałej formie — oryginalny nasz sposób podejścia do problemu, a zwłaszcza kryzysu gospodarczego, mianowicie pod nagłówkiem „prymitywizacja życia gospodarczego", w znaczeniu konieczności dążenia do pewnego uproszczenia zbyt skomplikowanych warunków, w które życie to zabrnęło w okresie powojennym, z czego w naturalnej konsekwencji wyrósł i spotęgował się tak zwany kryzys, a raczej progresywny upadek ekonomiczny i w ślad za nim postępowa pauparyzacja i proletaryzacja materjalna i kulturalna, na co dotąd, mimo wszelkich stosowanych pomysłów i paljatywów, skutecznego środka nie znaleziono.

Po dwuletnich badaniach, dyskusjach, a zwłaszcza bardzo pilnej i możliwie wnikliwej obserwacji rozwoju stosunków gospodarczych w kraju i zagranicą, doszła Sekcja gospodarcza Koła Przyjaciół N. P. do pewnych zasadniczych, zarówno teoretycz-

nych, jak i praktycznych konkluzji i na zebraniu w r. 1933 uchwaliła wystąpić z niemi na szerszą arenę publiczną. Przygotowane było zaś już wówczas to wystąpienie — poza pracami Sekcji — także szeregiem zasadniczych, obszernych artykułów w Naszej Przyszłości, które pozwoliłem sobie zainaugurować dwoma rozprawami, zamieszczonemi w odstępie kilku miesięcy, pod obrazowym tytułem „Dyktatura produkcji“. W rozprawach tych znalazły się już niemal wszystkie główne pojęcia i nomenklatura, które stanowią podstawę naszej obecnej, lepiej już wykształconej ideologji na odcinku gospodarczym, a więc przedewszystkiem samo pojęcie „dyktatury produkcji“, dalej „systemu ustabilizowanego“, negacji pojęcia życia gospodarczego jako „celu samego w sobie“, negacji dogmatu o rzekomej niemożności celowego hamowania „rozwoju gospodarczego w nieskończoność“, niezbędności stosowania zasady „według stawu grobla“ i zdecydowanego zwalczania „wszechwładzy interesu“ zarówno w imię etyki, jak i w imię dobrze zrozumianego, rzetelnego interesu prywatnych sfer gospodarczych i państwa. Nastąpił potem artykuł pod znamiennym tytułem „Za oknem w ołów oprawnem“, dążący do wyrwania prywatnych sfer gospodarczych, a zwłaszcza przemysłowo-handlowych, ze zbyt zakostniałej jednostronności pracy zawodowej — prowadzonej po dziś dzień jakgdyby wciąż jeszcze w średniowiecznym kantorze — i apelujący do nich, aby zechciały zająć się także innemi ważnemi zagadnieniami życia publicznego i zaważyć w nich swym wielkim niewątpliwie walorem.

Na tych podstawach ujął tezy nasze prof. Kliszewicz z Górnego Śląska w czterech obszernych artykułach, zamieszczonych w Naszej Przyszłości, a stanowiących razem wspaniały traktat, o podłożu hi-

storyczno-ekonomicznem, ale zarazem także i religijno-filozoficznem, zgłębiający i rozszerzający nasze twierdzenia, początkowo raczej empirycznie z obserwacji życia wysnute.

Ale gdy na podstawie wspomnianej uchwały miała Sekcja wystąpić na szerszą arenę i złożyła w moje ręce mandat wygłoszenia na liczniejszem zebraniu odpowiedniego, inauguracyjnego referatu, wówczas, zastanowiwszy się raz jeszcze nad całokształtem tego mojego zadania, doszedłem do przekonania, że jednak nie pora jeszcze z niem wystąpić, ale odczekać jeszcze należy dalszej ewolucji wypadków i większy zebrać jeszcze materjał doświadczenia.

Minęły znowu dwa lata, które wprawdzie treść i rozmiar naszych tez gospodarczych rozszerzyły i wydoskonaliły, ale równocześnie całkowicie potwierdziły ich słuszność. Świadczy o tem cały olbrzymi, naogół mało produktywny wysiłek, zrobiony przez ten czas na całym świecie w zakresie walki z kryzysem, gdyż wysiłek ten tylko sporadyczne i przemijające przynosił gdzieniegdzie polepszenie sytuacji drogą sztucznej techniki ekonomicznej, a zwłaszcza t. zw. nakręcania konjunktury — czyli poprostu gwałceniem praw ekonomji i przyrody — ale żadnego trwalszego nie przyniósł polepszenia, ani nawet żadnego na serjo startu w kierunku trwałej poprawy nie był w stanie stworzyć.

I to dopiero utwierdziło nas ostatecznie w przekonaniu, że wystąpić można i trzeba.

A rozpoczęcie to działalności naszej Sekcji gospodarczej nabiera szczególnej aktualności w chwili obecnej także i dlatego, że nowy rząd wystąpił w tych dniach właśnie z szerokim programem sanacji budżetu, dążąc tą drogą do poprawy bardzo cięż-

kiej sytuacji ekonomicznej w kraju. Ale program ten, sam w sobie słuszny — gdyż zrównoważenie budżetu i oszczędność są istotnie pierwszymi warunkami każdej sanacji gospodarczej — nie odchodzi jednak, ogółem biorąc, prawie w niczem od stosowanego dotąd powszechnie na świecie szablonu leczenia niedoli gospodarczej coraz większym ciężarem fiskalnym. A ponieważ szablon ten, oprócz chwilowego napełniania beczki Danaid, albo t. zw. łatania dziur budżetowych na krótki okres czasu, nigdzie dotąd sam przez się trwałej naprawy nie przyniósł, więc też, przy najobjektywniejszem nawet ustosunkowaniu się do tych zamierzeń, nie możemy pozbyć się uczucia pewnej beznadziejności i zniechęcenia. Przestaliśmy już wierzyć, że można chorego na ciężką anemją leczyć coraz większym upustem krwi i dlatego utwierdzamy się ostatecznie w przekonaniu, że należy tu całkiem innego użyć systemu.

Stąd też przychodzimy z konkretnym programem działania, który pozwalam sobie zaraz zgóry sprecyzować. Chodzi nam o znaczne rozszerzenie i głębsze jeszcze umotywowanie dwudziestu czterech tez gospodarczych, ogłoszonych niedawno w naszem wydawnictwie, przy przeprowadzeniu zarazem odpowiednich poprawek i stworzenie w ten sposób, zbiorową pracę, obszerniejszego dzieła, mogącego stanowić niejako fundament odpowiedniej szkoły polityczno-ekonomicznej, a na tej podstawie o wytworzenie takiej szkoły drogą dalszej propagandy. Jestem bowiem przekonany, że w danej sytuacji, w jaką zabrnęliśmy pod naporem nietylko specyficznych konjunktur powojennych, ale w równej mierze także pod wpływem różnych haseł porywczych, czy eksperymentalnych, czy demagogicznych, czy wreszcie etatystycznych, jedynie tylko

stworzenie mocnej, zwartej szkoły ekonomicznej, opartej na podstawach naukowych, na pewnych twardych, niewzruszonych pojęciach i zasadach i na prawdziwie zdrowym rozsądku, nie dającym wytrącić się z równowagi przez żadne, chwilowo modne prądy lub przemijające konjunktury, może zwolna wywołać pożądany, trwały zwrot w nastawieniu opinji publicznej i przez to dopiero utorować rozumne drogi do poprawy na serjo położenia.

Jak każda sekcja naszego Związku, ma Sekcja gospodarcza swoje właściwe, dobrze określone i nieprzekraczalne granice działania i cele. Trzymamy się bowiem na wszystkich polach naszego działania pewnej metody, wzorowanej, mówiąc w przenośni, na doświadczeniu wojny światowej. Doświadczenie to uczy, że przełamanie frontu nieprzyjacielskiego, dobrze ufortyfikowanego, nie może się udać, gdy strona atakująca artylerję swą na całej przestrzeni frontu zrzadka rozstawi i cały front nieprzyjacielski, bardzo nieraz rozległy, słabym ogniem obłoży. Należy, przeciwnie, skoncentrować ogień ze wszystkich dział na pewien węższy, odpowiednio obrany odcinek frontu. Wszak w ten tylko sposób powiodło się armjom państw centralnych zrobić decydujący wyłom we froncie rosyjskim pod Gorlicami, który stał się w gruncie rzeczy przełomowym momentem w dziejach wielkiej wojny i w najnowszej historji świata.

Stosując tę metodę i chcąc uzyskać jakiekolwiek pozytywne rezultaty swego działania, nie może Związek Polskiej Myśli Państwowej rozpraszać akcji swej na całym, olbrzymim froncie problemów gospodarczych. Przechodzi to nasze siły i możliwości. Chcąc zrobić wszystko, nie zrobilibyśmy w ostatecznym rezultacie niczego. Dlatego odrzucamy stanowczo zajmowanie się wszelkimi fachowymi

szczegółami życia gospodarczego, które stanowią przedmiot prac odpowiednich czynników i sfer kompetentnych, zarówno oficjalnych, jak i prywatnych. Dublowanie przez nas tych prac szczegółowych nie miałoby żadnego sensu, ani rezultatu. Wszak ingerencja nasza w ten cały, niezmierny kompleks zagadnień, teoretycznych i praktycznych, któremi zajmują się intensywnie, z odpowiednią kompetencją, mandatem i większą lub mniejszą mocą egzekutywy lub przynajmniej wpływu, odpowiednie czynniki rządowe, organizacje samorządu gospodarczego, związki zawodowe, naukowe zrzeszenia ekonomiczne, wreszcie fachowa prasa gospodarcza, nie miałaby narazie większej siły, jak ćwierkanie świerszcza w trawie, spotkałaby się ze słusznym zarzutem niekompetentnego i niepowołanego mieszania się w cudze sprawy i zabrnąwszy w niezmierzony las skomplikowanych problemów, szczegółów i partykularnych zmagań na różnorodnych terenach życia gospodarczego, rozprószyłaby się i zgubiła w nich kompletnie bez żadnego pozytywnego skutku.

Zresztą stoimy na stanowisku, zdaje mi się, że racjonalnem, iż żadnych szczegółowych recept poszczególnym sferom gospodarczym zapisywać nie potrzeba, gdyż każdy przedsiębiorca sam najlepiej wie, a przynajmniej wiedzieć powinien, czego przedsiębiorstwu jego najbardziej potrzeba. Dlatego narzucanie się z naszej strony rolnikom, przemysłowcom i handlowcom z cudotwórczymi lekami na załagodzenie szczegółowych bołączek i potrzeb ich przedsiębiorstw byłoby z naszej strony śmiesznem przedsięwzięciem.

Na jakimże więc odcinku ogólnego frontu gospodarczego może działalność naszej Sekcji gospodarczej wydać z biegiem czasu pozytywne rezulta-

ty? Odpowiadamy: oczywiście na tym tylko, gdzie otwiera się nam swobodne, nie zajęte jeszcze przez nikogo pole pracy. Możemy i musimy zająć się tem, czem się dotąd nikt jeszcze nie zajmuje, a przynajmniej nie zajmuje się głębiej, dokładnie, z pożądaną konsekwencją. A takim, stosownym dla nas odcinkami i celem pracy może być w danych warunkach tylko zajęcie się problemami ogólnymi, a mianowicie praca nad wytyczeniem ogólnych, zasadniczych torów gospodarstwa krajowego i wogóle myśli gospodarczej na dalszą metę. Na tem zaś polu panuje zaiste tabula rasa. Człowiek gospodarczy w Polsce odnosi się do niego pozornie z lekceważeniem, ale w istocie boi się na nie wkroczyć. Obawia się bowiem zaatakowania „systemu ustabilizowanego“ pojęć i tendencji gospodarczych w całkiem błędnem mniemaniu, że rewizja tych pojęć mogłaby przynieść uszczerbek najżywotniejszym jego interesom i zachwiać fotelami właścicieli i kierowników różnych warsztatów pracy. To błędne mniemanie, ten strach przed samorzutnem dokonaniem przez sfery gospodarcze pewnej celowej rewizji odwiecznego systemu ustabilizowanego swych pojęć o celach i zadaniach życia gospodarczego — a więc własnych dążeń i pracy — stanowi walny, nieprzezwyciężony dotąd szkopuł we wszelkich wysiłkach walki z kryzysem. Stąd też specjalnem naszem zadaniem, rzec można bezkonkurencyjnem, jest pójście właśnie po linji największego oporu i śmiałe zaatakowanie tego „systemu ustabilizowanego“, bez względu na ewentualną niepopularność tego zamierzenia.

Wiemy bowiem, że zrobimy sobie na tej drodze wielu przeciwników, a może nawet i wrogów. Miałem nieraz sposobność zauważyć, że sfery gospodarcze lubią pochlebstwo, wyrazy współczucia nad ich losem, a niechętne są wszelkiej, sięgającej w głąb

krytyce, naruszającej ich odwieczne tabu pojęć, dążeń i metod, choćby krytyka ta w najlepszej, najżyczliwszej intencji była podana. Można krytykować państwo, rząd i społeczeństwo, można krytykować nawet różne zewnętrzne przejawy i niedomagania życia gospodarczego. Ale skoro tylko ktoś spróbuje dotrzeć do sedna sprawy i zaatakować ów system ustabilizowany, uświęcony, nietykalny głębszej racji bytu życia gospodarczego, wówczas powstaje przed nim odrazu zjednoczony a wrogi front sfer gospodarczych i stara się skwapliwie zatuszować temat, zlekceważyć lub zgnębić krytykę i odwrócić dyskusję na jakiebądź inne tory. Raczej wszystko inne, byle nie to! — prawią sfery gospodarcze. I wobec tego zrzeszonego oporu wszelka, prawdziwie szczera, w głąb sięgająca, uczciwa, rzeczywiście skuteczna dyskusja nad trwałem polepszeniem panującej niedoli gospodarczej była dotąd niemożliwa.

W jakiż więc sposób wdrożyć możemy konkretną akcję nad wytyczniem ogólnych torów?

Powołuję się tu na twierdzenie, wygłoszone przed laty w Poznaniu, na tamtejszym, bardzo trzeźwym gruncie, zaprawionym od niepamiętnych czasów najkonkretniejszą, iście mrówczą pracą gospodarczą. Mówca ten, wybitny ekonomista, zarówno teoretyk, jak i praktyk — gdyż był kolejno profesorem ekonomji, potem dyrektorem wielkiego banku, wreszcie wysokim dygnitarzem w hierarchji skarbowej — oświadczył, że głównym momentem w polskim kryzysie gospodarczym, poza oczywiście oddziaływaniem ogólnego kryzysu światowego, jest moment psychologiczny. I zdaje mi się, że miał stokroć rację. Pierwszą bowiem rolę w życiu gospodarczem odgrywa nie fachowa technika, ale psychika, czyli nastawienie człowieka gospodarczego do sytuacji, pracy i problemów, które przed nim leżą. Zależnie

od nastawienia, te same sprawy całkiem różnie bywają traktowane.

Otóż, widząc jałowość, beznadziejność wszelkich dotychczasowych wysiłków uzdrowienia stosunków gospodarczych drogą fachowej techniki, rządowej czy prywatnej, konstatując, mimo poszczególnych, ale tylko chwilowych odprężeń, stały jednak, progresywny upadek materjalny społeczeństwa, akcentujący się zwłaszcza w dowolnie obranej przestrzenini szeregu lat, doszliśmy do zdecydowanego przekonania, że tu żadne fachowo-gospodarcze lub fachowo-skarbowe pomysły nie pomogą, ale że trzeba zaatakować ten, dotąd nierozwiązalny węzeł gordyjski pewną metodą psychologiczną, sięgając sondą badań i krytyki aż do najgłębszego, psychicznego sedna sprawy. Tak więc właściwym odcinkiem, na który postanowiliśmy skoncentrować ogień naszych dział, jest sprawa niezbędnej rewizji pojęć gospodarczych i fiskalnych według wymagań XX-go wieku i przez odpowiednie ich zmodernizowanie oddziałanie na nastawienie zarówno prywatnych sfer gospodarczych, jak i skarbowych czynników oficjalnych.

Najpierw jednak jedna zasadnicza uwaga. Mamy mówić o kwestjach ogólnych. Otóż przedstawiciele sfer gospodarczych nietylko nie lubią tego tematu — jak się wyżej rzekło — ale nadto go i lekceważą. Lubią natomiast występować w każdej dyskusji w roli wielkich realistów. Akcentują zawsze, że interesuje ich naprawdę tylko to, co jest bezpośrednio realne i aktualne, co w danej chwili niejako na talerzu przed nimi leży, a więc dany konkretny interes, konkretne przedsiębiorstwo, konkretna transakcja, lub niemniej konkretna, szczegółowa, detaliczna bolączka czy potrzeba danej gałęzi gospodarczej w danej chwili. Z pobłażliwem zaś lekcewa-

żeniem, jeżeli nie wprost reprymendą, traktują zajęcie przez kogoś pewnego szerszego punktu widzenia. „Kupił, sprzedał, zarobił lub zbankrutował" — oto zazwyczaj cały horyzont, w którym zamyka się egzystencja i doraźna „racja stanu" zainteresowań „trzeźwego" człowieka gospodarczego.

Otóż tu należy pierwszą przeprowadzić rewizję, zadając sobie poważnie pytanie, czy owi trzeźwi przedstawiciele życia gospodarczego, którzy tak chełpią się zawsze swym realizmem, gardząc wszelką ideą, są rzeczywiście reprezentantami czegoś bardzo realnego, bardzo konkretnego? Czyż bowiem można dzisiaj twierdzić z głębi przekonania, że to życie gospodarcze, które nas chwilowo otacza, te folwarki rolnicze, fabryki, sklepy i inne interesy, są naprawdę czemś realnem, a więc pozytywnem i trwałem? Czy to wszystko w bardzo znacznem stopniu nie jest raczej tańcem na drucie? Czy praktyczne doświadczenie kilkunastu ostatnich lat nie wykazuje nam raczej, że wiele, zbyt wiele najrealniejszych niby przedsiębiorstw, najkonkretniejszych interesów, najlepiej wykalkulowanych rachub i nadziei nie rozwiało się we mgle, albo nie rozbiło się na proch pod presją rzeczywistości? Czyż spoglądając na strzelające dumnie w niebo kominy fabryczne i hale robocze, pełne stuku i huku, możemy w dzisiejszych warunkach twierdzić, że to interes naprawdę realny? Tyle widzimy rok rocznie przykładów, że najwspanialsze, pozornie doskonale ufundowane przedsiębiorstwa bankrutują i giną lub przechodzą w ręce kapitalizmu państwowego, a ich właściciele lub kierownicy zapadają się, po chwilowo meteorycznej karjerze, cicho lub z trzaskiem w niepamięć, albo i gdzieindziej jeszcze?

Nie, panowie ze sfer gospodarczych — materjalna strona waszej pracy, waszych zainteresowań, nie-

koniecznie bywa czemś realnem! Przeciwnie, ta strona wciąż jest zmienna, chwiejna, podatna w największym stopniu kaprysom konjunktur. Co zaś naprawdę jest realnem i najczęściej trwałem poprzez wszelakie fluktuacje konjunktur, to właśnie owa lekceważona przez was idea gospodarcza, oczywiście nie w jakiemś metafizycznem rozumieniu, ale w postaci owego legendarnego kupieckiego ołówka, który, ponad drobnymi a zmiennymi szczegółami dnia, oblicza i kreśli preliminarz gospodarczy na dalszą metę, uwzględniając niezbędnym zmysłem intuicyjnym całokształt położenia obecnego i przyszłego i zmuszając przez to kalkulatora do niewzruszonego, logicznego, konsekwentnego dążenia po jasno wytyczanych torach. O wskrzeszenie tego legendarnego ołówka kupieckiego właśnie nam chodzi, ale to nie da się zrobić przyziemną, krótkowzroczną metodą dojutrkowania w doraźnych, przygodnych interesach, co całkiem błędnie określa dojutrkowicz gospodarczy mianem realizmu. To hazardowna loterja, a nie żaden naprawdę realny, dalekosiężny, trwały i zdolny do rozwoju interes gospodarczy! I dlatego prawdziwi fachowcy ze sfer gospodarczych — w przeciwieństwie do pospolitych geszefciarzy — winni prawdziwy realizm życia gospodarczego widzieć w ogólnych jego torach na dalszą metę, a nie w chwilowych tranzakcjach, kombinacjach i zmiennych, jak wiatr, konjunkturach.

Przystępujemy więc do podwójnej rewizji systemu ustabilizowanego, bo zarówno po stronie prywatnych sfer gospodarczych, jak i oficjalnego fiskalizmu. Wychodzimy przytem z zasadniczego założenia, że kryzys obecny nie ma już nic wspólnego z bezpośrednim kryzysem powojennym. Gdy bowiem ten polegał na niedostatku produkcji i rąk roboczych, to obecnie — i już od dawna — występuje

wprost przeciwne zjawisko: nadmiar produkcji i handlu, nadmiar rąk roboczych i niedostatek siły nabywczej społeczeństwa. Powojenny kryzys leżał więc w niedoborze i dlatego miał w sobie rozmach twórczy, obecny zaś leży w nadmiarze i dlatego nosi wybitne piętno redukcji i upadku. Stąd zaś wypływa drugie nasze założenie w logicznej konsekwencji, że skoro obecny wypadek powstał na tle danych stosunków, danego gospodarczego systemu, to bez rewizji i zmiany tego systemu zahamowany być nie może. Suchotnik, chorujący wskutek stałego pobytu w wilgotnej, zatęchłej atmosferze, nie może być uzdrowiony żadnymi środkami bez przeniesienia się w okolice o świeżem, zdrowem powietrzu.

Musi więc zmienić się gruntownie atmosfera gospodarcza, ale nie powierzchownie, dorywczymi paljatywami, lecz uderzeniem siekiery w same korzenie systemu. A znamiennem jest zjawiskiem, że niepopularne to hasło rewizji przestarzałych pojęć kapitalizmu i fiskalizmu od nas tym razem wychodzi, a już nie od socjalistów, czy innych radykałów.

A skądże — spyta ktoś — czerpiemy tę moc przekonania do zdecydowanego wystąpienia przeciw takiej potędze, jaką jest bezsprzecznie ustabilizowany od niepamiętnych czasów system zasadniczych pojęć gospodarczych? Na to pytanie odpowiadam przytoczeniem doniosłego precedensu z innej dziedziny — politycznej.

Oto, gdy po ostatecznym upadku powstań naród polski dotknięty został ciężkim kryzysem, godzącym w jego byt polityczny i sformułował sobie pewien rozpaczliwy, lecz niemniej nietykalny, uświęcony system pojęć, idealizujących Polskę na „Chrystusa narodów", cierpiącego dla odkupienia politycznych grzechów świata i gdy z tak ustabilizowanym systemem uświęcone zostały oczywiście także wszystkie

słabe srony, przywary i ciężkie błędy dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej, a przez to wszystko ponury zapanował w społeczeństwie polskiem marazm i pesymizm w fałszywem poczuciu niemocy wobec rzekomej siły wyższej — wówczas polityczno-historyczna szkoła krakowska „stańczyków“ wystąpiła śmiało do walki z tym systemem, łamiąc zakostniałe, niemęskie pojęcia i wykazując w szeregu pomnikowych dzieł historycznych, że główny powód stopniowego upadku Polski tkwił nietyle w obcej przemocy, ile przedewszystkiem we własnych błędach narodu, a zwłaszcza w tradycyjnej jego anarchji ustrojowej. Gromy oburzenia i protestu posypały się ze wszech stron na głowy pionierów tak rewolucyjnej tezy, depczącej bezwzględnie ówczesny system ustabilizowany, gdyż dotknięty nią w swych romantycznych uczuciach ogół nie zdawał sobie w pierwszej chwili sprawy, jak zbawienne odświeżenie ponurej atmosfery i jak optymistyczny wniosek teza ta przynosi. Nie zdano sobie sprawy z oczywistej konsekwencji, że jeżeli zdrowa krytyka, w głąb sięgająca, choćby bolesna, usunie z przed oczu narodu pojęcie fatalizmu i niezwalczonej siły wyższej, a na jego miejsce natchnie go przekonaniem, że odzyskanie niepodległości przy najbliższej okazji dziejowej przedewszystikem od uznania i naprawy własnych błędów zależy, to logika takiego rozumowania stanowić winna niezmiernie podniecający środek na wyrwanie się narodu z rozpaczy i apatji i podjęcie energicznej pracy na wszystkich polach. I rzeczywiście dziś teza stańczyków krakowskich odniosła pełne zwycięstwo. Dziś już nikt, nawet największy przeciwnik tej szkoły — chyba tylko ktoś, wyjątkowo bezmyślnie i beznadziejnie uparty — nie zaprzecza oczywistej prawdy, że wzrost potęgi Prus i Rosji, a w następstwie upadek Polski miał główną przy-

czynę w ciężkich błędach polskiego narodu. A wraz z tem przeświadczeniem odrodziło się i spotęgowało hasło „Naprawy Rzeczypospolitej", podjęte przez stańczyków, a wdrożone zasadniczo przez majowy zamach stanu.

W podobnej sytuacji krytycznej znajduje się obecnie naród polski, ale tym razem pod względem społeczno-gospodarczym. Ciężki kryzys, z różnorodnych pochodzący źródeł, dotknął całe społeczeństwo, powodując progresywny, nieubłagany spadek po równi pochyłej dobrobytu materjalnego i kultury, rodząc ogólny marazm i jakąś fatalistyczną apatję, jakieś rozpaczliwe dojutrkowanie, łamiąc poprostu wolę i energję twórczą narodu, mimo pewnych, sporadycznych pozorów ujawniającego się tu i ówdzie krótkoterminowego aktywizmu gospodarczego, który jednak, jakgdyby w śmiertelnych podrygach, zapada się stopniowo przed postępującą epidemicznie etatyzacją.

W takich warunkach, nie rokujących na serjo żadnych widoków poprawy, niezbędnem staje się znowu wystąpienie pewnej mocnej, zdecydowanej, ostrej i gardzącej wszelką popularnością szkoły polityczno-ekonomicznej, którаby z odpowiednią odwagą cywilną wydobyła nazewnątrz najgłębsze przyczyny złego, nieraz nawet w podświadomości różnych sfer i czynników w kraju ukryte i rzuciła im je śmiało w oczy, spełniając temsamem pierwszy, podstawowy warunek wszelkiego racjonalnego startu w kierunku naprawy. Z ogólnych więc wzorów metody, zastosowanej ongiś przez krakowską szkołę historyczną na polu moralno-politycznego odrodzenia narodu, czerpiemy moc i przekonanie zastosowania analogicznej metody w zakresie obecnej klęski gospodarczej.

Wiemy, że idąc tą drogą, musimy narobić sobie

licznych przeciwników, zwłaszcza wśród ludzi, krótkowzrocznie, płytko i „po geszefciarsku“ myślących. Ale nic to nie szkodzi. Przeciwnie, dopiero gdy nam zaczną — mówiąc w przenośni — szyby w oknach wybijać, wówczas będziemy mogli stwierdzić, że silne a gorżkie lekarstwo nasze zaczyna skutecznie działać.

Ale, jak w każdej poważnej akcji, tak i w tej naszej na polu gospodarczem, oprzeć musimy się na czemś trwałem, na pewnych niewzruszonych, pozadyskusyjnych fundamentach, bez których wszelkie rozumowanie, wszelka działalność, stałaby się zgóry chwiejną, niepewną, a więc i bezskuteczną w praktyce. Dlatego wszelkie nasze tezy, w ostatnim tomie Naszej Przyszłości ogłoszone w pierwszem, niejako doraźnem wydaniu, opieramy na trzech fundamentalnych prawach przyrodzonych, niejako dogmatycznych, bez których wszelką dyskusję o kwestjach gospodarczych, nawet przez najwybitniejsze reprezentowaną autorytety, uważamy za bezcelową, za mimowolne łudzenie siebie i drugich.

Pierwszem z tych trzech dogmatycznych praw przyrodzonych jest prawo własności prywatnej. Jest to pojęcie, tak nierozerwalnie związane z pojęciem wszelakiej gospodarki prywatnej, że naruszenie go jakąkolwiek kompromisową, oportunistyczną czy prawniczo-kazuistyczną djalektyką uważamy za praktycznie równoznaczną z przekreśleniem w państwie gospodarki prywatnej wogóle. Stoimy w tym względzie na stanowisku, daleko bardziej bezkompromisowem i twardem od bardzo nieraz chwiejnego i oportunistycznego stanowiska oficjalnych partji konserwatywnych. Twierdzimy bezapelacyjnie, że prawo własności prywatnej jest niewzruszalnym „dogmatem“ praw przyrody, że więc nie podlega w istocie swej żadnej ewolucji, a jedynie tylko

w szczegółach swego praktycznego zastosowania podlega różnym kaprysom i ułomnościom ludzkiej natury. Największy postęp, prawdziwy, realny postęp widzimy w likwidacji stopniowej tych różnych odszczepieństw — przeważnie demagogicznych — od dogmatu, w zniesieniu wszelkich doktrynerskich lub eksperymentatorskich odskoków od niego. Wszelki kompromis z demagogicznemi, a więc tylko rzekomo słusznemi „wymaganiami ducha czasu“ uważamy za krótkowzroczny, bezkrytyczny, tchórzliwy i niezmiernie szkodliwy. Twierdzimy, że każdy taki kompromis, każdy oportunizm w tym względzie, choćby z najbardziej konserwatywnej firmujący się strony, jest w ostatecznym rezultacie laniem wody na młyn doktryny Marksa. Każdy więc, kto choćby tylko drobne na rzecz jakiegoś społecznictwa, czy postępowości, czy „naukowości“ wprowadza do zasady prawa własności oportunistyczne korekty, spełnia nieświadomie zamiary kominternu lub innych zamierzeń wywrotowych, a najgorzej, jeżeli takie kompromisowe z własnem tchórzostwem poprawki wprowadza i potwierdza swym autorytetem naukowy lub polityczny konserwatyzm.

W chaosie i niedoli, jakie przeżywamy, gdzie walą się w gruzy wszelkie zdrowe, twórcze, moralne pojęcia i wewnętrzno-społeczne więzy organizacyjne, nie wyłączając niestety nawet rodzinnej komórki społecznego ustroju, gdzie różne ciemne moce wywierają z planową perfidją swe głębokie wpływy, jedynym ratunkiem i jedynie racjonalnym zwrotem ku jakiejkolwiek naprawie jest tylko mocne huknięcie pięścią w stół wszystkim oportunistom i kazuistom, jakiegokolwiek typu i autorytetu i stwierdzenie dogmatycznego charakteru prawa własności prywatnej, a napiętnowanie wszelkich przeciw niemu zakusów, bezpośrednich czy pośrednich — a więc dro-

gą ustawodawstwa lub praktyk fiskalnych — choćby najwznioślejszą patrjotyczną frazeologją owianych, jako w ostatecznym rezultacie zamierzeń antyspołecznych i antypaństwowych. Śmiało głosimy, że gdzie prawo własności prywatnej się kończy, tam twórcza jednostka zamienia się w niewolne bydlę robocze. I na ten jeden temat — wiedząc dobrze, o co walczymy — nie przyjmujemy żadnej dyskusji.

Jesteśmy też przekonani, że wszelkie konferencje i starania sfer gospodarczych, nie oparte mocno o ten dogmat praw przyrody, zwłaszcza przyrody człowieka, a więc w konsekwencji i jego organizacji państwowej, są wzajemnem, bezpłodnem rzucaniem sobie piaskiem w oczy.

Stąd też żądamy wyraźnego, konstytucyjnego utrwalenia w Polsce prawa własności prywatnej w taki sposób, aby żadna ustawa, żadne doraźne rozporządzenie, żadna praktyka administracyjna, ani żaden przymus t. zw. dobrodziejstw społecznych nie mogły prawa tego naruszyć lub zgoła unicestwiać.

Druga fundamentalna zasada, to prawo naturalnej selekcji, obowiązujące w całej przyrodzie, a więc także i w pracy gospodarczej człowieka, która z pod praw przyrody wyłamywać się nie może. W myśl tego przyrodniczego, nieubłaganego porządku rzeczy, utrzymać się i rozwijać może to tylko, co posiada rację bytu i siłę żywotną w każdej danej epoce. Wszystko zaś inne, choćby pozornie potężne, co jednak do warunków danej epoki dostosować się nie jest w stanie, musi zginąć, tak, jak wyginęły ongiś owe potworne dinosaury w miarę stopniowej zmiany na ziemi korzystnych dla nich warunków bytu i rozwoju.

To samo odnosi się dosłownie do przedsiębiorstw gospodarczych. Które z nich jest naprawdę żywotne, to znaczy odpowiada rzeczywiście potrzebom społe-

czeństwa w danym okresie, a więc posiada odpowiedni rynek zbytu i klientelę, to — pomijając oczywiście jakieś wyjątkowo katastrofalne wypadki, podchodzące pod pojęcie siły wyższej — przetrwa niepomyślne konjunktury, dostosuje się elastycznie do zmiany warunków i wyjdzie cało z kryzysu. Przedsiębiorstwu zaś, które tej siły żywotnej nie posiada, do zmian warunków dostosować się nie umie, czy nie może, nic nie pomoże sztuczne galwanizowanie kredytami z funduszów publicznych czy prywatnych. Pomoc taka zwiększa tylko ciężar jego zadłużenia i tem cięższą i szkodliwszą dla ogółu czyni jego agonję. Musi zginąć. Proszę zważyć, że jest różnica między tem, co mówiono o takich przedsiębiorstwach za czasów rządu Grabskiego, a tem, co my mówimy. Wówczas bowiem głoszono zasadę, że co słabe, to *niech zginie*. My tak bezwzględnie, tak nieżyczliwie nie wyrażamy się o prywatnem życiu gospodarczem, Natomiast konstatujemy tylko nieuchronny fakt, jakkolwiek pożałowania godny, że co słabe, a raczej co zdezaktualizowane w danych warunkach, to zginąć *musi* i nic na to nie pomoże.

Odpowiada to zresztą żelaznemu prawu ekonomicznemu podaży i popytu, które, aczkolwiek w nowszych czasach kazuistycznie atakowane i sztucznie wykręcane, jest jednak i będzie zawsze obowiązującym w sprawach gospodarczych dogmatem i nikt mu na nieco dłuższą metę ujść nie może. Sklep bez dostatecznej klienteli nie utrzyma się à la longue mimo wszelkich wysiłków, a zwłaszcza mimo wszelkich napuszonych frazesów o t. zw. patrjotyźmie gospodarczym. Gdzie brak klienteli resp. siły nabywczej u klienteli, tam przedsiębiorstwo gospodarcze skazane jest bezapelacyjnie na zagładę. Tę wielką i niestety bezsporną prawdę winien mieć stale przed oczyma zarówno każdy przedsiębiorca pry-

watny, jak i każdy rząd państwa, jeżeli o losach życia gospodarczego i o jakiejkolwiek racjonalnej polityce gospodarczej ma być rozumnie mowa.

Trzecią wreszcie fundamentalną zasadą, na której stoimy i której bezwzględnie bronimy, to prawo jednostki do uczciwego zarobku. Powojenny radykalizm i proletaryzująca wszystko demagogja wywróciły to naturalne prawo do góry nogami, pogłębiając niezmiernie kryzys gospodarczy i stwarzając w życiu ekonomicznem i w stosunkach obywateli do państwa błędne koło bez wyjścia.

Wszak perspektywa uczciwego zarobku w szerokiem tego słowa znaczeniu, to najgłębszy, właściwy — śmiało rzec można: jedyny — bodziec prywatnej pracy gospodarczej. Państwo, które, lekceważąc tę prawdę, kruszy, czy tamuje uczciwy zarobek jednostki, choćby dla najwznioślejszych haseł patrjotycznych lub dla wyśrubowanych t. zw. konieczności państwowych, czy społecznych, popełnia kardynalny błąd, który prędzej czy później mści się groźnie na najżywotniejszych interesach państwa. Bo ostatecznie państwo nie jest wcale jakąś oderwaną fikcją (z tem przestarzałem pojęciem trzeba raz skończyć!), ale zbiorowością jednostek — instytucją, stworzoną dla ich korzyści, a nie dla ich stałej straty. Jeżeli więc traci jednostka wskutek nadmiernego nacisku fiskalnego ze strony państwa, a zwłaszcza, jeżeli traci przez to szerszy ogół jednostek, to traci niewątpliwie i państwo.

Wezwano prywatne życie gospodarcze do owego słynnego „wyścigu pracy“. Dobrze — ale u mety każdego wyścigu czeka z reguły zwycięzców jakaś premja, czy nagroda, materjalna lub choćby tylko honorowa. Przecież dlatego właśnie stają zawodnicy do wyścigu. A co czeka naszych krajowych zawodników u mety gospodarczego wyścigu pracy? Nad-

mierna progresja podatkowa, niszcząca owoce wysiłku i egzekutor podatkowy!

Czy w takich warunkach można zachęcić obywateli do wyścigu pracy?

W imię więc dobra ogółu, w imię dobrze zrozumianego, oczywistego interesu państwa, a przedewszystkiem w imię logiki i zdrowego rozsądku żądamy, aby uczciwy zarobek jednostki uważany był za jej państwową zasługę, a nie, jak dotąd, za jakiś występek, prześladowany i ścigany przez prawo — reprezentowane w tym wypadku przez zachłanny, bezmyślny, samobójczy dla państwa fiskalizm, mający zaprawdę już wprost charakter karny. Potępić musimy zwłaszcza wszelką metodę fiskalnego dojutrkowania, to jest konwulsyjne, bezwzględne łatanie przygodnych niedoborów budżetu rządowego czy samorządowego krótkowzroczną praktyką podatkowego przeciążenia w myśl cynicznej zasady après nous le déluge!

Praktyka tego rodzaju wykrzywia również prawdziwy obraz gospodarstwa krajowego i uniemożliwia racjonalne rozróżnienie, które przedsiębiorstwa są naprawdę żywotne, a które nie. Jeżeli bowiem wszystkie przedsiębiorstwa prywatne uginają się i nieraz bankrutują pod wpływem nadmiernego fiskalizmu, etatyzmu i biurokracji, to jakże w takich warunkach rozróżnić żywotne od nieżywotnych? Dlatego ośmielamy się twierdzić, że wszelka metoda naprawy życia gospodarczego i rzetelnej walki z kryzysem winna iść w kierunku ulżenia ciężaru prywatnemu życiu gospodarczemu, a nie w przeciwnym.

Ale w pierwszym rzędzie nie uważamy za skuteczne atakowanie wprost panującego systemu fiskalnego. Fiskalizm bowiem jest tylko zewnętrznym symptomem pewnego głębszego systemu ustabilizowanego pojęć. Chcąc więc wstrząsnąć nadmiernym

przerostem fiskalizmu, trzeba przyłożyć siekierę przedewszystkiem do jego korzenia, którym jest — naukowa wiedza fiskalna. Aparat skarbowy jest bowiem w gruncie rzeczy tylko jej świadomym lub podświadomym wykonawcą, opiera się na jej wnioskach i twierdzeniach, chociaż twierdzenia te swą demagogją lub etatyzmem znacznie wyolbrzymia i wypacza.

Podcięcie więc tych korzeni naukowo-ekonomicznych, czyli przeprowadzenie odpowiedniej rewizji wiedzy ekonomicznej i nauki skarbowości w duchu objektywizmu i trzeźwych wymagań XX-go wieku, jest najpierwszym warunkiem wszelkiej racjonalnej sanacji stosunków fiskalnych i życia gospodarczego w państwie. A jest to niezbędnem dlatego, że nauka o skarbowości tkwi wciąż jeszcze podstawami swemi w zamierzchłej epoce kameralizmu. Wydaje się, że olbrzymi postęp, jaki w ostatnich stu latach zaznaczył się na wszelkich polach, ominął ją zupełnie. Naukowe uzasadnienie różnych świadczeń fiskalnych jest dziś już stanowczo przestarzałe, niekiedy wprost absurdalne. Nie wytrzymuje objektywnej krytyki, ani logicznego rozumowania.

A nadto panuje na tej platformie naukowej pewna wielka sprzeczność. Z jednej strony bowiem wszelakie systemy naukowej ekonomji politycznej, od najliberalniejszych, aż do mocno etatystycznych, narzucają nam tysięczne sposoby bogacenia się, wtłaczające nas gwałtem — czy chcemy, czy nie — do złotej, a przynajmniej pozłacanej klatki dobrobytu, z drugiej zaś dział tejże ekonomji, zwany nauką skarbowości, wysila się wszelkimi sposobami na uzasadnienie zdzierania z nas siedmiu skór. Tę zasadniczą sprzeczność trzeba jednak jakoś wyrównać, uwzględniając przedewszystkiem, że największem dobrem człowieka, największem szczęściem myślącej jed-

nostki jest nie bogactwo, ani nadmierny przymus gwałtem narzuconych dobrodziejstw państwowych, ale — swoboda. Przypominam znaną bajkę o wilku, który sytemu psu, uwiązanemu na łańcuchu, odpowiada: Lepszy na wolności kęsek ladajaki, niźli w niewoli przysmaki!

I o tej kapitalnej prawdzie nie powinni zapominać w wywodach swych i pociągnięciach ani urzędowi, ani naukowi uszczęśliwiacze ludzkości. Powinna powstać obecnie naukowa szkoła ekonomiczna, któraby podjęła bardzo poważne zadanie odpowiedniej, gruntownej rewizji i modernizacji zasadniczych tez ekonomji naukowej, a zwłaszcza jej działu, traktującego o skarbowości. Gdy z takiej rewizji wyłonią się nowe formuły, zgodne z nowoczesnymi warunkami i wymaganiami prostego, zdrowego rozsądku i objektywizmu, to wprawdzie ustrój i praktyka oficjalnego aparatu fiskalnego nie odrazu może ulegną pożądanym zmianom, utrzymywać będą się jeszcze przez pewien czas prawem inercji, ale stracą swą moc i staną się podatniejsze do wprowadzenia odpowiednich reform zasadniczych.

W ten sposób docieramy psychologicznie do najgłębszego sedna dzisiejszego problemu gospodarczego, mianowicie do samego pojęcia państwa — ojczyzny. Od zasadniczego sprecyzowania tego pojęcia zależy bowiem cała dalsza ewolucja nietylko życia gospodarczego, ale i stosunków społecznych i stosunku jednostki do państwa.

Dawne, ultra-romantyczne pojęcie Ojczyzny, jako niby jakiejś nadziemskiej świętości, celu marzeń, westchnień i cierpień bezmiernych, któremu wszystko, bez wyjątku i wahania, pod grozą klątwy narodowej stale poświęcać trzeba, który w pewnych momentach dramatycznych uświęca nawet zbrodnie, — byle tylko pro publico bono popełniane—takie po-

jęcie Ojczyzny, wychodowane i wyolbrzymione w długoletnim okresie rozbiorów, utrzymać się już szczerze i uczciwie nie da w trzeźwych stosunkach XX-go wieku i wobec realnie już istniejącego państwa polskiego. Rozumiemy cierpienia dla idei ojczystej w epoce niewoli, ale coraz mniej rozumiemy, dlaczego mamy ciągle jeszcze i stale cierpieć dla realnego państwa, które stworzyliśmy sobie wśród ciężkich ofiar przecież nie dla dalszego biczowania się w nieskończoność, ale oczywiście dla pewnych własnych korzyści? Rozumiemy, że utrzymanie tej instytucji państwowej może wymagać od nas w pewnych momentach nawet wielkich, doraźnych ofiar krwi i mienia, ale coraz mniej rozumiemy, dlaczego ta instytucja ma mieć prawo ściągania z nas stale w normalnych warunkach wszystkiego — aż do ostatniej koszuli? Taka wszechwładza, taki nadmierny ciężar państwa — ojczyzny coraz mniej już daje się pogodzić w nowoczesnych warunkach z prawdziwem, szczerem uczuciem patrjotycznem.

A równocześnie stwierdzić należy objektywnie, że z innego także punktu widzenia przeholowaliśmy dzisiaj stanowczo z wyolbrzymianiem nadrzędnej idei państwa. Chcąc bowiem naprawić błędy przeszłości, kiedy szlachcic był wszystkiem, a państwo niemal niczem, wpadliśmy obecnie w przeciwną zasadę, niemniej niebezpieczną. Dzisiaj fikcja wszechwładzy państwa, wcielona już nietyle w symbol orła białego, ile w egzekutora podatkowego i w nieznośny przymus wszelakich dobrodziejstw społecznych, w gruncie rzeczy demagogicznych, miażdży jednostkę coraz bardziej, przewalcowując ją ostatecznie na jakiś bezwolny — i to lichy — motor do płacenia podatków, pozbawiając ją coraz bardziej mienia, zarobku, twórczości i radości życia. Nie trzeba wcale głosić otwarcie marksowskiej doktryny, ani in-

nych systemów społecznej niewoli, gdyż wprowadzają się one same w ustrój nowoczesnego państwa i to często rękoma tych sfer, które formalnie najbardziej zwalczają doktrynę socjalistyczną.

Nie, w takich warunkach, wśród takiej atmosfery pojęć, nigdy nie wydobędziemy siebie, ani państwa z kryzysu. Absurdem jest przyznawać państwu prawo stałego ogałacania wszystkich ze wszystkiego, a jeszcze większym absurdem jest narzucać sobie gwałtem i przymusem rzekome dobrodziejstwa społeczne, pod których ciężarem wszystko się ugina. My nie chcemy narzuconych dobrodziejstw, ale przedewszystkiem swobody. Nie chcemy, aby poważni obywatele traktowani byli jak dzieci lub niewolnicy. Nie w tem widzimy istotę prawdziwej, pożądanej dyscypliny państwowej.

Koniecznem jest więc przywrócenie w tym krańcowo pojętym stosunku państwa do jednostki odpowiedniego umiaru i równowagi, w przeciwnym bowiem razie z całą otwartością i odwagą cywilną stwierdzić musimy, że gruba przesada, w której żyjemy, wywołuje w umysłach jednostek wręcz antypaństwowe uczucia, do których oczywiście nie każdy otwarcie się przyznaje, a które niezbyt odległe są od cynicznego wyrażenia: gdzie dobrze, tam ojczyzna! Smutne to, ale nieuniknione w danych warunkach, bo ostatecznie każdy człowiek jest najpierw człowiekiem, a potem dopiero obywatelem.

Wprowadzenie rzeczonego umiaru i równowagi w przesadne lub zbyt romantyczne pojęcia o roli państwa-ojczyzny zapoczątkować musi oczywiście także odpowiednią rewizję systemu i aparatu fiskalnego, a w pierwszym rzędzie rewizję pewnych zasadniczych pojęć z zakresu wiedzy ekonomicznej i skarbowej. Przyczyni się również do wypośrodkowania i dokładniejszego sprecyzowania t. zw. ko-

nieczności państwowych, które to pojęcie szczególnie jest dzisiaj rozciągliwe, a nieraz i nadużywane dla różnych doktryn i względów, które należałoby z gospodarki państwowej i z fiskalizmu stanowczo wykluczyć, przez co wszystkie budżety oficjalne i prywatne doznałyby z pewnością wielkiej ulgi.

Zdajemy sobie sprawę, jak ciężką podejmujemy walkę. Bo walka to nie z jednym ministrem skarbu lub z jednym urzędem fiskalnym, nawet nie z jakąś poszczególną doktryną ekonomiczną, ale z całym, olbrzymim „systemem ustabilizowanym“ pojęć i praktyk, zakostniałym od niepamiętnych czasów w mózgach ludzkich, a rozrośniętym w nowszych czasach do rozmiarów paraliżującej sklerozy społeczno-gospodarczej i politycznej. Wzywamy do współdziałania w tej walce wszystkich, którzy, łamiąc w sobie ten system ustabilizowany, zdolni są do trzeźwego, logicznego i konsekwentnego, a przez to i szczerego sądu o sprawie.

Ale jeżeli w tej walce, na tym froncie, stanąć mają prywatne sfery gospodarcze z podniesionem czołem i z odpowiednią mocą argumentu, to muszą przedewszystkiem same oczyścić się z własnych, przestarzałych pojęć i dążeń, które także stanowią ważny szkopuł w odrodzeniu i pożądanej modernizacji warunków życia gospodarczego. Muszą wyzbyć się bardzo nieraz upartej jednostronności i dokonać na sobie śmiałemi cięciami krytycznego skalpelu odpowiedniej rewizji. Tylko bowiem ideowo oczyszczony człowiek lub grupa, czy warstwa ludzi może śmiało od państwa czegoś żądać.

Otóż na tym prywatnym froncie niezbędne są przedewszystkiem dwie walne reformy, a mianowicie:

Po pierwsze, wyraźne uznanie prawdy, że życie gospodarcze nie jest i nie może być nigdy celem sa-

mym dla siebie, któremu wszystko inne w państwie musi się za wszelką cenę podporządkować, ale że ma tylko o tyle rację bytu, o ile odpowiada istotnie potrzebom i sile nabywczej społeczeństwa w każdej danej epoce. Aksjomat ten, w tak ogólnej formie wypowiedziany, ma jednak olbrzymie praktyczne znaczenie dla każdego prywatnego przedsiębiorcy. Właściciel bowiem lub kierownik jakiegokolwiek warsztatu pracy gospodarczej, który prawdę tę uzna i będzie ją mieć zawsze przed oczyma, prowadzić będzie swój warsztat rozumnie i z mądrem przewidywaniem przyszłości, nie zasklepi się w krótkowzrocznem, podwórkowem geszefciarstwie, nie zabrnie lekkomyślnie w długi lub w nadmierne inwestycje w bezkrytycznem dążeniu do jak największego wyzyskania przygodnej, korzystnej konjunktury, po której zła może nastąpić i wpędzić go w położenie bez wyjścia, bankructwo lub rozpaczliwe rzucenie się w objęcia państwowego interwencjonizmu, czy nawet etatyzmu. Przedsiębiorca zaś, który nie uznaje nic innego, oprócz wszechwładzy doraźnego interesu — co błędnie nazywa realizmem kupieckim — żyje z dnia na dzień, bez racjonalnej myśli o jutrze i w ostatecznym rezultacie swych różnych, rozpaczliwych usiłowań podtrzymywania nieżywotnego już warsztatu za wszelką cenę staje się w istocie ciężarem dla społeczeństwa, gospodarstwa i dla państwa, a nadto najszkodliwszym, choć mimowolnym, rozsadnikiem etatyzacji i poprostu socjalizacji ustroju gospodarczego w ciężkiej dobie zmagań prywatnego kapitalizmu z marksizmem, którą właśnie przeżywamy.

Powtóre, stanowczo muszą same sfery gospodarcze — oczywiście poważne — wydać zdecydowaną kampanję absurdalnemu przerostowi pośrednictwa, który w obecnym rozmiarze i w obecnej swej anar-

chji najdotkliwiej niszczy życie gospodarcze, a zwłaszcza rentowność produkcji i podcina rozwój prawdziwego, ekonomicznie i społecznie uzasadnionego handlu w Polsce. Przecież na dwóch ludzi w Polsce trzech zajmuje się pośrednictwem i to w przeważnej części zbędnem, nieproduktywnem, zgoła pasożytniczem! Wypacza się przez to właściwa rola i racja bytu handlu, ceny rosną, jak na drożdżach, bez żadnego nieraz usprawiedliwienia, a usługa handlowa, zamiast trzymać się dobrej, starej i etycznej maksymy umiarkowanych zysków poszczególnych przy dużym obrocie, pochłania bezkrytycznie olbrzymie stawki zarobkowe, nieraz lwią część zarobku z danego towaru, przy kurczącym się oczywiście w zastraszający sposób obrocie. Rzec można, że nadmiar handlu, chcąc być celem samym dla siebie, stał się dotkliwym hamulcem sobie samemu.

Tej więc anarchji i rozdętości handlowania, tej absolutnej, bezgranicznej swobody pośrednictwa, która ciężkim kamieniem zaważyła na kryzysie gospodarczym, nie powinny żadną miarą bronić poważne sfery handlowe i uważać jej, jak dotąd, za jakieś nietykalne tabu. Należy koniecznie podjąć zdecydowaną akcję celem bardzo znacznej redukcji ilościowej (tj. redukcji przedsiębiorstw i pośredników handlowych wszelkiego rodzaju), a natomiast jakościowego podniesienia handlu w Polsce, nie wahając się przed żądaniem gruntownego oczyszczenia i uporządkowania tej olbrzymiej branży gospodarczej zapomocą wprowadzenia do niej odpowiedniego cenzusu kwalifikacyjnego i pewnego systemu koncesyjnego, czemu przecież w większym lub mniejszym stopniu podlegają wszystkie inne zawody.

Oczywiście, żadne względy uboczne, a więc polityczne, czy narodowościowe i t. p., nie powinny być w tem brane pod uwagę, gdyż takie protek-

cyjne przesłanki, w jakimkolwiek wysuwane zamiarze, stwarzać będą tylko błędne koło bez wyjścia w ciężkim upadku gospodarczym, który dotyka cały handel, całe gospodarstwo krajowe i niemal wszystkich obywateli.

Oto, Szanowni Panowie, najważniejsze podstawy i postulaty, a zarazem właściwe granice i cele naszej Sekcji gospodarczej. W dalsze szczegóły nie wchodzę, bo niepodobna w jednem, nawet długiem przemówieniu, ująć i objaśnić całokształtu naszych tez, wyszczególnionych w ostatnim tomie Naszej Przyszłości. Będzie to właśnie zadaniem dalszych prac naszych.

A gdyby spotkać nas miał zarzut, że porywamy się na zbyt wielkie rzeczy, przerastające naszą kompetencję i nasze siły, to zarzut taki pozwolę sobie tu uprzedzić zacytowaniem pewnej bajki, znanej z pewnością Szanownym Panom z lat dziecinnych.

A więc była sobie pewnego razu piękna królewna, którą jakaś złośliwa wróżka, zagniewana na króla, iż nie zaprosił jej na chrzciny, dotknęła ciężką chorobą, zakląwszy pod jej łoże ropuchę, której trujące wyziewy przyprawiły o niemoc królewnę. Zrozpaczony ojciec napróżno gromadził u jej łoża najsławniejszych lekarzy i mędrców z całego państwa. Wszelkie leki, cała wiedza fachowa, okazywały się daremne. Królewna gasła w oczach wszystkich. Aż oto pewna życzliwa wróżka zdradziła tajemnicę prostemu pastuszkowi, który strzegł stad królewskich w pobliżu zamku. Pastuszek stawił się u bramy zamkowej, oznajmiając, że zna sposób uleczenia królewny. Oczywiście wyśmiano go i chciano kijem odpędzić.

— Jak to — wołano — ty, nędzny pastuszku, chcesz być mędrzejszym od tych wszystkich mędrców, fachowców, autorytetów, których król powo-

łał, a którzy, wszyscy razem, nie są wstanie zwalczyć choroby?!

Ale, że to pastuszek był zadzierżystym chłopakiem i z uporem domagał się wstępu, więc wkońcu go do pokoju królewny dopuszczono. Chwycił siekierę, odrąbał deski w podłodze pod łożem królewny, zabił ropuchę i — odtąd, ku zdumieniu wszystkich, moc czarów przestała działać. Królewna przychodzić zaczęła do zdrowia i wówczas też dopiero zalecane przez mędrców leki zaczęły pomyślne wydawać rezultaty.

Otóż rolę tego prostego człowieka, natchnionego tylko pewną dozą trzeźwego objektywizmu i zdrowego rozsądku, a wolnego od wszelkich doktryn, ubocznych względów i systemów ustabilizowanych, bierzemy na siebie. Przed konsekwentnem pełnieniem tej roli nie cofniemy się, o popularność nie dbamy, na słowa mistrzów bezkrytycznie przysięgać nie będziemy, bo dziś już nie czasy, kiedy wierzono tak bezmyślnie w słowa Arystotelesa, że za ich krytykę szło się na stos!“

W dyskusji zabrał głos najpierw członek zarządu Związku, dyrektor Marek Mysłakowski, objaśniając zebranym w dłuższym, dokładnym wywodzie treść i znaczenie szeregu tez gospodarczych, ogłoszonych w ostatnim tomie Naszej Przyszłości przez podkomisję Sekcji, a odnoszących się do całokształtu wspomnianej przez przedmówcę rewizji dotychczasowych, ustabilizowanych pojęć w prywatnych sferach gospodarczych o celach wszelkiej pracy ekonomicznej, jej właściwych granicach, jej racjonalnym stosunku do życia społecznego i państwa, wreszcie o istotnej roli wymiany handlowej i pośrednictwa wogóle. Podnosząc z naciskiem ogólną, wielce szkodliwą tendencję „galwanizowania tru=

pów“, tj. forsownego, sztucznego podtrzymywania zdezaktualizowanych, nieżywotnych już przedsię= biorstw, nieraz z funduszów publicznych, co im na dłuższą metę i tak nic nie pomaga, a budżet publicz= ny daremnie obciąża i wskazując, że przestarzała ta tendencja jest symptomem szkodliwej i amoralnej ideologji handlarskiej „bogacenia się w nieskończo= ność za wszelką cenę, nawet za cenę zupełnego wy= paczenia tego amoralnego celu i pogrążania przed= siębiorstw w bankructwo“, przytoczył prelegent cie= kawy przykład, charakteryzujący wymownie dobre zrozumienie tej sprawy przez ekonomicznie bardzo wyrobione wielkie przedsiębiorstwa na zachodzie. Mianowicie pewna angielska światowa firma nafto= wa umieściła niedawno na swych afiszach reklamo= wych wizerunek przedhistorycznego dinosaura z podpisanem pytaniem, dlaczego ten potwór zni= knąć musiał z powierzchni ziemi? — oraz odpowie= dzią, że nastąpiło to dlatego, iż nie był wstanie do= stosować się do ewolucji warunków. Podobnie też, brzmiało dalsze wyjaśnienie, zniknąć musi z po= wierzchni ziemi każde przestarzałe, niedość ela= styczne przedsiębiorstwo. Ale dana firma rozwija się pomyślnie mimo wszelkich zmian konjunktur powojennych i tem właśnie składa dowód swej ży= wotności i t. d. Niepodobna — zakończył mówca — odmówić słuszności temu oryginalnemu ogłoszeniu, które uzmysławia najlepiej i najpraktyczniej racjo= nalną walkę z panującym kryzysem.

Następnie przemówił redaktor Józef Czarnecki, długoletni uczestnik dawnego Koła Przyjaciół Na= szej Przyszłości, obecnie członek kilku sekcji Zwią= zku.

„Szanowny mój przedmówca rozważył wszech= stronnie, choć oczywiście w ogólnym tylko zarysie,

doniosłe znaczenie odpowiedniej, pożądanej zmia= ny psychiki sfer gospodarczych dla uzdrowienia go= spodarstwa narodowego. Ale życie gospodarcze w kraju nietylko z tej strony doznaje hamulca. Na jego tragiczne dzisiaj oblicze wpływa niemniej od czynnika prywatnego także czynnik publiczny w po= staci fiskalizmu, który, niby jakiś potworny polip, oplótł tak dokładnie wszystkie tkanki organizmu gospodarczego, że wysysa z nich całą niemal treść.

W ten sposób życie gospodarcze stanęło na plat= formie dwóch sprzeczności. Z jednej strony nauka ekonomji wysila się nad tem, aby ludzi nauczyć sztu= ki bogacenia się, a z drugiej nauka skarbowości, któ= rej praktyczną konsekwencją jest fiskalizm — robi wszystko, aby obedrzeć człowieka do ostateczności z jego mienia i dochodu.

W tych warunkach niepodobna spodziewać się jakiejkolwiek lepszej przyszłości dla gospodarstwa narodowego. Trudno też znaleźć właściwe kryterjum dla oceny istotnej żywotności, racjonalności i aktyw= ności gospodarki prywatnej, skoro każdy proces gospodarczy zagrożony jest i zaatakowany w samym swym rdzeniu przez zaborczy fiskalizm, usprawie= dliwiający w dodatku tę swą zaborczość różnemi szczytnemi hasłami, a nawet fikcjami. Nie jest jed= nak właściwem naszem zadaniem wdawanie się w szczegóły systemów fiskalnych, conajwięcej bę= dziemy przytaczać je niekiedy dla ilustracji naszego rozumowania, natomiast za istotny cel stawiamy so= bie wykrycie i zakorkowanie tego zatrutego źródła, z którego fiskalizm państwowy czerpie swe siły. A źródłem tem jest obecna, ustabilizowana i wszech= władnie obowiązująca oficjalna wiedza fiskalna, któ= ra tworzy teoretyczne fundamenty pod smutną prak= tykę fiskalizmu różnych systemów.

Podjęliśmy więc trudną i wielce oczywiście nie=

popularną inicjatywę — idącą, jak zresztą cała nasza praca na wszystkich odcinkach, po linji największego oporu — podkopania się pod katedry tej w praktycznych swych rezultatach niewątpliwie szkodliwej wiedzy, naturalnie w obecnym jej stanie i wstrząśnienia niemi przez ujawnienie jej przestarzałości, a więc i szkodliwości w różnych kierunkach. Dzisiejsza wiedza fiskalna, sięgająca swymi zasadniczymi fundamentami ze dwa wieki wstecz, jest złą zaiste siostrą ekonomji naukowej, zawiera w twierdzeniach swych i w uzasadnieniu „naukowem" różnych danin publicznych wiele absurdów, nie wytrzymujących logicznej krytyki obecnych czasów i obecnego położenia. Musi więc stanąć przed sądem zdrowego rozsądku, bo jeżeli nadal będzie nam panować w dotychczasowej postaci, uwieńczona nimbem uniwersyteckiego autorytetu i podtrzymywać moralnie, a raczej niemoralnie, system świadczeń publicznych w jego obecnej, jaskrawej nieraz niesprawiedliwości i doktrynerstwie, to niedorzecznem byłoby oczekiwać jakiejkolwiek poprawy gospodarczej.

Przecież zdać sobie trzeba sprawę z oczywistego faktu, że w dzisiejszym ustroju fiskalnym im więcej ktoś pracuje i zarabia, tem więcej przez nacisk fiskalny traci. Im większa w kraju bieda, tem cięższe nakładają się podatki. Jest to nonsens sam w sobie, udrapowany sztucznie flagą dobra kraju, który jednak wyklucza zgóry jakąkolwiek możność poprawy prywatnej i państwowej niedoli gospodarczej, a nawet wyklucza wszelką rozumną dyskusję nad poprawą. Wszak cokolwiek komukolwiek nieco lepiej się powodzi, to odrazu fiskalizm mu zabiera, a wiedza naukowa bezmyślnie ten zabór sofistycznymi frazesami uzasadnia, a przynajmniej usłużnie go toleruje. Jak więc można w takich warunkach bredzić o naprawie katastrofalnej sytuacji!

To, co w tej chwili jest w gospodarstwie naszem, przypomina mi dwa afisze, które widziałem w tramwaju — chyba przez jakiś złośliwy przypadek obok siebie umieszczone. Na jednym z nich siedzi na plastrze miodu pszczółka, a napis głosi: „Zarabiaj, oszczędzaj, składaj!“ Na drugim przedstawiona jest głowa ludzka, wciśnięta w szrubsztak, symbolizujący migrenę: oczy wytrzeszczone, włos zwichrzony, usta wykrzywione bólem. A pod tem reklama proszków pod firmą „Pszczółka“ na ból głowy. Gdy wpatrywałem się w te dwa afisze, przyszło mi mimowoli na myśl, jaki to los bolesny czeka pracowitą pszczółkę polską, jeżeli uwierzy w hasło pracowania i oszczędzania!

Oświadczyć muszę kategorycznie, że nie wierzę i nie uwierzę nigdy w możliwość postępu życia gospodarczego, dopóki na pracowite pszczoły gospodarcze czyhać będzie śruba fiskalna. Bo i gdzież znajdą się ludzie, skłonni wziąć na siebie rolę ożywienia produktywności gospodarczej, jeżeli będą mieli na każdym kroku odstraszający przykład losu, jaki ich czeka!

Wyścig pracy, do którego nas wezwano, zamienia się w parodję, w której zwyciężają najczęściej ci, którzy idą bocznemi drogami, manowcami, poza normalnym torem gospodarczym, przy pomocy systemu czy to nadużywania kredytu państwowego, czy zręcznych kombinacji podatkowych, przy fałszowaniu bilansów i tajeniu zysków, wyprowadzając w pole tego stojącego u mety egzekutora, o którym wspomniał p. Przewodniczący. Ale — dajmy świadectwo prawdzie — dla ludzi rzetelnej pracy, niezdolnych psychicznie do owego prześlizgiwania się manowcami, a niepragnących również drobnostkowej, przygniatającej i niszczącej owoce pracy kurateli państwa, nie masz miejsca na starcie w obec-

nym, tak zwanym przez nieporozumienie, wyścigu pracy.

O ile przyjmiemy za słuszne założenie, że życie gospodarcze nie jest celem samym w sobie i że na bezładną, bezgraniczną ekspansję gospodarczą muszą być nałożone odpowiednie hamulce, wynikające z zasady przystosowania i użyteczności gospodarki dla człowieka, o tyle w konsekwencji musimy także uznać, że fiskus też nie jest celem, dla którego życie gospodarcze funkcjonuje. Fiskus musi tak samo liczyć się z człowiekiem, a jeżeli się nie liczy, to jest wręcz szkodliwy dla człowieka i dla państwa. Niedobrze jest i niemoralnie tańczyć przed złotym cielcem nieograniczonej prosperity, ale równie źle jest po to tuczyć tego cielca, by go pożarł całkowicie Moloch państwa.

A tymczasem naukowa wiedza fiskalna wywindowała swą uczoną argumentację państwa na taki piedestał, że z jego wysokości ogół obywateli wygląda jak stado, przeznaczone na rzeź ofiarną.

Sekundują jej w tem różni, którzy operują zbyt szumnie hasłem Ojczyzny. Ta Ojczyzna w ich ujęciu, to właśnie owo słynne, ale nawskroś pogańskie „suprema lex", w imię którego rozgrzeszane są wszelkie bezprawia. Zacietrzewieni ci patrjoci nie baczą na to, że taka, dławiąca wszystko ojczyzna zaczyna przedstawiać się swym obywatelom, a raczej delikwentom, istotnie w postaci jakiegoś Wielkiego Inkwizytora i Egzekutora, tracąc natomiast cały swój czar i urok, dawniej z pojęciem Ojczyzny tak silnie w polskiej duszy związany.

Oczywiście, należy ojczyznę czcić i kochać całą duszą i ponosić różne dla niej ofiary — ale życie w ojczyźnie nie może być przecież ustawicznym stosem ofiarnym! Muszą przecież w życiu tem być także chwile wytchnienia, musi budować się taki system

rządzenia, aby w ojczyźnie obywatelom rzeczywiście dobrze się działo, a nie tak, jak to często dzisiaj bywa, że istotną niedolę zasłaniają szumne, wymuszone frazesy. Na dzisiejszym poziomie kultury i powszechnego uświadomienia trudno wyobrazić sobie, żeby mogła długo ostać się ojczyzna, w której obywatel stale źle się czuje. Żyć i pracować dla ojczyzny nie może być równoznacznem z ustawiczną grozą utraty majątku, warsztatu pracy i chleba powszedniego.

W Meksyku był zwyczaj za krótkich rządów cesarskich, że po kraju rozjeżdżali się przedstawiciele cesarza i jeśli usłyszeli więcej, niż dziesięć skarg na trudności życia, to cesarz przystępował do reformy. U nas, gdyby rozesłać dzisiaj takich kontrolerów, to wątpię, czy zebraliby w całym kraju choć dziesięć głosów szczerego uznania dla panujących stosunków ekonomicznych. A o reformach, rzetelnych, gruntownych reformach jakoś nic nie słychać. Wciąż tylko wzrost podatków w nieskończoność, w niektórych wypadkach ponad sto procent istotnego dochodu...

Opowiadają, że swego czasu, w epoce jeszcze dobrej konjunktury, przyszła do ministra skarbu delegacja kupców z prof. Zawadzkim na czele, przedstawiając, że należy skorzystać z pomyślnej konjunktury dla obniżenia podatków. Minister odmówił. Po latach prof. Zawadzki został sam ministrem skarbu i znów przybyła do niego delegacja z prośbą o zniżkę podatków z powodu złej konjunktury. Na to minister Zawadzki miał odpowiedzieć: „Przecież panowie przypominają sobie, że w swoim czasie byłem za redukcją podatków w okresie dobrej konjunktury, jakże więc mogę podejmować tę reformę w dzisiejszej złej konjunkturze?“

Otóż stanowczo jesteśmy zdania, że w obecnej

fatalnej konjunkturze, kiedy cały system fiskalny doszedł do absurdu, należy właśnie podjąć jego rewizję i zacząć ją od podstaw, tj. od naukowych źródeł systemu.

Punktem wyjścia bowiem wiedzy fiskalnej, obowiązującej na katedrach naukowych, którą zbudował klasyczny, choć smutnej pamięci, kameralizm, jest — ogółem biorąc — pojęcie państwa, jako czynnika nadrzędnego, jakgdyby oderwanej od społeczeństwa fikcji, która ma prawo dla swych potrzeb, rzeczywistych lub nieraz nawet dowolnie urojonych, pochłonąć obywatela w całości. Temu założeniu przeciwstawiamy pojęcie „obywatela w państwie", a więc obywatela wolnego, mającego możność do wielostronnej twórczości i ekspansji ekonomicznej i kulturalnej. Tę możność zapewnić może mu tylko mocne utrwalenie prawa własności prywatnej i prawa do zarobku z uczciwej pracy.

System fiskalny musi być zatem tak skonstruowany, aby nie naruszał prawa własności, ani bezpośrednio, ani pośrednio, a prawa do zarobku z pracy nie karykaturował w formie — niewolnictwa państwowego. To musi zniknąć. Inaczej panować będzie zamaskowany eksproprjacjonizm i nic nie pomogą wszelkie frazesy o potrzebach ojczyzny i t. p. Mając do czynienia z taką ojczyzną, wielu pomyśli sobie — choć będzie się obawiało głośno to wypowiedzieć — że ubi bene, ibi patria i będzie mimowoli wzdychać do emigracji.

Trzeba więc śmiało, bez fałszywego sentymentalizmu, poddać rewizji pojęcie ojczyzny — to, ukształtowane dawniej, w warunkach niewoli i to, mające obowiązywać dziś, w okresie osiągniętej już niepodległości, w epoce organicznej rozbudowy państwa. Mam bowiem głębokie przekonanie, że na tej dopiero psychologicznej podstawie możliwem

będzie racjonalne ustalenie stosunków gospodarczych i budżetowych w państwie.

Dawniej Ojczyzna była dla nas czemś w rodzaju mitu, jakimś dalekim, tęskną legendą otoczonym Monsalwatem, do którego dążyło się w marzeniach i cierpieniach i do którego zdobycia trzeba było jednorodnego, bohaterskiego napięcia woli. W gruncie rzeczy łatwiej było jednak zdobyć się wówczas na pojęcie ojczyzny, gdyż określało się ono błyskiem bagnetów i napięciem irrydentystycznej woli. Dziś natomiast, w ramach już zrealizowanego państwa, pojęcie ojczyzny i jej praktycznej już egzystencji „rozpadło się i zdecentralizowało w systemie różnych funkcjonalnych ośrodków państwowych. Ojczyzną są dziś więcej poszczególne dziedziny jej życia, związane z doktryną i praktyką grupowych potrzeb i interesów, niż dawna jednolita, wymarzona — choć bolesna — całość.“ Ojczyzna — to był dawniej program, oparty o przeszłość i sięgający w przyszłość, w aktualnym zaś momencie będący tylko marzeniem.

Obecnie zaś ojczyzna jest to realna, aktualna, dzisiejsza *rzeczywistość*, wprawdzie również ufundowana na przeszłości i pewnym konstruktywnym planem sięgająca w przyszłość, ale w której dzień dzisiejszy jest bądź co bądź najważniejszym, gdyż jest dniem historycznym, w odróżnieniu do każdego dnia z okresu niewoli, w których naród nie mógł żyć pełnią historycznego życia. Stąd też na wszelkie kwestje bieżące, najprostsze, naszego życia zbiorowego trzeba dziś chcieć i umieć spojrzeć z punktu widzenia ich praktycznej doniosłości dziejowej dla narodu i ojczyzny. Trzeba więc bardzo ostrożnie, z całym pożądanym, krytycznym objektywizmem odnosić się do różnych haseł pracowania za przeszłość i na przyszłość, albowiem tworzenie dnia dzi-

siejszego, wraz z poczuciem odpowiedzialności za tę tworzoną z własnej naszej woli teraźniejszość, jest również aktem historycznym.

Staje się przeto koniecznem nietylko zrewidowanie dawnych haseł i postulatów, ale w tym celu także przezwyciężenie samych siebie, zdemaskowanie różnych wspomnień i marzeń w obliczu twardego realizmu.

Życie narodu nie da się dziś zamknąć li tylko w egzaltowanem uwielbieniu rycerskiego bohaterstwa, w polotnej tęsknocie za wielką ideą. Idea ta stała się bowiem już ciałem i trzeba teraz pielęgnować mądrze a pieczołowicie wzrost tego ciała wśród wielce zróżnicowanych form zbiorowej jego egzystencji. Nie wolno zapominać, że technika tej egzystencji zajmuje dziś siłą rzeczy więcej miejsca i ma większy wpływ na życie państwa i społeczeństwa, niż czczy idealizm. W związku z tem stwierdzić więc należy, że zbyt wybujałe, zbyt wszechwładne pojęcie nadrzędności państwa nie da się już dzisiaj trwale w przekonaniach ludzkich utrzymać.

Dlatego też prawdziwego wyrazu i sensu ojczyzny trzeba dziś szukać nieraz wśród takich, napozór poziomych rzeczy, jak system fiskalny i system gospodarczy wogóle. Jeżeli w tych rzeczach nie znajdziemy także odbicia ojczyzny, to mimowoli narzuci nam się przekonanie, że ojczyzna jest wogóle fikcją. Bo przecież, trzeźwo biorąc, tylko ojczyzna, pojęta jako panaceum powszechnego szczęścia, może być naprawdę drogą ludzkiemu sercu.

Czem ma być finansowe świadczenie obywatela na rzecz ojczyzny — a więc podatek — świetnie to określa broszura, wydana w czasie Sejmu Czteroletniego. Jej autor — bodaj sam Staszyc, gdyż broszura jest bezimienna — powiada: „Podatek powinien być potrzebom kraju odpowiednio wystarczający,

sprawiedliwy podług każdego majątku, powszechny, każdego obywatela dotykający, w wybieraniu nieuciążliwy, *nie kosztowny dla wielości urzędników.*"

Podkreślam zwłaszcza to ostatnie, jako w praktyce rzecz kapitalnego znaczenia, gdyż ogrom aparatu fiskalnego przyczynia się dotkliwie do wzrostu świadczeń publicznych obywatela, a ogrom ten jest skutkiem nadmiernego zróżniczkowania i skomplikowania systemu świadczeń. Oczywiście, w cytowanem zdaniu broszury znajdujemy ślad założeń Adama Smitha, z jego czterema tezami o równości, pewności (a nie dowolności), dogodności i taniości podatku i sposobu jego ściągania. Ale słuszności tych tez niepodobna kwestjonować i warto je powtórzyć dziś, w okresie ponownego kształtowania się naszej państwowości.

Lecz zastanówmy się nad tem, co to jest właściwie podatek?

W katolickim kodeksie socjalnym czytamy: „Podatek, czyli udział w ciężarach publicznych bez osiągania bezpośrednich dla płatnika korzyści, nie jest ciężarem rzeczowym, lecz osobowym obywateli, w tem znaczeniu, że obciąża bezpośrednio nie dobra, lecz ich właścicieli" (teza 144).

I to jest najistotniejsze: obciążenie jednostki, a nie rzeczy. A stąd łatwy już wniosek, który moralnie przynajmniej katolików winien obowiązywać, że wszelkie podatki, zmierzające do naruszenia majątku obywatela, są nieusprawiedliwione i wynikający z nich przymus jest nadużyciem. W logicznej zaś konsekwencji nadużycie to staje się, krusząc majątek, a więc i dochód społeczny, szkodliwem dla państwa. Rzecz inna, że w pewnych momentach może państwo apelować do serca, rozumu i instynktu państwowo — zachowawczego obywateli, domagając się od nich nadzwyczajnych ofiar na cele pu-

bliczne. Trzeba to jednak traktować jako akcję izolowaną, doraźną, a wszelkie ustabilizowanie takich nadzwyczajnych, z głębszą ofiarnością związanych danin uznać należy za niemoralne i dla państwa szkodliwe.

Od czego więc właściwie należy pobierać podatek?

Rozumujmy logicznie. Skoro — pomijając wyjątkowe okoliczności pobierania danin w naturze — urzędy podatkowe wymagają od płatnika świadczeń w gotówce, a mobilizowanie tej gotówki przez płatnika, rozumnie biorąc, nie powinno uskuteczniać się drogą wysprzedaży jego warsztatu pracy i substancji majątkowej wogóle, wynika więc z tego jasno i logicznie, że podatek obciążać winien właściwie tylko dochód gotówkowy obywatela. Obciążenie zaś jakiegoś fikcyjnego dochodu, przez abywatela w gotówce niezrealizowanego, jest logicznie nieusprawiedliwionem, gdyż dochód, gotówkowo nieuchwytny, nie jest żadnym realnym dochodem, skoro z takiego fikcyjnego dochodu (np. od niezrealizowanego w gotówce przyrostu wartości majątku wskutek jakichś konjunktur, często tylko przejściowych) płatnik nie jest w stanie wydobyć gotówki na zapłacenie podatku, chyba, że zmuszony będzie naruszyć w tym celu swą substancję majątkową lub zadłużyć swój warsztat pracy.

W zasadzie więc państwo, o ile w doktrynerskich założeniach nie chce samo sobie szkodzić, ma prawo ściągać od obywatela podatek tylko od dochodu. Uzasadniła to już „Nasza Przyszłość“ w ogłoszonych niedawno tezach gospodarczych.

Tak więc pobieranie podatku od przyrostu wartości majątku jest nadużyciem. Trudno bowiem, a właściwie absolutnie niepodobna uchwycić realnie przyrostu wartości kawałka ziemi, póki się jej nie

sprzeda. Wówczas dopiero urząd skarbowy stwierdzić może, czy i o ile przyrost wartości danego kawałka ziemi nastąpił. Uchwytny natomiast jest dochód z płodów tej ziemi, sprzedanych, czy nawet tylko skonsumowanych. Podobnie nieuchwytnym jest, realnie biorąc, przyrost wartości kamienicy, dopóki jej sprzedaż wartości tej w danym momencie, w danej konjunkturze, wyraźnie nie ujawni. Uchwytnym jest natomiast tylko czynsz, z kamienicy uzyskany. To samo dotyczy walorów. Uchwytnym jest dochód spółki akcyjnej, czy dywidenda, ale nieuchwytną jest fiskalnie ustawiczna fluktuacja, bardzo nieraz znaczna, wartości akcji, zwłaszcza giełdowej.

I wogóle nielogiczny, nieusprawiedliwiony jest wszelki podatek od substancji majątkowej, skoro obciąża ją już — i to nieraz dotkliwie — podatek od dochodu, jaki substancja ta przynosi. Jest to wyraźnie podwójnem, a nieraz trzy- i czterokrotnem opodatkowaniem tego samego objektu, co, w ostatecznym rezultacie, przewyższa często możność płatniczą obywatela i wyzuwa go stopniowo z majątku, a więc i z możności zarobkowania. W ten sposób państwo traci płatników i wogóle źródła swego dochodu lekkomyślnie, li tylko w imię doktrynerskich fikcji systemu fiskalnego.

Dalej, nie można obciążać podatkiem ani czynności, ani inicjatywy twórczo-gospodarczej, ani wydatków gospodarczych, które same przez się nie przynoszą bezpośrednich zysków, a tylko są niezbędną podstawą konstruktywności w pracy gospodarczej. Absurdem byłby podatek od inwestycji, podobnie jak absurdalna i wielce szkodliwa jest bezkrytyczna koncepcja podatku od obrotu.

Lecz słyszałem pewną, zdumiewającą interpretację przerostu ciężarów podatkowych. Twierdzą nie-

którzy doktrynerzy - fiskaliści, że dotkliwy nacisk podatkowy, nawet nadmierny, spełnia rolę ostrogi, wbijającej się aż do krwi, ma być więc jakgdyby dumpingiem dla aktywności gospodarczej. Pomijając już bijący w oczy absurd takiego twierdzenia, skonstatować nadto należy, że doktryna taka wynika z teorji integralnego materjalizmu, traktującego człowieka dosłownie jako zwierzę robocze i odpowiada nawskroś niemoralnej, a gospodarczo fałszywej tendencji „bogacenia się w nieskończoność". Ani bowiem dobrobyt, ani podatki nie mogą rosnąć w nieskończoność, a sztuczne nakręcanie konjunktur, jak i nadmierne, bezkrytyczne przykręcanie śruby podatkowej jest gospodarczo niedorzecznem, a moralnie niegodziwem.

W praktyce więc, jeżeli godzimy się wszyscy, że praca musi być chroniona przed wyzyskiem, to musi być także chroniona przed wyzyskiem ze strony państwa, gdyż oczywiście państwo nie powinno dawać złego przykładu wyzyskiwaczom, których chciwość stara się ustawodawczo hamować. Jeżeli państwo działa w kierunku obniżania cen i płac, to nie powinno, logicznie biorąc, podwyższać ciągle podatków, gdyż wprowadzanie niskiej stopy zarobkowej i życiowej wogóle stoi przecież w jaskrawej sprzeczności z podwyższaniem stopy podatkowej. Niestety, ten właśnie, tak sprzeczny sam w sobie system, w istocie na zbyt głęboko zakorzenionem społeczno-demagogicznem i etatystyczno - fiskalnem doktrynerstwie oparty, stanowi u nas dotąd jedynie uznawaną i praktykowaną drogę do rzekomego „wybrnięcia z kryzysu" oraz „zrównoważenia budżetu". Fatalna pomyłka i prawdziwie ubolewać należy, że innej, racjonalniejszej, pozytywniejszej drogi nikt miarodajny nie szuka i nie uznaje.

Gdy mowa o ogólnej linii i metodzie ustawiczne-

go zwiększania ciężarów podatkowych, jako naturalnym, choć często pośrednim tylko wykwicie obowiązującej dziś wiedzy fiskalnej, musimy wskazać na wynikające z tego niebezpieczne konsekwencje.

Ekonomja naukowa i wiedza fiskalna, choć sprzeczne ze sobą w odniesieniu swem do jednostki, podały sobie jednak ręce w ostatecznym rezultacie, aby mianowicie upodobnić człowieka do owego legendarnego węża (bo nie chcę trywialnie powiedzieć: psa), goniącego za własnym ogonem, który nożyce fiskalne raz po raz kurtyzują. Jakże więc można uchwycić uczepioną na końcu tego ogona fikcję dobrobytu? A przycinanie tego ogona odbywa się ustawicznie, pod najrozmaitszymi, nieraz zamaskowanymi pretekstami. Robi to państwo, robią to samorządy z całą swą sentymentalną argumentacją „zdobyczy autonomji obywatelskiej“, robią to wreszcie różne, gwałtem i przymusem narzucane dobrodziejstwa społeczne. Na usługach zaś tych trzech aparatów fiskalizmu, gigantycznie przerosłych zwłaszcza po wojnie światowej, działa cała armja poborców, której koszta utrzymania osłabiają bardzo znacznie efektywną wartość zbieranych danin dla celu, w imię którego są pobierane.

Aparat podatkobiorczy, to chyba najprzykrzejsza strona fiskalizmu. Jak on w praktyce działa — oczywiście mutatis mutandis — doskonale ilustruje następująca kapitalna anegdota.

— Jak to się dzieje — zapytał król August Mocny swego ministra, generała van Kayn — że chociaż ludność narzeka na nadmierne ciężary podatkowe, to kasy skarbowe niewiele odnoszą z tego źródła korzyści?

— Mogę to zaraz wyjaśnić — rzekł Kayn i chwycił kawałek lodu ze stojącego obok wiadra do chłodzenia wina. — Podajcie to coprędzej królowi!

Kawałek lodu, podawany z ręki do ręki, obszedł stół dokoła, ale mimo pośpiechu, z jakim to robiono, doszło do ręki królewskiej niewiele więcej, jak zaledwie mokra plama.

Wprawdzie w nowoczesnych warunkach aż tak wielkie marnowanie pobieranych danin publicznych przez sam aparat fiskalny, jak to miało miejsce w saskich stosunkach za Augusta Mocnego, nie jest do pomyślenia, niemniej jednak anegdota powyższa obrazuje dosadnie, jak wskutek nadmiernego, skomplikowanego i zakostniałego w biurokratyźmie aparatu fiskalnego, ściągającego często z ubogich obywateli niemal dosłownie ostatnią koszulę, mimo wszelkich podwyżek podatkowych i coraz to nowszych form podatków, państwo nie osiąga jednak zamierzonych korzyści.

Wkraczamy tu w dziedzinę t. zw. konieczności państwowych, które w dzisiejszej praktyce fiskalnej stały się logiczną konsekwencją nadmiernie rozdętego pojęcia wszechwładnej ojczyzny i dlatego uledz muszą bardzo poważnej korektywie.

Mówi się np., że utrzymanie armji, aparatu administracyjnego lub oświaty powszechnej jest koniecznością państwową. Oczywiście jest. Ale ponieważ wszystko na świecie, a zwłaszcza środki materjalne, musi mieć i ma swe granice, więc i tu zachodzi walne pytanie, gdzie jest granica w wypełnianiu tej konieczności? Czy zwłaszcza może jedno pokolenie — i to żyjące w okresie wyjątkowego kryzysu ekonomicznego — znieść ciężar wykonania tego wszystkiego, co wymaga wysiłku kilku pokoleni? Czy trzeba koniecznie zdejmować zawczasu wszelkie ciężary z wnuków, którzy notabene w lepszych może pracować i zarabiać będą warunkach? Czy słusznem to jest i pożytecznem dla przyszłości państwa drżeć ustawicznie na myśl o sądzie tych wnuków, aby

przypadkiem nie zarzucili nam niedbalstwa, albo zacofania?

Sądzę, że z tym hipotetycznym sądem wnuków niema żadnej potrzeby tak bałwochwalczo się liczyć. Bo jeśli my się mylimy w ocenie pewnych rzeczy, to niewątpliwie i nasze wnuki także mylić się będą. A zresztą, jak słusznie mówi przysłowie, jeszcze taki się nie urodził, ktoby wszystkim dogodził. I dlatego ów nadmierny strach przed sądem przyszłej historji jest objawem niezdrowym, paraliżującym nam, współczesnym, energję i decyzję w działaniu. Nie sąd wnuków powinien więc stanowić dla nas kryterjum i granice tego, co robimy, ale zdrowy rozsądek naszego pokolenia. Jeżeli ja dziś odczuwam coś jako ciężar nie do zniesienia, to nie mogę usprawiedliwiać jego konieczności argumentem, że przez to przyniosę ulgę swym wnukom. Byłaby to fikcja najszkodliwsza. Nie ulgę bowiem, ale klęskę przyniosłoby im przeciążenie, a w konsekwencji osłabienie dzisiejszego państwa i społeczeństwa.

Weźmy przykład: posunięcia fiskalne, zmierzające do wyrównywania budżetu państwa przez ustawiczne podwyższanie podatków. Taki system wyrównywania budżetu publicznego powodować musi z reguły coraz większe zachwianie i kruszenie budżetu obywatela i jego gospodarczej twórczości wogóle. Obniża się ustawicznie stopa życiowa rodzin, a wyrastające z nich wnuki zaczynają charlać i zanim doczekają się dobrodziejstw, które rzekomo mają wyniknąć z dzisiejszych ustawicznych ograniczeń, przeklinać będą swych doktynerskich dobroczyńców w żywe kamienie. A zresztą nawet i nie będą mieli możności przeklinać, bo wnuki te poprostu — nie chcą się rodzić! Wszak notorycznie znanem zjawiskiem jest fakt, że w miarę ograniczania rentowności pracy ludzkiej maleje przyrost natural-

ny. A Polska potrzebuje chyba tego przyrostu i to szybkiego, jeżeli ma być naprawdę mocarstwem.

Wynalazła na to odpowiedź demagogja: protekcjonizm podatkowy dla licznych rodzin. Ale protekcjonizm ten należy stanowczo — w ekskluzywności swej — do takich środków dumpingowych, jak zastrzyki kokainy wierzchowcowi na wyścigach. Bo państwo winno wogóle rodzinę protegować, a nietylko liczną rodzinę. Rodzina — to nie jest zjawisko do ujmowania na mendle lub tuziny! Takie pojmowanie rodziny jest bezmyślną naiwnością, wynikającą z materjalistycznego, czysto biologicznego ujmowania spraw ludzkich. Chcąc naprawdę ochraniać tę najmniejszą, ale i najważniejszą komórkę społeczną, jaką jest rodzina, musi państwo przedewszystkiem ułatwiać jej egzystencję i zdolność wytwórczą, nie obciążając jej nadmiernie ani fiskalizmem, ani biurokratycznymi więzami.

Rekordowo liczna rodzina jest czemś wyjątkowem, a regułą jest rodzina średnia, do kilkorga potomstwa. Wyjątkowo liczne rodziny wprawiają wprawdzie na zachodzie Europy we frenetyczny entuzjazm różnych dobrodziejów i menerów społecznych. Ale ojcowie takich rodzin stają się w tych warunkach sprytnymi komercjalistami. Z rekordowo licznej rodziny robią sobie istne przedsiębiorstwo, protegowane przez państwo i faktycznie zetatyzowane zapomocą różnych subsydjów, jawnych i ukrytych.

Trzeba raz skończyć z tą iluzją błogosławieństwa Bożego, wyrażającego się rzekomo w tuzinach dzieci i wogóle z całą tą atmosferą konkursowo-rekordową dokoła rodizny, mającą w sobie istotnie niewiele z religji, a znacznie więcej z socjalizmu i spryciarstwa. Ogół rodzin, ogół społeczeństwa nic z tego nie korzysta. Trzeba wejść na zdrowe tory trakto-

wania rodziny, bez względu na jej liczebność, jako stałego współczynnika w rozwoju społecznym i jako korektora posunięć ekonomicznych i fiskalnych.

Rodzinę trzeba logicznie wliczać do rachunku gospodarki narodowej już od pierwszej chwili jej powstania, od zawarcia małżeństwa. Trudno przecież wymagać, aby świeżo pobłogosławione małżeństwo wylegitymowało się odrazu pół tuzinem dzieci. A jakże potem dojść ma do tego, jeżeli właśnie najtrudniej doprowadzić do związku małżeńskiego w panujących warunkach ekonomicznych i do wydania pierwszego potomstwa. Wiemy, że dzisiejsze uposażenia na niższych szczeblach drabiny społecznej wystarczają zaledwie na utrzymanie jednostki, nigdy zaś rodziny. Protekcjonizm podatkowy tej sprawy stanowczo nie rozstrzygnie.

U nas coprawda niema jeszcze rozwiniętego na większą skalę protekcjonizmu licznej rodziny, ale istnieje wogóle zjawisko protekcjonizmu, oparte na identycznej podstawie: na odejmowaniu szerokiemu ogółowi, który przez to materjalnie i moralnie się niszczy, a dosypywaniu różnym wyjątkowym instytucjom czy przedsiębiorstwom, nieraz sztucznie tworzonym i sztucznie a kosztownie podtrzymywanym.

Zjawisko to musimy stanowczo wykluczyć z obrębu t. zw. konieczności państwowych. Nie leży ani w interesie państwa, ani ogółu, który łoży na utrzymanie tego państwa, aby kosztem obniżenia poziomu jego życia tuczyć rozmaite przedsiębiorstwa państwowe i prywatne, z których niejedno najróżnorodniejszymi, a bardzo wątpliwymi argumentami usiłuje podtrzymać się jako przedsiębiorstwo o charakterze konieczności państwowej, zwłaszcza na wypadek wojny. Ostatecznie w takim wypadku całe gospodarstwo krajowe jest potrzebne, ale nie wynika z tego wcale, żeby w normalnych warunkach

stosunkowo ubogie w fundusze państwo miało z pieniędzy i kredytów publicznych galwanizować różne trupy gospodarcze! W takich warunkach przecież o normalnym rozwoju, a więc i wzmożeniu siły podatkowej prywatnego przemysłu mowy być nie może i powszechny kryzys musi beznadziejnie wzrastać.

Albo ten niesłychanie przykry a bezmyślny automatyzm biurokratycznych zarządzeń egzekutywnych! Gdy słyszę, że np. we Lwowie popełnił samobójstwo ubogi szlifierz uliczny, któremu skonfiskowano za podatki jego przenośny, prymitywny warsztat na taczkach, lub że gdzieś na Śląsku odbyła się egzekucja drogą licytacji młotka za 5 groszy i ćwierci kg. soli gorżkiej za 10 groszy, to czuję ochotę dać takiemu egzekutorowi przymusowo całą łyżkę gorżkiej soli do zażycia, a potem młotkiem po twardej głowie!

Wobec tego wszystkiego domagamy się stanowczo:

1) scalenia i uproszczenia podatku do możliwie jednolitej formy podatku od dochodu, a w każdym razie od „rozporządzalnej na podstawie realnych zysków gotówki",

2) uproszczenia i odpowiedniego potanienia aparatu poborczego i fiskalnego wogóle,

3) bardzo znacznego ograniczenia wszelkich podatków samorządowych do niezbędnego minimum w związku z ograniczeniem aparatu samorządowego do takich jego zadań najniezbędniejszych, w które aparat państwowy wdawać się nie może,

4) zniesienia przymusu podatkowego na ubezpieczenia społeczne.

Co do ostatniego postulatu, to musimy zaznaczyć, że koncepcja robienia z dobrodziejstwa przymusu i nieznośnego dla ogółu ciężaru, wielce — jak

wiadomo—biurokratycznego, jest oczywistą sprzeczności samą w sobie, opartą wcale nie na humanitaryźmie i postępie, ale na prostej demagogji politycznej. Nie jestem wstanie zrozumieć, jak można kogoś — i to pełnoletniego obywatela — uszczęśliwiać pod przymusem! Wszak taka ideologja jest istotnie zamaskowanym socjalizmem, powoduje rozhartowanie woli jednostki i osłabienie jej sprawności życiowej w kierunku zabezpieczenia sobie warunków egzystencji. Nie jestem wstanie pojąć, że młode, dążące do wzmocnienia się państwo polskie tolerować może ten demagogiczny środek do walnego rozleniwiania całego społeczeństwa! Czyż całe państwo ma być przymusowym szpitalem i przytułkiem? Jeżeli zaś przyjmiemy nawet punkt wyjścia różnych systemów ekonomii naukowej, że każdy człowiek powinien wreszcie być wtłoczony do złotej klatki dobrobytu, to zaiste, o ile wogóle klatka ta jest osiągalna, dlaczego dodawać do niej jeszcze lekarza przymusowej kasy chorych? Przecież, jeżeli będziemy bogaci, to sami będziemy mieć środki na lekarza chorób z przesytu, a jeżeli będziemy ubożeć, to, jako bezrobotni, bardzo prędko przestaniemy korzystać z dobrodziejstw opieki społecznej.

— Ależ okres obecny, z różnemi swemi urządzeniami, to tylko czas przejściowy — tłomaczą nam różni zwolennicy tych czy innych reform społecznych. Otóż właśnie, cała klęska w tem nieszczęsnem wyrażeniu: czasy przejściowe! To jeden z tych niebezpiecznych wykrętów demagogji i doktrynerstwa socjalno-ekonomicznego, które doprowadziły w Polsce do petryfikacji tymczasowości. Z posunięć nagłych i doraźnych, nieprzemyślanych, eksperymentalnych, zrobiono regułę. Wszelkie przykre, uciążliwe, a widocznie beznadziejne posunięcia różnych czynników w państwie zapowiadane są jako tymcza-

sowe i niby ostatnie. Potem ma już niby nastąpić takie wyrównanie stosunków gospodarczych, że drastyczne środki nie będą potrzebne. A tymczasem rzeczywista rzeczywistość wykazuje od siedemnasu lat coś wręcz przeciwnego. Co rok, a nawet co pół roku nowe powstają dziury, wymagające nowej, wciąż dorywczej, a coraz uciążliwszej łataniny!

Skończmy raz wreszcie z tą Polską „tymczasową“, która wciąż przypomina jakieś państwo sezonowe, a zacznijmy w sposób zdecydowany, z męską tężyzną, w pełnem poczuciu odpowiedzialności, ale i bez wschodniego strachu przed tą odpowiedzialnością, budować Polskę ostateczną — murowaną!

Niemniej poważnie i gruntownie zrewidować należy hasło szkolnictwa publicznego, utrzymywanego przez państwo. Nie jesteśmy oczywiście wrogami oświaty powszechnej, ale musimy stwierdzić kategorycznie, że w jej rozwoju musi obowiązywać ten sam rytm, który jest w życiu społeczno-ekonomicznem. Nie wolno sztucznie i to za drogie pieniądze, ściągnięte z katastrofalnie wygórowanych podatków, kształcić coraz liczniejszych rzesz półintelektualnych malkontentów życiowych, jeżeli nie można wyzyskać stosownie ich przygotowania, zaspokoić ich wyższych aspiracji przez naturalny rozwój życia społecznego i gospodarstwa narodowego. W ostatecznym bowiem wyniku analfabetyzm, czy wogóle niższy poziom oświaty jest zarówno kulturalnie, jak społecznie i gospodarczo mniej niebezpieczny w społeczeństwie ubogiem od nazbyt wyśrubowanego t. zw. oświecenia publicznego, jeżeli dane społeczeństwo nie jest wstanie wykorzystać należycie armji jaśniej oświeconych, dać im odpowiedniego zajęcia i stosownego utrzymania. Jest błędem politycznym i krzywdą moralną budzenie nadmiernych apetytów kulturalnych, jeżeli nie ma się możności odpo-

wiedniego ich zaspokojenia, ani odrazu, ani w najbliższej przyszłości.

Ś. p. Michał Bobrzyński powiedział: „Oświata budzi i wzmaga całą masę potrzeb, nieznanych dotąd człowiekowi. Jeżeli równocześnie i równomiernie postępujący rozwój ekonomiczny kraju i społeczeństwa jest w możności zaspokoić te nowopowstające i narastające potrzeby, to wtedy oświata staje się błogosławieństwem dla narodu i kraju. W przeciwnym razie staje się dla nich przekleństwem, gdyż stanowi wówczas źródło głębokiego niezadowolenia i wszelkich ruchów rewolucyjnych. Wzrost zaś dobrobytu nie jest zależnym jedynie i wyłącznie od wzmożenia oświaty, bo na wzrost ten działają jeszcze inne, nieraz zupełnie od danego społeczeństwa niezależne czynniki."

W świetle tych słów możemy ocenić dopiero wysuwane nieraz porównanie Polski z Danią, czy Holandją. Kraje te, mające źródło poważnych dochodów ze swych kolonji, olbrzymich w porównaniu do obszaru macierzy, mogą sobie pozwolić na luksus wysokiej oświaty powszechnej. U nas sytuacja społeczno-ekonomiczna jest całkiem odmienna. Rozbudowywana nadmiernie oświata musi budzić nadzieje na awans społeczny, którego osiągnięcie nie zależy tylko od faktu umiejętności czytania, czy nawet większej wiedzy, lecz także od szeregu innych czynników, których żadnym dekretem nie da się stworzyć.

Niestety, z tą prawdą, z tym faktycznym stanem rzeczy, nie liczą się nasi oświatowcy i dlatego właśnie wysuwamy nasz postulat oględnego traktowania zagadnień oświatowych i nie podnoszenia hasła jaknajwyższej oświaty powszechnej na piedestał bezwzględnej, nie podlegającej dyskusji konieczności państwowej. Pamiętajmy, że już dziś stają liczne kadry kończącej szkołę młodzieży przed groźną,

a demoralizującą perspektywą bezrobocia i nędzy. I tu więc, jak w każdym innym zakresie, powtarzamy nasz aksjomat: Nie bezkrytyczny rozwój w nieskończoność, ale według stawu grobla. Inaczej ciężar podatkowy na oświatę wyda rezultaty, wprost przeciwne od zamierzonych.

Jest to wogóle obowiązującą zasadą fiskalną. Polityka podatkowa musi być tego rodzaju, aby odpowiadała prawdziwym potrzebom i istotnym możliwościom społeczno-gospodarczym. System podatkowy nie może być też w sprzeczności z różnemi tendencjami rozwojowemi, które skąd inąd uznaje się za niezmiernie cenne! Tak np., gdy rzuca się słuszne hasło motoryzacji kraju i przytacza dla propagandy olbrzymi przyrost samochodów zagranicą w porównaniu z nikłym przyrostem w Polsce, to absurdem jest polityka celna i fiskalna, która absolutnie hamuje rozwój tej motoryzacji, traktuje lokomocję samochodową na płaszczyźnie luksusu, a każdego posiadacza automobilu jakgdyby za wroga ludu i demokracji. Albo, albo, panowie fiskaliści! A przecież prywatny automobilizm stanowi jedną z bardzo ważnych rezerw obrony narodowej.

Albo zapalniczki. I tu wcisnął się bezkrytycznie chciwy, wszystko tamujący, a niekiedy wprost śmieszny fiskalizm! Czyż nie wygląda humorystycznie, zwłaszcza dla krytycznie usposobionej zagranicy, odnośna statystyka dla chwili obecnej: 108 zapalniczek ostemplowanych, 16.000 skonfiskowanch, a 1,500.000 krążących po kraju bez cła! Słusznie powiedział ktoś dowcip o sobie, że jego moralność podatkowa zaczyna się powyżej stempla od zapalniczki. Bo tak myśli półtora miljona obywateli i na to żadna fiskalna doktryna nie pomoże.

Zabrnęliśmy już, ustępując przed zachłannością fiskalizmu, w takie odzwyczajanie się od przecięt-

nych nawet, normalnych w cywilizowanem społeczeństwie potrzeb kulturalnych i gospodarczych, że na czem fiskus łapę swą położy, z tego poprostu rezygnujemy, nie mając z czego płacić coraz większych i liczniejszych podatków. Ale czy nie wynika z tak rozdętego systemu fiskalnego poważne niebezpieczeństwo, moralne i materjalne, dla społeczeństwa i państwa i dla samej jego machiny skarbowej? Czy wzmacnia się naprawdę państwo takim ustrojem, który albo zmniejsza progresywnie potrzeby i konsumcję ogółu, albo wprowadza obywatela w konflikt sumienia przez obstawianie go ze wszech stron coraz bardziej wygórowanemi lub niedorzecznie drobiazgowemi wymaganiami?

W starostwie warszawskiego powiatu, wśród szeregu wiszących na ścianie ilustracji statystycznych, przedstawione jest obrazowo obciążenie podatkowe zwykłej chałupy wiejskiej. Wynosi znacznie powyżej 100% jej czynszowej wartości. Czyż nie jest to system faktycznego wywłaszczenia? A podobnych przykładów natrafiliśmy więcej — nie należą wcale do wyjątków.

Musi nareszcie zaistnieć w Polsce „ostatecznej“— nie „tymczasowej“ — równowaga między uprawnieniami państwa a obywatela. Równowaga nietylko ustawowo zatwierdzona, nietylko frazeologicznie głoszona, ale i rzetelnie wykonywana. Dobrobyt państwa jest bezwzględnie nieodłączną funkcją dobrobytu obywateli, ale rzetelność obywatelskiego sumienia jest niewątpliwie pewną funkcją rzetelności państwa wobec niego. Państwo, które dla jakichkolwiek haseł i względów proletaryzuje i niszczy obywatela konsekwentnie, nie może mieć realnej pretensji, aby obywatel ten trwał w niezachwianej uczciwości i przywiązaniu do takiego państwa.

Niechże więc ci wszyscy, którzy wciąż z entu-

zjazmem i emfazą o zachowaniu nadrzędnego interesu państwa prawią, pamiętają o tem, że nie można pielęgnować lasu, nie pielęgnując drzew.“

„Do zabrania głosu — podjął z kolei sekretarz generalny Związku, p. Marjan Karczewski — daje mi impuls powiastka o królewnie i ropusze, przytoczona przez p. Przewodniczącego. Nie mam wprawdzie pretensji, abym mógł osiągnąć sukces owego pastuszka i wskazać całą ropuchę, gnębiącą królewnę — w tym wypadku życie gospodarcze — ale pragnę wskazać cho6by tylko na jeden szczegół z tego problemu.

Szanowni Panowie, mam wrażenie, że nasze życie gospodarcze płynie dzisiaj bez odpowiednich drogowskazów, bez żadnej busoli i dlatego błądzi. Aby się módz w czemś dokładnie orjentować, niezbędne są pewne punkty stałe, wytyczające kierunek. Porzuciliśmy przedwojenne, utarte gościńce, weszliśmy na jakieś nowe drogi, a na nich brak nam punktów orjentacyjnych, albo mamy fałszywe. A wśród tych bezdroży, po których daremnie i ze szkodą błądzimy, wyłaniają się coraz bardziej dwa etapy krańcowe: jeden, to jednostka, drugi, to państwo.

Jednostka — to punkt wyjściowy. Właściwe a dokładne określenie roli jednostki i państwa pomogłoby do znalezienia szukanej drogi. Wszak jednostka stanowi ten podmiot zasadniczy, dla którego państwo się buduje, od którego w rzeczywistości wszystko w państwie się zaczyna i na którym wszystko się kończy. Życie gospodarcze zależy w pierwszym rzędzie od jednostki, od jej inicjatywy twórczej, od niezbędnej swobody jej ruchów. Państwo zaś jest w życiu gospodarczem etapem końcowym, tą najwyższą formą organizacyjną, która winna wła-

śnie dać jednostce gwarancję swobody jej ruchów, swobody rozwinięcia jej sił twórczych. Jeżeli jednostkę określimy jako podstawową komórkę organizmu gospodarczego, to organizacja państwowa winna jej dać możliwie największą ochronę.

We współczesnym organiźmie gospodarczym, nader skomplikowanym, jednostka i państwo są jednak od siebie bardzo odległe. Przestrzeń między niemi wypełniają różne organizacje społeczne, które, poprzez pewne koordynowanie działania jednostek, prowadzą je do najwyższej formy organizacyjnej — do państwa. I tu należy stwierdzić pewne zasadnicze błędy, które — zdaniem naszej szkoły — bardzo znacznie wpływają na obecny, mylny kierunek życia gospodarczego, a mianowicie:

1) stanowcze przecenianie życia kollektywnego wskutek przyznawania roli twórczej wyłącznie kollektywowi, jakgdyby czemuś samemu w sobie, z zapoznaniem istotnej wartości jednostki,

2) przez co urabia się fałszywa opinja, że jednostka jest pełnowartościową nie sama przez się, ale dopiero przez kollektyw, w którym żyje i przez który jest rzekomo należycie oszlifowaną — nawiasem mówiąc, niejednokrotnie oszlifowaną aż do zatarcia jej istoty i przyrodzonych kształtów.

Otóż kollektyw jest w rzeczywistości tylko pewną funkcją organizacyjną życia jednostek, a rola jego wypacza się, jeśli traktowany bywa za coś więcej, przez co wypacza się i pojęcie państwa. Państwo z właściwej swej roli — najwyższej nadbudówki organizacyjnej życia zbiorowego — wyniesione zostaje na piedestał boga-molocha, który, zamiast chronić życie gospodarcze i dbać o jego rozwój, pożera wokół siebie wszystkich i wszystko, przygniatając swym ciężarem jednostkę, która kurczy się i wresz-

cie zostanie pozbawioną swych regeneracyjnych zdolności.

Dla plastycznego zobrazowania tych fałszywych przesłanek w przecenianiu roli kollektywu przytoczyć można t. zw. siostry sjamskie, a więc dwie jednostki, w jedną zrośnięte — jakby prymityw kollektywu. Jest to zjawisko, że tak powiem: muzealne, wyjątkowe, przeciwne naturze. Nie mogą one stanowić elementu, prawdziwie twórczego — gdy natomiast takie same dwie jednostki, od siebie niezależne, ale świadomie współdziałające, dają w rezultacie podwójną wartość twórczą w porównaniu z wartością poszczególnej jednostki. Jaki stąd wniosek? Oto ten, że siłą i doktrynerskim wysiłkiem zespolone w kollektyw jednostki — analogicznie, jak przez przytoczony kaprys natury — nigdy nie wydadzą z siebie tego maksimum sił twórczych, jakiego spodziewają się doktrynerzy. Natomiast swobodne zrzeszanie się jednostek w kollektyw, bez przymusu, naskutek ich własnego, świadomego dążenia, stwarza dopiero podstawy do odpowiedniego mnożenia się twórczości zbiorowej.

I tu znowu wracamy mimowoli do zagadnienia, które już tylokrotnie było przez nas poruszane i formułowane: do prawa własności prywatnej. Jest ono bowiem, realnie biorąc, jedyną formą, gwarantującą jednostce minimum swobody indywidualnej, niezbędne dla pracy twórczej. Państwo, chroniące własność prywatną całym swym ustrojem i odpowiednio moderowanym fiskalizmem, wzmaga automatycznie aktywność jednostki. W przeciwnym wypadku podcina państwo siły jednostki, a przez to niszczy i własne korzenie.

Przypominam sobie dość jaskrawy przykład, ilustrujący drastycznie powyższe wywody. Znałem pracownika pewnej firmy prywatnej, który w począt-

kach większego nasilenia panującego kryzysu został zredukowany. Za otrzymaną t. zw. odprawę rozpoczął byt samodzielny. Zajął się handlem detalicznym drobiazgowymi artykułami pierwszej potrzeby, rozwożąc je po prowincji. Wyrobił sobie z biegiem czasu klientelę, wypełniał swą działalnością luki, istniejące w organizacji zbytu tych przedmiotów w terenie. Widać, że był pożyteczny, skoro mógł przytem zarobić uczciwie i samodzielnie na utrzymanie własne i swej rodziny.

Po kilku latach spotkałem go jako bezrobotnego, poszukującego zajęcia i... protekcji. Pytam, co się stało z jego przedsiębiorstwem, czy to kryzys uniemożliwił mu byt samodzielny?

— O, nie kryzys — odpowiedział — ale wymierzono mi tak wielki podatek, że nie byłem wstanie egzystować dalej!

Oto przykład bezmyślnego, doktrynersko-fiskalnego niszczenia inicjatywy twórczej jednostki. Oto przykład stanowczo błędnego stosunku państwa do obywatela, stosunku, stanowczo szkodliwego i dla państwa!

A co się wreszcie tyczy konieczności rewizji różnych tez nauki skarbowości, to przeglądając kilka dni temu moje notatki uniwersyteckie z lat 1922/23, natknąłem się na następujące twierdzenie, zapisane według wykładu profesora:

„Różnica między gospodarką państwową a prywatną polega na tem, że w pierwszym wypadku dochody stosuje się do wydatków, gdy w drugim wydatki muszą być dostosowane do dochodów.“

Czyby jednak w dzisiejszych czasach nie należało poddać rewizji podobnych twierdzeń teoretycznych, choćby z miarodajnej pochodzących strony i z gospodarki prywatnej zaczerpnąć nieco zdrowych wskazań dla gospodarki państwowej, gdyż ta ostat-

nia jest bądź co bądź tylko sumą ogółu gospodarstwa prywatnego!"

W dalszej dyskusji zabrali głos jeszcze w krótszych wywodach pp. prof. Łagiewski i mecenas Wł. Dramiński, który, trafnie ujmując oba równoległe tory programu działania Sekcji gospodarczej—a więc w kierunku przerostu pojęć prywatno-gospodarczych i w kierunku przerostu fiskalizmu — przytoczył dwa, wielce drastyczne przykłady z ostatnich czasów, symbolizujące wymownie sytuację na obu jej krańcach, z którymi walczymy: mianowicie z jednej strony skarb państwa stracił bezkrytycznie w ciągu pewnego szeregu lat około dwóch i pół miljarda zł. wskutek nadmiernie rozdętego pośrednictwa prywatnego w różnych dostawach, a z drugiej strony tenże sam skarb państwa stał się powodem wyżej przytoczonego samobójstwa ubogiego, wędrownego szlifierza, konfiskując mu jego szlifierkę, aby niemiłosiernej doktrynie fiskalnej stało się zadość za wszelką cenę.

Podnosząc, że przytoczone przez ostatniego mówcę oba przykłady, dotyczące walnych przyczyn wewnętrznych kryzysu gospodarczego w Polsce, ilustrują doskonale podstawowe założenia i cele działania Sekcji gospodarczej Związku, oświadczył wkońcu przewodniczący zebrania, że Sekcja, reasumując praktycznie swe liczne tezy, ogłoszone w poprzednim tomie Naszej Przyszłości, ogłosi w najbliższym czasie szereg pozytywnych postulatów, które z nich wynikają i które stanowić będą główne, jasno i zrozumiale dla szerszego ogółu sformułowane hasła walki, jaką Związek na polu gospodarczem podejmuje.

ZASADNICZE POSTULATY GOSPODARCZE ZWIĄZKU POLSKIEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

NA PODSTAWIE TEZ, OGŁOSZONYCH I UMOTY OWANYCH W ORGANIE ZWIĄZKU „NASZA PRZYSZŁOŚĆ" W NUMERZE WRZEŚNIOWYM 1935 R.

I. Ponieważ wszelka myśl o naprawie warunków życia gospodarczego i wszelkie odnośne starania są w gruncie rzeczy bezowocne na dłuższą metę bez oparcia o silnie ufundowaną zasadę prawa własności prywatnej, a zasada ta jest w Polsce faktycznie bardzo pokruszona, chwiejna i płynna, dlatego *domagamy się przedewszystkiem bardzo mocnego, zdecydowanego i nie pozostawiającego wątpliwości skodyfikowania i utrwalenia prawa własności w Konstytucji i całem ustawodawstwie państwowem oraz w organizacji i praktyce fiskalnej państwa*. Żadna ustawa, ani praktyka fiskalna nie powinna sprzeciwiać się temu zasadniczemu prawu ani formalnie, ani w praktyce. Samo bowiem pojęcie prywatnego życia gospodarczego tak jest związane z pojęciem prawa własności, że bez należytego utrwalenia tego prawa pojęcie życia gospodarczego zdaje się fikcją.

II. Zdecydowane, jasne, niedwuznaczne sformułowanie — naukowe i praktyczne — t. zw. „konieczności państwowych“, aby na tej racjonalnej podstawie—dotąd niestety zbyt rozciągliwej i stanowczo nadużywanej — mogły być nareszcie ustalone, przynajmniej w ogólnym zarysie, granice niezbędnego budżetu państwa oraz świadczeń na jego rzecz ze strony jednostki, których przekroczenie staje się szkodliwem dla obu.

III. *Naturalne prawo do uczciwego zarobku*, jako głównego bodźca przedsiębiorczości i wytwórczości gospodarczej i jako jedynie racjonalnej premji w propagowanym dziś oficjalnie „wyścigu pracy“, musi być w całej swej rozciągłości przez ustawodawstwo i praktykę administracyjną utrwalone. Niewolno państwu — ojczyźnie kruszyć stale, progresywnie mienia i uczciwego zarobku jednostek nawet w imię najszczytniejszych haseł, gdyż takie postępowanie sprzeciwia się w praktycznym wyniku najżywotniejszym interesom państwa, a więc jest w gruncie rzeczy antypaństwowem. Do tego uprawnienia jednostki, do uczciwych zysków z jej pracy, musi być odpowiednio dostosowany aparat fiskalny państwa, jeżeli państwo ma istnieć i wzmacniać się na dłuższą metę. Stąd każda niezasłużona materjalna klęska jednostki jest klęską dla państwa. Z drugiej strony musi jednak państwo przeciwdziałać wszelkim nadużyciom prawa zarobku, wyraźnie szkodliwym dla ogółu.

IV. Dwutorowość publicznego aparatu administracyjnego i przez to dwutorowa, podwójnie kosztowna gospodarka publiczna muszą gruntownej ulec rewizji. *Samorząd terytorjalny* stał się w niepodległem państwie w bardzo znacznym stopniu zbędny, zbyt biurokratyczny i bezproduktywnie kosztowny. *Musi być więc ograniczony do załatwiania najniezbędniejszych potrzeb lokalnych, do których aparat państwowy z natury rzeczy mniej się może nadaje.*

V. *Żadne dobrodziejstwa społeczne nie powinny być stosowane przymusowo*, gdyż w ten sposób tracą swój istotny cel i charakter, a stają się nieznośnym ciężarem i źródłem społeczno-politycznego nadużycia. W związku z tem wszelki *przymus ubezpieczeń społecznych winien być stanowczo zniesiony*, a pełnoletnich obywateli nie należy traktować pod

tym względem jak dzieci lub niewolników społecznego przymusu.

VI. Walnym warunkiem trwałej poprawy gospodarczej jest uszlachetnienie wymiany dóbr (handlu) w myśl żelaznego prawa podaży i popytu, którego nadużywać, ani sztucznie nakręcać nie wolno bez oczywistej szkody dla życia gospodarczego. *Skonstatowany w Polsce upadek jakościowy, a natomiast nadmierny wzrost ilościowy w zakresie handlowania i pośrednictwa wszelkiego rodzaju ciąży kamieniem na racjonalnym rozwoju zarówno produkcji, jak i samego handlu.* Tę więc dziedzinę czynności ludzkiej należy oczyścić z anarchji, z bezgranicznej dowolności i *ująć w pewne racjonalne karby kwalifikacyjne*, jak to ma miejsce w odniesieniu do wszystkich innych zawodów. Poprzeć winny zdecydowaną akcję w tym kierunku w pierwszym rzędzie poważne sfery handlowe w dobrze zrozumianym interesie własnym: znaczne ograniczenie ilościowe pośrednictwa, w najszerszem tego słowa znaczeniu, a przez to *jakościowe podniesienie i wzmocnienie prawdziwego, fachowego i odpowiedzialnego handlu.*

VII. Ogólne nastawienie, teoretyczne i praktyczne, dążeń właścicieli i kierowników warsztatów gospodarczych winno krytycznie zmodernizować się w myśl oczywistej prawdy, że *życie gospodarcze nie jest i nie może być celem samym w sobie, który za wszelką cenę, krótkowzrocznie, ma być we wszystkich szczegółach podtrzymywany i któremu przeto wszystko w państwie musi się podporządkować w myśl błędnej zasady „wszechwładnego interesu" — ale że ma w poszczególnych swych przedsiębiorstwach o tyle tylko rację bytu, a więc i szanse trwałości, o ile odpowiada istotnym potrzebom społeczeństwa (t. j. klienteli) i jego sile nabywczej w każdej danej epoce.* Bezproduktywnem

i beznadziejnem, a więc i niedopuszczalnem jest sztuczne podtrzymywanie i galwanizowanie nieżywotnych, zdezaktualizowanych przedsiębiorstw gospodarczych za wszelką cenę z funduszów publicznych czy innych. Nie wstrzyma to ich upadku na dłuższą metę, a przedłuża tylko ich zbyt kosztowną agonję. Nie odnosi się to oczywiście do przedsiębiorstw, w gruncie rzeczy żywotnych i mających rynek zbytu, które jednak chwilowo osłabły wskutek nadmiernego ciężaru świadczeń publicznych lub przeszkód biurokratycznych.

Postulat powyższy odpowiedniego, samorzutnego zreformowania się nastawienia sfer gospodarczych na właściwy cel ich dążeń i pracy *ma pierwszorzędne znaczenie praktyczne.* Właściciel bowiem lub kierownik przedsiębiorstwa, dokładający wprawdzie wszelkich starań o jego rozwój, ale przeświadczony równocześnie, że egzystencja tego warsztatu nie jest bezwzględnym celem samym w sobie, który podtrzymywać należy za jakąbądź cenę, prowadzić będzie warsztat swój rozumnie, elastycznie, z niezbędną metodą kupieckiego przewidywania na dalszą metę, nie angażując się lekkomyślnie a nadmiernie w każdą przemijającą poprawę konjunktury. Bezkrytyczny zaś wyznawca zasady „wszechwładnego interesu za wszelką cenę“ wtrąca przedsiębiorstwo swe w obciążenia, z których wybrnąć nie może i przedsiębiorstwo takie staje się ciężarem dla funduszów publicznych i dla społeczeństwa.

VIII. *Wszelkie sztuczne nakręcanie konjunktury* jakimikolwiek środkami dla forsownego podtrzymywania zbędnych lub nierentownych warsztatów gospodarczych (dumpingiem i t. p.) *jest daremne*, a na dłuższą metę wprost szkodliwe, jako wyraźnie przeciwne prawu podaży i popytu. Obniżenie kosztów, a więc i cen produkcji może racjonalnie odby-

wać się tylko drogą naturalną, a więc *zmniejszeniem ciężarów* i t. d. Również bezproduktywną i szkodliwą jest wszelka, zbyt sztuczna akcja przeciw bezrobociu, nadwyrężająca fundusze publiczne i demoralizująca społeczeństwo, gdyż *kwestja bezrobocia jest nieodłączną funkcją stanu gospodarczego i dobrobytu* i tylko z ich poprawą likwidować się może.

IX. Niezbędnym warunkiem zdecydowanego wdrożenia naprawy stosunków gospodarczych na prawdziwie racjonalne tory jest postulat, *aby szerokie koła w sferach gospodarczych wzięły żywszy, zbiorowy udział w ogólnem życiu państwowem, nie ograniczając się jednostronnie do pracy tylko we własnym, fachowym zakresie.* Sfery gospodarcze winny zainteresować się także innemi dziedzinami życia państwowego i na nich zaważyć, jak to się dzieje w społeczeństwach politycznie i gospodarczo lepiej wyrobionych. Człowiek gospodarczy, gdy umie wznieść się na wyższy poziom, ponad swe codzienne interesy zawodowe i stać się państwu niezbędnym w innych dziedzinach, zyska przez to tem większy wpływ i autorytet w swoich sprawach gospodarczych. Przez stronienie zaś od ogólnej państwowej polityki, a ograniczenie się li tylko do swych zadań zawodowych, stawia się człowiek gospodarczy mimowoli na poziomie pewnej niższości wobec innych obywateli i dopuszcza, że o losach jego i wogóle prywatnego gospodarstwa krajowego, decydują inni ponad jego głową.

Ale wysyłanie na arenę publiczną poszczególnych delegatów nie wystarcza. Musi wśród ogółu sfer gospodarczych wzbudzić się większe, niż dotąd, zainteresowanie sprawami publicznemi, także i nie gospodarczemi i ujawnić się winna tam wszędzie pewna zbiorowa siła. Inaczej będzie człowiek gospodarczy

zawsze „wiecznym petentem“, użalającym się na swój los wobec państwa i społeczeństwa.

X. *Jest niezbędnem, aby ekonomja naukowa, a zwłaszcza nauka skarbowości, podjęły samorzutnie głębszą rewizję wielu swych podstaw i twierdzeń,* które w obecnych czasach są już stanowczo przestarzałe. Polityka bowiem fiskalna i gospodarcza państwa, bez względu na chwilowy system i kierunek rządów, opiera się w ogólnym zarysie na wynikach i twierdzeniach wiedzy naukowej, chociaż w praktyce niejednokrotnie je wypacza. Najbardziej nawet demagogiczne rządy karykaturują tylko bądź co bądź wyniki i tezy wiedzy naukowej. Aby więc można było położyć na serjo kres różnym przestarzałym, demagogicznym lub etatystycznym pojęciom, które leżą na dnie obecnego ustawodawstwa i praktyki fiskalnej, musi nauka ekonomiczna i prawniczo-fiskalna zrewidować swe podstawy i *przeciwstawić się w sposób zdecydowany wypaczonemu dzisiaj stosunkowi gospodarczemu państwa do jednostki.* W ten sposób bowiem wadliwy system fiskalny, choćby przez czas pewien utrzymywał się jeszcze prawem inercji, straci jednak najgłębszą swą podstawę i łatwiej będzie go można stopniowo skorygować.

DZISIEJSZE POSTULATY ROLNICTWA.

Zastanawiając się nad najważniejszymi postulatami rolnictwa z punktu widzenia nie tylko jednej warstwy ludności, lecz całego społeczeństwa, musimy, prócz koniecznego w tym wypadku objektywizmu, zachować ścisłą między nimi hierarchję, o której wspomniał już premier Kościałkowski w swojem exposé.

Na czele jednak tej hierarchji musimy postawić *bezwzględny nawrót do poszanowania*, tak lekceważonego dziś, *prawa własności*. Dopóki to nie nastąpi, uzdrowienie rolnictwa będzie niewykonalne, jak stwierdza to zresztą całe dotychczasowe doświadczenie.

A więc na pierwszem miejscu musimy postawić wszystkie te środki, które zmierzają do przywrócenia prawa własności. Na drugim zaś — te, które, mając *cele ogólne*, działają tylko pośrednio i stwarzają tylko korzystne warunki dla rozwoju rolnictwa. Na trzeciem wreszcie miejscu te, które, dotycząc *specjalnie rolnictwa*, przyczyniają się bezpośrednio do jego rozwoju.

W myśl tego podzielimy postulaty rolnictwa na trzy grupy.

Do pierwszej zaliczamy przedewszystkiem *zniesienie ustawy o reformie rolnej*. Wprawdzie jej wykonywanie nie odpowiada już od dawna ustanowionym rozmiarom, niemniej jednak wpływ jej na rolnictwo pozostaje w dalszym ciągu nadzwyczaj ujemny, zwłaszcza, jeżeli weźmiemy pod uwagę charakter naszego rolnictwa, który słu-

sznie określamy jako czysto rodzinny, w przeciwstawieniu do rolnictwa zamorskiego, o charakterze raczej spekulatywnym. W rolnictwie zamorskiem trwałość posiadania warsztatu rolniczego schodzi na plan drugi po zamortyzowaniu dobrze oprocentowanego kapitału. U nas natomiast rolnictwo jest przedewszystkiem podstawą najzdrowszych fizycznie i moralnie rodzin i dlatego prawo własności musi być w niem, podobnie, jak w innych dziedzinach gospodarstwa, trwale i bezwzględnie zabezpieczone. *Wszelkie zaś podważanie tego prawa w jednych gospodarstwach na korzyść innych musi siłą wypadków doprowadzić do poderwania prawa własności w całem rolnictwie.*

Drugą sprawą, należącą do tej grupy postulatów, jest *znowelizowanie dekretów oddłużeniowych*. Wszelkie rozdzielenie dłużników na kategorje w zależności od posiadanego majątku lub wierzycieli w zależności od reprezentowanych przez nich kapitałów: publicznych, czy prywatnych — musi natychmiast ustać, jako niezgodne z podstawowemi wymaganiami prawa własności. Podstawą segregacji wierzycieli może być tylko świadome ryzyko, jakie dobrowolnie na siebie przyjęli, zadawalniając się mniej lub więcej dostatecznem zabezpieczeniem swych pretensji. Wszelkie inne dzielenie wierzycieli na grupy, mniej lub więcej uprzywilejowane, jest *niemoralne*, choćby nawet było rzekomo uzasadnione koniecznością popierania kredytu publicznego kosztem prywatnego. Takie uprzywilejowanie kredytu publicznego może przy naszem ubóstwie kapitałowem doprowadzić do rezultatów wręcz przeciwnych.

W dzisiejszych stosunkach należyta obsługa kredytów rolniczych jest prawnie niemożliwa nawet

w tych warsztatach, których obciążenie nie dosięga 25% ich obecnej wartości.

Z tych zatem względów stawiając nasze postula=ty w kierunku nowelizacji dekretów oddłużenio=wych, żądamy, prócz zniesienia wszelkich kategorji pomiędzy dłużnikami, jak i wierzycielami, także stworzenia należytej podstawy obsługi wszelkich długów rolniczych przez odpowiednie zorganizowa=nie kredytu hipotecznego.

W organizacji kredytu hipotecznego mamy za so=bą świetne tradycje, których nam niejeden naród może pozazdrościć. Nawiążmy więc do nich i roz=pocznijmy emisję 50=letnich listów zastawnych na podkład zgłoszonych przez rolników długów. Listy te przydzielałyby instytucje kredytu hipotecznego wprost wierzycielom rolników po ustalonym kursie. Przez rok lub dwa mogłyby one być nieoprocento=wane, potem mogłoby ich oprocentowanie zwiększać się stopniowo, dochodząc np. do maksymalnej gra=nicy 4%.

W ten sposób wierzyciele wprawdzie narazie nie zyskaliby żadnych dochodów, ale mieliby swoje pre=tensje w większości wypadków lepiej zabezpieczo=se, aniżeli dotychczas, ewentualnie mieliby możność wycofać część swoich kapitałów drogą sprzedaży otrzymanych walorów. Niebezpieczeństwu zaś sil=nego obniżenia kursu listów zastawnych, które mo=głoby wtedy powstać, możnaby zapobiedz drogą uprzywilejowania tych listów, nadając im moc zwal=niania z zobowiązań, nawet niekoniecznie rolni=czych.

Nie potrzeba dodawać, że warunkiem powodze=nia tej akcji byłoby zniesienie ustawy o reformie rolnej, gdyż tylko wtedy miałyby listy zastawne dość silną podstawę, co ze względu na możliwe przyszłe zainteresowanie się nimi rynku wewnętrznego, lub

nawet z czasem zagranicznego, ma pierwszorzędne znaczenie.

Uboczną, lecz niezmiernie ważną korzyścią przeprowadzenia w powyższy sposób oddłużenia byłoby odmrożenie zagwożdżonych dziś kapitałów prywatnych, jak też uzupełnienie naszego zbyt uszczuplonego obiegu pieniężnego przez wprowadzenie pieniądza pomocniczego, jakim byłyby listy zastawne, o czem pomówimy później, poruszając sprawy walutowe.

Trzecią sprawą, należącą do tej samej grupy postulatów rolniczych, jest zniesienie przywilejów egzekucyjnych instytucji kredytu hipotecznego. Napozór mogłoby się zdawać, że takie żądanie stoi w sprzeczności z naszym postulatem oddłużenia rolnictwa. W rzeczywistości tak nie jest. Obecne bowiem przywileje rzeczonych instytucji podważają w najwyższym stopniu prawo własności, a tem samem podcinają tę podstawę, na której opiera się kredyt hipoteczny. Odnośna zatem ustawa powinna być znowelizowana w kierunku przyznania instytucjom kredytu długoterminowego takiego prawa egzekucyjnego, jakie obowiązywało w ustawodawstwie austrjackiem. Było ono ostre dla dłużnika, ale mimo to umiało go brać w obronę, gdy zachodziły wypadki, od niego niezależne. Jestem przekonany, że takie znowelizowanie ustawy egzekucyjnej wyjdzie tylko na dobre samym instytucjom kredytu hipotecznego, powstrzymując ich powolną likwidację przez parcelację licytowanych majątków.

Przechodząc do drugiej grupy naszych postulatów, musimy poświęcić chwilę uwagi tym, które mogą najprędzej stworzyć naszemu rolnictwu korzystne warunki rozwoju dzięki uwolnieniu wielkiej energji potencjalnej, która dotychczas drzemie niezużytkowana w społeczeństwie. Są nimi: 1) oparcie naszej

zagranicznej polityki handlowej na zupełnie innych podstawach, niż dotychczas, oraz 2) zorganizowanie na szerszą skalę celowych robót publicznych.

Odnośnie do pierwszej sprawy rozchodzi się o zaniechanie dumpingu towarowego dla zdobycia dewiz i złota, potrzebnych do regulowania naszych zobowiązań zagranicznych. *Uprawianie dumpingu dla tego celu okazało się*, pomijając już jego nieetyczność, w *najwyższym stopniu szkodliwem*, zmuszało bowiem do podwyższenia cen na rynku wewnętrznym, to zaś ograniczało konsumcję odnośnych towarów. W rezultacie przemysł, który był zmuszony do dumpingowego eksportu swych produktów, pracował z deficytem. Takiego stanu rzeczy dalej tolerować nie możemy: *dumping musi być zaniechany*, a nadto musi być ustalona przez nas teza, że zobowiązania nasze zagraniczne możemy spłacać tylko towarami po cenach słusznych, t. j. po cenach kosztów, a nie dewizami lub złotem, których nie posiadamy i dumpingiem zdobyć nie chcemy, ani nie możemy.

Gdyby cukrownie zostały zwolnione z dumpingowego eksportu cukru, mogłoby znacznie obniżyć jego cenę wewnętrzną, to zaś powiększyłoby jego konsumcję, a co zatem idzie, jego produkcję, która skłoniłaby cukrownie do zawierania liczniejszych umów z rolnikami o plantacje buraków cukrowych. Ten jeden przykład wykazuje dostatecznie, jak korzystnem dla rolnictwa może się okazać zaniechanie dumpingu.

Zwolennicy dalszego prowadzenia dumpingu towarowego wskazują na kredyt zagraniczny, który w wypadku honorowania naszych zobowiązań zagranicznych towarami po cenach kosztów, nie zaś, jak dotychczas, złotem lub dewizami, może zostać

nam cofnięty. Na ten argument jest tylko jedna odpowiedź: kredyt międzynarodowy wogóle dziś nie istnieje, trudno więc dla fikcji ponosiś ogromne ciężary w postaci dumpingowego eksportu naszych produktów. Zresztą wśród tych ostatnich mamy takie, które znajdują się w Europie w ograniczonej ilości, a są potrzebne dla rolnictwa, jak też dla przemysłu wojennego. Takimi produktami są związki potasu, które, eksportowane intensywnie zagranicę, mogą w części zastąpić nam dewizy i złoto. Sądzę, że moglibyśmy wyzyskać tutaj nasze uprzywilejowane pod tym względem stanowisko, trzeba tylko zwiększyć eksploatację podkarpackich terenów, zawierających te, tak dziś cense, związki potasowe.

Drugą sprawą, która tu należy, jest podjęcie robót publicznych. Napozór możnaby sądzić, że w dzisiejszym stanie zaostrzonego kryzysu sprawa ta jest conajmniej przedwczesną. Tak jednak sądzić nie można: mamy już obecnie procentowo znacznie więcej bezrobotnych, jak w Ameryce, a co najgorzej, że ilość ta ma ponoć stale tendencję wzrastającą, jeżeli za podstawę naszych spostrzeżeń weźmiemy nie cyfrę zarejestrowanych bezrobotnych, lecz faktycznych. Praca jest jedynem źródłem bogactwa, jeżeli więc zależy nam na podniesieniu dobrobytu Polski własnemi siłami, to musimy zwrócić uwagę na sprawę robót publicznych, która w dzisiejszym stanie marazmu gospodarczego jest jedynie w możności dostarczyć naszym bezrobotnym, niemogącym dziś prawie nigdzie emigrować, odpowiedniej pracy.

Jak jednak finansować te roboty? Nie drogą podatków, ani pożyczkami wewnętrznemi, gdyż byłoby to dalszem wypompowywaniem gotówki ze społeczeństwa, której ono dziś prawie już nie posiada. Podstawą finansowania robót publicznych może być

w obecnych warunkach tylko ostrożne emitowanie pieniędzy pomocniczych w postaci *bonów inwestycyjnych*, które zresztą kursują już dziś w mniejszych ilościach, a których oprocentowanie byłoby dostosowane do przypuszczalnej rentowności dokonanych robót.

Tutaj dochodzimy do trzeciej sprawy, należącej do tej samej grupy postulatów rolniczych, mianowicie do sprawy walutowej.

Społeczeństwo nasze ucierpiało swego czasu tyle na inflacji, zwłaszcza wskutek nieszczęsnego prawa, zwanego „lex Zoll“, że dziś wszelkie zakusy inflacjonistyczne należy odrzucić. Oddłużenie, przeprowadzone drogą inflacji, zubożyłoby społeczeństwo jeszcze bardziej w kapitały, a niektórym dłużnikom również nie wyszłoby na korzyść, gdyż, przyzwyczajając ich do łatwego spłacania zdewaluowanych długów, zachęcałoby do lekkomyślnego zaciągania nowych. Obserwacja codziennych stosunków jest pod tym względem pouczająca.

Z drugiej strony jednak jest rzeczą wątpliwą, aby mógł na dłużej wystarczyć obecny obieg pieniężny, stanowiący mniejwięcej jedną trzecią przeciętnego obiegu pieniężnego, przypadającego na głowę ludności w każdem państwie. Wynosi on 100 zł. w złocie na głowę. U nas zatem powinien on wynosić stosownie do liczby ludności 3,3 miljarda złotych, a wynosi faktycznie tylko około 1,1 miljarda złotych.

Obieg pieniężny jest więc u nas za szczupły, prędzej czy później trzeba będzie go rozszerzyć. Jeżeli zaś odrzucamy inflację, to pozostają dwie inne drogi, które stopniowo mogłyby uzupełnić nasz obieg pieniężny, dostosowując go do potrzeb naszej ludności.

Jedną z nich — to rozwijanie wszelkimi możliwymi sposobami obrotu czekowego, który u nas znajduje się jeszcze wciąż w minimalnych rozmiarach. Druga zaś — to właśnie wprowadzenie pieniądza pomocniczego.

Odnośnie do tej drugiej sprawy, to wspomnieliśmy już przy omawianiu oddłużenia rolniczego o listach zastawnych, które mają moc zwalniania z niektórych zobowiązań i posiadają obecnie charakter pieniądza pomocniczego. Nadanie listom zastawnym charakteru pieniądza pomocniczego uważać należy za najbardziej dodatnią stronę zeszłorocznych dekretów oddłużeniowych. Taki sam charakter pieniądza pomocniczego mają, jak wspomnieliśmy, bony inwestycyjne, a także niektóre obligacje państwowe, któremi można spłacać rozmaite zobowiązania.

Wynika z tego, że samo życie prowadzi do pieniądza pomocniczego w razie niemożności powiększania obiegu pieniądza właściwego wskutek stale zmniejszającego się zapasu złota i wskutek wykluczenia inflacji.

Obawy przeciwników pieniądza pomocniczego, że wyruguje on z kraju, w myśl dawnych teorji ekonomicznych, pieniądz właściwy, są dziś nieaktualne, gdyż możnaby temu z łatwością zapobiedz przez reglamentację wywozu naszej waluty *), co zresztą jest już praktykowane przez inne państwa i co jest w każdym razie lepszem, niż inflacja, której bez reglamentacji nie dałoby się uniknąć.

W dzisiejszych czasach pieniądz staje się coraz bardziej znakiem kredytowym, o złotem tylko jądrze, jak się wyrażają niektórzy ekonomiści, a któ

---

*) Nie możemy dla samej zasady zalecać reglamentacji walutowej jako zbyt sztucznej metody gospodarczej. (Przyp. Red.).

rego podstawą jest weksel towarowy. Jeżeli zaś pod pojęcie towaru podsuniemy także pracę ludzką, to może i ona stać się podkładem pieniądza bez złotego jądra, czyli pieniądza pomocniczego. Na tem właśnie polega myśl przeprowadzenia poważniejszych i rentujących się robót publicznych, dzięki którym uruchomilibyśmy w krótkim czasie olbrzymie bogactwa naturalne Polski, leżące dziś zupełnie odłogiem, a co najważniejsze, dalibyśmy zarobek olbrzymiej masie ludzi.

Wykonanie tych robót należałoby powierzyć czynnikom samorządowym, co byłoby najlepszą sposobnością do odbudowania dawnego ich znaczenia z czasów ich świetnej przeszłości — prawdziwie skutecznej pracy obywatelskiej *).

Jak ważne znaczenie mają poruszone sprawy dla rolnictwa, udowadniać nie potrzeba: zaniechanie dumpingu towarowego, jak i uruchomienie robót publicznych, oraz wprowadzenie pieniądza pomocniczego i rozszerzenie obrotu czekowego zmierzają do powiększenia siły nabywczej rynku wewnętrznego, a tem samem umożliwiają rolnictwu korzystne spieniężenie produktów, a to właśnie jest najważniejszym warunkiem jego rozwoju.

Na zwiększenie siły nabywczej rynku wewnętrznego działać będzie zapowiedziana redukcja podatków samorządowych. Sądzę jednak, że ta redukcja stanie się tylko wówczas naprawdę możliwą i skuteczną, gdy będzie połączona z rozszerzeniem granic naszych powiatów do rozmiarów, istniejących w byłym zaborze rosyjskim. Jeżeli dla unifikacji stosunków administracyjnych w całem państwie wprowadziliśmy gminy zbiorowe,

---

*) I w tej sprawie niecałkiem możemy godzić się z autorem, w myśl naszej tezy o przeroście samorządu. (Przyp. Red.).

które bądź co bądź powiększają znacznie odnośne wydatki administracyjne, to powinniśmy dla konsekwencji, jak i dla dobrze zrozumianej oszczędności, wprowadzić większe powiaty w b. zaborze austrjackim, któreby mniejwięcej zrównoważyły obecnie zwiększone wydatki z powodu gmin zbiorowych.

Przejdźmy z kolei do trzeciej grupy naszych postulatów, t. j. do tych, które mogą i powinny spowodować bezpośrednio rozwój rolnictwa.

Tutaj na plan pierwszy wysuwa się sprawa zaległości podatkowych. Wynoszą one już kilkaset procent rocznego wymiaru. Spłacanie ich w dzisiejszych stosunkach jest oczywistą niemożliwością. Prowadzenie zaś ewidencji tych zaległości obciąża skarb państwa, zmuszając do utrzymywania w tym celu całego sztabu urzędników i obciąża także płatników, nie pozwalając im, mimo wydatnych ulg, wyrównać bieżących podatków. Działa to oczywiście w najwyższym stopniu demoralizująco.

Z tych wszystkich zatem względów należy znieść wszelkie zaległości podatkowe, a celem uniknięcia premjowania w ten sposób płatników, zalegających z podatkami, należy przyznać tym, którzy, dzięki lepszym, wyjątkowym warunkom finansowym, nie mają zaległości podatkowych, pewne bonifikaty z przyszłych wymiarów podatkowych. Takie rozwiązanie sprawy wydaje się w dzisiejszych warunkach jedynie realne.

Podobną metodę należałoby zastosować do zaległości w ubezpieczalniach i w innych daninach publicznych. Chcąc bowiem ożywić wydatnio życie gospodarcze, należy jak najprędzej skreślić wszystkie te pozycje, które, pochodząc z czasów mniej posuniętej deflacji, stały się dziś siłą wypadków zupełnie nieaktualne, t. j. w większości nieściągalne

i ciężarem swoim przytłaczają osłabione życie gospodarcze.

Z nakładaniem nowych podatków należy się wstrzymać; zrównoważony budżet państwowy *nie jest przyczyną* ożywienia gospodarstwa społecznego, jak to niektórzy przypuszczają, *lecz jego skutkiem*, a dodatni wpływ zrównoważonego budżetu na gospodarstwo nie zmienia wcale tego faktu. Wobec tego zaś do zrównoważenia budżetu należy dążyć nie drogą podwyższenia podatków lub nakładania nowych, lecz drogą ożywienia gospodarstwa społecznego, które w niejednym wypadku da się przeprowadzić skuteczniej i prędzej, niż samo zrównoważenie budżetu drogą zwiększenia wpływów państwowych.

Nadto o wiele lepszym sposobem zrównoważenia budżetu państwowego, niż podwyższanie podatków, jest, prócz uintensywnienia gospodarstwa społecznego, celowa akcja oszczędnościowa rządu, a więc zmniejszanie wydatków skarbowych. W ten sposób możnaby nawet niewątpliwie zupełnie uniknąć podwyższania podatków, a co za tem idzie, dalszego podważania prawa własności celem umożliwienia ich spłacania, czego charakterystycznym przykładem jest obecna obniżka komornego.

Przeciwko podwyższaniu podatków przemawia jeszcze ta okoliczność, że są one już dziś niezaprzeczalnie nadmierne. Możemy się tu powołać na tak wysoki autorytet, jakim są słowa Papieża Piusa XI w Encyklice „O odnowieniu ustroju społecznego", które cytujemy z autorytatywnego tłomaczenia: „*jest nadużyciem, jeśli państwo wyczerpuje prywatne mienie obywateli przez nadmierne podatki i daniny. Władza państwowa bowiem nie może niszczyć prawa własno*-

ści prywatnej, bo natura jest jego źródłem, nie wola ludzka, może tylko jego używanie ograniczyć i do dobra ogółu dostosowywać". Do tych słów nie potrzebujemy dodawać żadnych komentarzy.

Drugim naszym postulatem w tej grupie jest obniżenie taryf kolejowych. Wprawdzie zostało nam już ono zapowiedziane, ale nie wiemy dotychczas, jak zostanie przeprowadzone. Nie chodzi bowiem tylko o mechaniczną zniżkę, lecz także o zdyferencjonowanie taryf kolejowych. W naszych warunkach, największej odległości w państwie od centrów zbytu produktów, ma to pierwszorzędne znaczenie. Przy układaniu zatem nowych taryf kolejowych musimy uzyskać ich należyte zdyferencjonowanie.

Trzecią sprawą, należącą do tej grupy postulatów, jest ujednostajnienie polityki zbożowej państwa, co w bieżącym roku zostało silnie zachwiane przez nagłe przerzucenie odnośnych środków na popieranie produkcji hodowlanej. Zostało to dokonane rzekomo dla poparcia produkcji włościańskiej, w rzeczywistości jednak wyszło w naszych stosunkach na jej niekorzyść. U nas bowiem produkcja zbożowa wybija się na plan pierwszy, równie w małych, jak i w większych gospodarstwach. Nadto należy nadmienić, że produkcja hodowlana wymaga dla swego rozwoju długiego szeregu lat, podczas gdy produkcja zbożowa może być znacznie prędzej uintensywniona. Nie przemawia to przeciwko popieraniu produkcji hodowlanej, lecz za takiem ustosunkowaniem akcji państwowej do obu gałęzi naszej produkcji rolniczej, aby mogły obie liczyć na równomierne popieranie ich przez dłuższy czas bez nagłych, niezapowiedzianych przeskoków.

Życie gospodarcze nie znosi niespodzianek, dla-

tego nagła zmiana ze strony rządu w polityce zbożowej na korzyść hodowlanej odbiła się bardzo ujemnie na cenach produktów zbożowych, a nie podniosła wydatnie cen produktów zwierzęcych.

Mówiąc o naszej polityce zbożowej, należy wspomnieć o odnośnej akcji kredytowej rządu. W b. r. forsowano znowu kredyt rejestrowy pod zastaw zboża, który został niewykorzystany, podobnie, jak w ubiegłych latach. Nie zwracano natomiast uwagi na należyte zorganizowanie kredytu t. zw. terminatkowego. Ten ostatni był przyznawany na zupełnie błędnych podstawach. Rozprowadzeniem jego zajmowały się niektóre instytucje rolnicze, przydzielając go wprost rolnikom na podkład terminatki, częstokroć, jak mnie informowano, zupełnie fikcyjnej, ale za to z zabezpieczeniem wekslowem, zaopatrzonem aż trzema podpisami.

Jest tu błąd, tak w rozprowadzeniu kredytu, jak i w jego zabezpieczeniu. Kredyt terminatkowy powinien być przyznawany kupcom lub większym młynom na podkład rolniczej terminatki, stwierdzającej odbiór przez rolnika należytości, w części lub w całości, za sprzedane zboże i zaopatrzonej poręką kupującego. Tylko taka forma kredytu może spowodować należyte ustosunkowanie się producenta do kupca, a zarazem przedstawić zupełne zabezpieczenie kredytu przy solidarnej poręce ich obu. Ze względu na zupełne zubożenie kupiectwa zbożowego ma to wielkie znaczenie.

Za kilka miesięcy sprawa kredytu terminatkowego stanie się znowu aktualną, gdyż zacznie się wtedy, trudna do uniknięcia w obecnych stosunkach, sprzedaż zboża na pniu. Wówczas kredyt terminatkowy, należycie zorganizowany, może oddać nieocenione usługi w handlu zbożowym, jak też

w podnoszeniu rolnictwa przynajmniej doraźnymi środkami.

Sądząc na podstawie dotychczasowych doświadczeń, należałoby znieść kredyt rejestrowy, a w miejsce jego rozbudować kredyt terminatkowy. Ten ostatni bowiem wprowadza czynnik kupiecki, a więc społeczny, orjentujący się o wiele lepiej w zdolnościach kredytowych swych klijentów, niż wszelkie banki państwowe, rozprowadzające kredyt rejestrowy, a opierające znajomość klijentów na informacjach osób trzecich, n i e z a w s z e w i a r y g o d n y c h. Kredyt terminatkowy — to forma kredytu możliwie liberalna, kredyt zaś rejestrowy — to forma etatystyczna, która w dzisiejszych warunkach p o w i n n a z n i k n ą ć j a k n a j p r ę d z e j.

Kredyt terminatkowy mógłby przyczynić się znacznie do rozwoju spółdzielczości w handlu zbożowym, doprowadzając u nas z czasem do powstania takich instytucji spółdzielczych, jakiemi są t. zw. Poole Kanadyjskie. Nieodzownym jednak tego warunkiem jest poznanie znaczenia istoty ruchu spółdzielczego, o czem pomówimy później.

Wreszcie kredyt terminatkowy, łącząc w pewnej mierze interesa kupca i producenta, da rolnikom większy wpływ na giełdach zbożowych, gdzie reprezentacja ich jest dziś stanowczo za słaba.

Jako ostatni, ale nie niemniej ważny postulat, należy wymienić ujednostajnienie i unormowanie zasad rachunkowości rolniczej. Ma to olbrzymie znaczenie nietylko ze względów podatkowych, lecz także ze względów statystycznych i dydaktycznych. Tylko rachunkowość bowiem, prowadzona ujednostajnionymi sposobami przez wszystkie większe i średnie gospodarstwa, oraz przez wybitniejsze, charakterystyczne gospodarstwa mniejsze, da nam obraz rzeczywistych stosunków w rolnictwie i po-

zwoli na tej podstawie obmyśleć dalsze środki, zmierzające do jego przyszłego rozwoju.

Powiedzieliśmy, że najważniejszą podstawą uzdrowienia rolnictwa jest bezwzględny nawrót do poszanowania prawa własności. Do tego kategorycznego imperatywu musi być dostosowana akcja oddłużeniowa, oparta na 1) rozszerzeniu kredytu hipotecznego, 2) nowelizacji ustawy egzekucyjnej, a przedewszystkiem 3) zniesieniu ustawy o reformie rolnej.

Następnie przeszliśmy do omówienia tych postulatów, których spełnienie uważamy za warunek rozwoju rolnictwa. Tym warunkiem zaś jest przedewszystkiem zwiększenie siły nabywczej rynku wewnętrznego i — o ile możności — zewnętrznego na produkta rolnicze. Jak długo to nie nastąpi, niema mowy o przywróceniu opłacalności produkcji rolniczej, która od kilku już lat wykazuje deficyty, stale wzrastające. Środkami zaś, zamierzającymi do zwiększenia siły nabywczej na produkta rolne, są: 1) zniesienie dumpingu, 2) spłacanie naszych zobowiązań zagranicznych towarami po cenach słusznych, 3) uruchomienie na szerszą skalę robót publicznych, 4) emisja pieniądza pomocniczego celem uzupełnienia obiegu pieniężnego, obok równoczesnego rozszerzenia obrotu czekowego, oraz 5) przeprowadzenie pewnych oszczędności administracyjnych przez zwiększenie naszych powiatów do rozmiarów, istniejących w b. zaborze rosyjskim.

Omówiwszy drugą grupę postulatów, stwarzających korzystne warunki rozwoju rolnictwa, przeszliśmy do trzeciej grupy postulatów, wpływających bezpośrednio na rolnictwo. Do nich zaliczyliśmy 1) zniesienie zaległości podatkowych i innych danin publicznych przy równoczesnem wprowadzeniu systemu bonifikat od przyszłych wymiarów dla nie-

zalegających z temi opłatami. Dalej zaliczyliśmy tu 2) zdyferencjonowanie taryf kolejowych, 3) ujednostajnienie polityki zbożowej i hodowlanej rządu, 4) zorganizowanie i rozszerzenie kredytu terminatkowego przy równoczesnem zwinięciu kredytu rejestrowego pod zastaw zboża, a wreszcie 5) ujednostajnienie zasad rachunkowości rolniczej.

Oto bieg naszych myśli. Nie mamy pretensji wyczerpania niniejszym szematem wszystkich dezyderatów rolnictwa, chcieliśmy tylko ująć je w pewien system, rozpatrzony z punktu widzenia rzeczywistego dobra całego państwa.

Żyjemy dziś w epoce stopniowego przełamywania się tendencji etatystycznych w gospodarstwie społecznem przy równoczesnem zanikaniu tendencji socjalistycznych w polityce. Wprawdzie neo-merkantylizm, spowodowany częściowo przez oba te prądy, trwa jeszcze w dalszym ciągu, ale należy się spodziewać, że wnet i on przejdzie do historji w państwach nowoczesnych, a na jego miejscu powstanie neo-liberalizm, pociągający za sobą, w przeciwstawieniu do dawnego liberalizmu, konieczność coraz większego uspołecznienia obywatela. Dotychczas propagowana przez socjalizm walka klas obniżała w przeciętnym obywatelu poczucie solidaryzmu społecznego, a zwiększała natomiast, zgodnie z ideami socjalistycznemi, poczucie państwowości. Dziś stosunki zaczynają się zmieniać pod tym względem radykalnie: idea solidaryzmu społecznego dorównywuje stopniowo napięciem idei państwowości.

Dowodem tego jest stale rozwijający się ruch spółdzielczy, który w innych państwach doszedł już do wielkiego stopnia rozwoju, wykazując nam, jak wielkie możliwości gospodarcze możemy i my na tem polu osiągnąć. U nas spółdzielczość była źle zrozumiana: żądano od niej wielkich zysków na opła-

canie drogiej, zazwyczaj niedołężnej, a czasem nawet nieuczciwej administracji, a zapominano, że celem spółdzielczości jest wyłącznie ułatwianie członkom zbywania lub nabywania towarów. Musimy więc przełamać to błędne nastawienie do spółdzielczości, jeżeli chcemy, aby się ona i u nas silniej rozwinęła.

Dotychczasowe bierne odnoszenie się do przejawów życia gospodarczego musi ustać. Dłuższe czekanie na koniec kryzysu jest niedopuszczalne, bez naszego współdziałania nie skończy się on nigdy. A niebrak nam sił na przełamanie go. Jeżeli jednak nie zdobędziemy się na ten wysiłek, to będzie u nas stopniowo coraz gorzej w porównaniu do innych państw.

Intuicja chłopska jest pod tym względem pouczająca. Chłop bowiem dziś zdaje sobie dokładnie sprawę, że w walce z kryzysem daliśmy się prześcignąć przez inne państwa, wskutek czego jest tam znacznie lepiej pod niejednym względem, niż u nas. Charakterystycznem było dla mnie porównywanie przez jednego małorolnego włościanina, o zupełnie przeciętnych zdolnościach i niższem wykształceniu, cedoły giełdy berlińskiej z warszawską, odnośnie do cen żyta, przerachowanych na walutę złotową. Na podstawie tego porównania wykazywał on, jak wielka różnica zachodzi na niekorzyść ceny żyta w Warszawie. Fakt ten ma wielką wymowę w ustach chłopa: stwierdza, że widzi on już wiele naszych zaniedbań i spowodowany tem gorszy stan rolnictwa w porównauiu do innych państw.

Świadomość zaś tego stanu rzeczy powoduje wzrastające rozgoryczenie, którego nie będzie można przełamać nawet najbardziej intensywnie prowadzoną reformą rolną, a nadto wywołuje krytykę rzą-

du, która, o ile jest pożądaną ze strony warstw wykształconych, o tyle jest szkodliwą w ustach domorosłych demagogów chłopskich, zwłaszcza, gdy zaczyna działać na namiętności tłumu, podnosząc rzeczywiste lub urojone jego krzywdy.

Ze względu zatem na rzeczywiste dobro państwa spełnienie wymienionych postulatów staje się dziś najważniejszym nakazem chwili.

Sidorów, dnia 3.XII.1935 r.

Józef Kalasanty Paygert.

O STWORZENIE OBYWATELSKIEGO FRONTU GOSPODARCZEGO.

Powstają z martwych upiory, które — zdawało się — od szeregu lat zostały mieczem i autorytetem buławy Marszałka Piłsudskiego na zawsze w Polsce pogrzebane. Ośmieszone, napiętnowane jako „pomniejszyciele Ojczyzny", jako świadome lub bezwolne propagatory wichrzeń „obcych agentur" w Polsce, zażarte przeciwniki wszelkiego dzieła moralnej i materjalnej Naprawy, zwalczane dotąd nietylko w Polsce przez opatrznościowego Wodza Narodu, ale i przez nowoczesne rządy w innych państwach, które dążą w różnych formach do naprawy tego powszechnego zła, jakie od zakończenia wojny światowej podminowuje świat cały: anarchicznej, bezmyślnie doktrynerskiej, niszczącej wszystko demagogji, spychającej ludzkość z tępym uporem w przepaść według naczelnej zasady „równania ku dołom" — zapadły się w przeszłość historyczną.

Tak się zdawało.

Ale oto nie spoczęły jeszcze zwłoki ś. p. Marszałka w ostatecznym grobowcu kamiennym, a już widzimy koło siebie jakieś niesamowite zjawiska, które zaczęliśmy zaliczać już do niepowrotnej, smutnej przeszłości. Słyszymy o jakichś tłumnych wiecach, na których wybuchają dawno zapomniane hasła najskrajniejszej demagogji — i to wiecach, nie jak dawniej, robotniczo-proletarjackich, ale inteligencji. Nawet inteligencji odpowiedzialnej, bo reprezentującej swym zawodem autorytet urzędów państwowych!

Padają na tych wiecach frazesy, zaczerpnięte jak-

gdyby z pierwszego okresu wojującego komunizmu, bezmyślne, głupie, dla państwa arcyszkodliwe — jakby wezwania do powszechnej wojny społecznej.

Słyszymy i czytamy hasła, których nie powstydziłby się prymitywny bolszewicki agintator z czasów kiereńszczyzny: „Zniszczyć większą własność dla równowagi budżetu i zwalczenia kryzysu i bezrobocia!“ Wszak komisarze-agitatorzy w r. 1917 nie prawili nic innego!

Słyszymy o strajkach, także naogół od dawna już zapomnianych. Hasło dało górnictwo węglowe — jeden z najważniejszych nerwów życia i bytu państwa. Czy dalej fala ta się rozszerzy?

Regenerują się tłumne, masowe partje polityczne, wprawdzie bez żadnych głębszych politycznych przekonań, ale zato z zaostrzonymi jeszcze, w porównaniu z własną przeszłością, hasłami społeczno-gospodarczemi i szykują do walki klasowej pod ogólnym sztandarem: dałoj burżuje!

Słyszymy, choć niełatwo sprawdzić to w szczegółach, że masońskie obce agentury nabierają tupetu i podejmują znów planową działalność z zamiarem opanowania gór i dołów, rzekomo w imię „ideałów demokracji“. Wiemy już z doświadczenia, co to znaczy dla państwa, dla religji i etyki, dla zdobytej z tak wielkim trudem jakiej takiej zgody społecznej i dla gospodarstwa krajowego! Znaczy nic innego, jak generalne osłabienie Polski na wewnątrz i zewnątrz.

Długoletnie dzieło naprawy Rzeczypospolitej i solidaryzmu społecznego, budowane — wśród licznych coprawda ludzkich wad i błędów, ale bądź co bądź budowane — przez ideę, która przyświecała organizacji Bloku Bezpartyjnego, zostaje jakgdyby przekreślone, mimo wszelkich szumnych twierdzeń i frazesów, że dzieło Józefa Piłsudskiego dalej się kontynuuje. Nie czuć już w atmosferze tego spokoju,

tej pewności i ufności, które istniały jeszcze pół roku temu, mimo wszelkich cierpień kryzysowych. Załamuje się w oczach ludzkich dziewięcioletnia linia mocarstwowa, linia siły i dalekosiężnej decyzji, choć ludzie nie chcą głośno tego przyznawać, bo się boją i jeszcze raz boją...

I gdy przeważna większość państw, nie wykluczając sowieckiej Rosji, wyzbyła się resp. wyzbywa coraz bardziej fałszywych, oszukańczych haseł i frazesów „demagogji“, bo przekonała się z długiego, praktycznego doświadczenia, że kolosalne to oszustwo nowożytne stanowi tylko podatne żerowisko dla najrozmaitszych sił wywrotowych, antypaństwowych, antyspołecznych i antygospodarczych, to naiwna zawsze Polska, pozbawiona opatrznościowego Wodza, cofa się znowu wstecz do tromtadracji demokratyczno-demagogicznej, która, w szlacheckiem ujęciu, dawną Polskę zgubiła, a w ludowładczem ujęciu, groziła dziesięć lat temu zgubą Polsce odrodzonej, z czego wyrwał nas w ostatniej chwili majowy zamach stanu.

Nie chcemy przesądzać wypadków. Ale uważamy za swój obowiązek podnieść stanowczy głos ostrzeżenia. Niechże Rząd polski, na którym spoczęła dziś, po śmierci Wodza, większa odpowiedzialność, niż na jakimkolwiek poprzednim rządzie, zwróci — mimo wszelkich innych swoich trosk i zadań chwili — szczególnie baczną uwagę na to, naprawdę groźne zjawisko, którego tolerować nie można, bo cofa ono Polskę do stanu i czasów, szczęśliwie dawno przebytych. Mielibyśmy dopuścić do tego, żeby Polska na nowo przeżywać zaczęła demagogję, walkę klasową, doktrynerskie reformy radykalne, buszowanie po kraju obcych, zakonspirowanych mocy, pokrytych sentymentalnym płaszczykiem rozczulań warszawsko-paryskich i — inflację,

z jej niszczącym rezultatem?! Bo to wszystko razem stoi w ścisłym, organicznym związku ze sobą i było dowodem karygodnej słabości rządów przedmajowych. My tego dziś już nie chcemy, przyzwyczailiśmy się przez dziewięć lat do silnej linji ś. p. Marszałka i wymagamy od każdego rządu, aby tę linję — tę właśnie — kontynuował. Poszliśmy naprzód w pojęciach, przekonaniach i w dumnem samopoczuciu mocarstwowego narodu. Nie chcemy cofać się wstecz, w epokę budowania Polski socjalnemi doktrynami. Nie chcemy ani cierpiącej już na uwiąd starczy demokracji, ani liberum veto w postaci strajków i buntowniczych wieców, zwłaszcza ze strony malkontenckich inteligentów!

A sfery gospodarcze powinny nareszcie wyrwać się ze swej karygodnej bierności, z beznadziejnego łatania doraźnych dziur z dnia na dzień — co ich bezwarunkowo nie ocali — i skupić się w energicznym, rzeczowym, jednomyślnym odporze tego, co im grozić zaczyna. Całkiem błędną kroczą dotąd drogą w swym rzekomym ultra-realiźmie.

Wydaje im się, że jeżeli nalepią chwilowe plasterki na swe różne przygodne bolączki, jeżeli udało się temu lub owemu załatwić dziś jeszcze jakiś pomyślny interes, albo uzyskać od rządu jakąś drobną ulgę, to osiągnęły sukces i spełniły swój „obowiązek gospodarczy". Fatalna omyłka, która nietylko nie ma nic wspólnego z realizmem, ale jest wprost utopją.

Jest polityką strusia.

Bo zakopywaniem się jednostronnem w nawał codziennych, doraźnych interesów, a zamykaniem oczu i uszu na wszystko inne, co się tymczasem dokoła dzieje i co grunt prywatnej pracy gospodarczej z pod nóg coraz bardziej usuwa, nie zwalcza się niebezpieczeństwa, ale otwiera mu się szeroko bramy. Praktyczne doświadczenie ubiegłych siedemnastu

lat wykazuje, że w Polsce sfery gospodarcze—rolnicze, przemysłowe, handlowe — walczyć o swój byt skutecznie nie umieją. Jakżeż inaczej dzieje się w niejednym innym kraju, zwłaszcza w Niemczech, Anglji, a nawet rozdemokratyzowanej w niebezpiecznym stopniu Francji, gdzie wszędzie sfery gospodarcze są jawną lub ukrytą potęgą polityczną, z którą państwo, bez względu na chwilowy kierunek rządów, poważnie liczyć się musi! A u nas? Lada frazes demagogiczny, rzucony przez kogoś w powietrze, więcej znaczy, niż wola i najżywotniejszy interes sfer gospodarczych. Daleko więcej — bo frazes ten realizuje się jednak niebawem w postaci różnych reform radykalnych, kruszących prawo własności i rentowność pracy gospodarczej, gdy natomiast dążenia, lamenty i postulaty sfer gospodarczych bardzo słabe tylko i fragmentaryczne odnoszą skutki.

Ale sfery gospodarcze wolą kruszyć się i ginąć w dojutrkowaniu, w owym osławionym „nawale realnych, trzeźwych interesów codziennych“, niż tworzyć zrzeszoną potęgę. Wszystko inne raczej, byle nie to! Boją się, jak ognia, zrzeszonego Frontu Gospodarczego. Boją się go, bo sądzą, że w takim froncie jeden będzie musiał mieć wzgląd na drugiego, nastąpi pewne wzajemne uzależnienie i ograniczyć będzie się musiał dotychczasowy, mocno anarchiczny indywidualizm „robienia interesów“. A tymczasem prawdziwe niebezpieczeństwo z całkiem innej nadciąga strony, skąd naprawdę coraz bardziej kruszy się i kurczy „swoboda dobrego interesu“. Nieprzyjaciel nadciąga i atakuje, a nie spotykając przed sobą silnie ufortyfikowanego frontu, ale tylko bezładne kupy dojutrkujące, z łatwością je zwycięża. Upada wieś już od dawna, chwieją się, a po części już i rozpadają fotele właścicieli i kierowników fabrycznych, rozproszkowany handelek — bo nie handel! — zamienia się

coraz więcej w getto, własność kamieniczna prawie nic już nie warta, tak dalece, że wyzbywają się kamienic już nietylko niepraktyczni zawsze chrześcijanie, ale nawet żydzi!!!

A sfery gospodarcze cóż na to wszystko? A no — nic! Z iście wschodnim fatalizmem czekają, poddając się biernie wszystkiemu, co im kiszmet przyniesie. Zdaje im się, że jeżeli na tym tonącym okręcie, mówiąc szablonowym językiem dziennikarskim, jakiś ich „wybitny przedstawiicel wypowie na wybitnem zebraniu wybitnych osób wybitne przemówienie“, skierowane niby do czynników miarodajnych, a więcej w powietrze i do własnego strachu, zapłacze rzewliwie nad „bolączkami życia gospodarczego“, a conajwięcej potem jakaś zastraszona delegacja wręczy gdzieś komuś memorjał, zawierający sto dwadzieścia pięć pięknie ułożonych „tymczasowych postulatów“ — bo przecież wszystko w Polsce jest tymczasowe — to sytuacja już uratowana i każdy może spokojnie po tym bohaterskim wyczynie i „niekupieckiej“ stracie czasu, wrócić do swych ulubionych, codziennych interesów.

A tymczasem koło historji toczy się dalej niemiłosiernie po memorjałach, wybitnych przemówieniach, po niezorganizowanym, a więc niezdolnym do należytego odporu froncie sfer gospodarczych i „posiadających“ wogóle. Miażdży wszystkich, mających coś do stracenia, większych i mniejszych — którzy więc w społeczeństwie poważniejszy walor materjalny i moralny reprezentują!

Napróżno wzywać ich do niezbędnego w takich warunkach wzniesienia się na pewien wyższy poziom obywatelski, do planowego, skoordynowanego współdziałania, do zdecydowanej walki z temi wielkiemi najpierw przeszkodami, które usunąć w kraju trzeba, zanim przejść można skutecznie do naprawy

szczegółów. Napróżno wykazywać im, że przygodnymi drobiazgami nie uleczy się organicznej choroby systemu, nie wyrwie się gospodarującego społeczeństwa z ciężkiego impasu! Usuwają się z pod wszelkiej akcji państwowej, od wszystkiego, co nie leży na bezpośredniej drodze beznadziejnego wałkowania codziennych interesów zawodowych, usuwają się z klasyczną wymówką „braku czasu", w której jednak wcale nie istotny brak czasu, ale niezrozumienie sytuacji i bierność obywatelskiej woli się ukrywa. Nie rozumieją, że w nowoczesnym organiźmie państwowym i społecznym, którego wszelakie komórki są w wysokim stopniu współzależne między sobą, nie wolno ograniczać się ekskluzywnie do wąskiego zakresu zająć zarobkowo-zawodowych, nie wolno łudzić się, że można skutecznie gospodarować w oderwaniu od innych stron życia publicznego i lekceważyć wszystko, co leży poza obrębem „trzeźwego interesu".

Każdy głos, który starał się wyrwać te sfery z manowców tej bierności, tej ekskluzywności zawodowej —w istocie samobójczej — był dotąd prawdziwie głosem wołającego na puszczy... Nie, nie i jeszcze raz nie!

Ręce opadają — ale równocześnie opada także nieubłaganie, poziom gospodarstwa i dobrobytu krajowego, piętrzą się góry ustaw i inych przeszkód, o które kruszy się w proch prawo własności, zarobek, mienie i wszelka inicjatywa przedsiębiorcza. Mimo wszelkich przeciwnych enuncjacji, haseł i platonicznych porywów Polska socjalizuje się zwolna, nieuchronnie i jeżeli tak dalej pójdzie, to wnuki nasze, jeśli już nie synowie, zamienią się na maszyny. Własność prywatna, praktycznie biorąc, traci z każdym rokiem na wartości, a temsamem i na racji bytu. Bo nierentowny warsztat pracy nie jest w isto-

cie realnym warsztatem, ale tylko jego pozorem. Pozorne warsztaty, pozorny kapitalizm, pozorna gospodarka i własność prywatna — oto, z coraz mniejszą liczbą wyjątków, czem staje się w rzeczywistości nasze prywatne gospodarstwo krajowe!

Pisaliśmy już w maju 1927 r., w jednym z artykułów dziennikarskich, które poprzedziły zawiązek „Naszej Przyszłości" i jej akcji czynnej, skrystalizowanej obecnie w Związku Polskiej Myśli Państwowej", następujące słowa:

„W tem założeniu, nieuchronną koniecznością narzuconem, złączyć się muszą w jeden wspólny front wszystkie żywioły, reprezentujące w państwie poważne walory gospodarcze. Muszą wyzwolić się z pod opieki wątpliwych protektorów, zacząć raz nareszcie myśleć *samodzielnie* o swych losach i nimi też pokierować! Muszą także zrozumieć, jeżeli chcą istnieć, że ich warsztat pracy jest cząstką państwa i że wspólne są obu koleje. Polityka — byle realna i uczciwie traktowana — i gospodarstwo krajowe, to nie dwa różne pojęcia czy zajęcia, ale jedno. Polityka, która nie uwzględnia w całej pełni żywotnych interesów gospodarczych, nic nie jest warta, ale niewiele też wart jest gospodarz, który nie ma zrozumienia dla spraw politycznych państwa i powierza obronę swej egzystencji na arenie publicznej niepowołanym pośrednikom. W tej akcji, jasnej i oczywistej, grupującej w imię realnych interesów własnych i państwowych stan posiadania i produktywną pracę, tkwi najżywotniejsza idea i więcej, bo obowiązek patrjotyczny, dyktowany nakazem położenia".

Dzisiaj, w położeniu, zasadniczo nie zmienionem, a w tysiącznych szczegółach tylko bardzo znacznie jeszcze pogorszonem, powtarzamy cały ten ustęp z tem większym naciskiem, zdanie po zdaniu, myśl po myśli, słowo po słowie. Nie cofamy ani jednego

przecinka. A w tem, że nie spełnił się dotąd prosty i oczywisty postulat, w ustępie tym wyrażony, leży właśnie najgłębsza przyczyna obecnego smutnego położenia.

Sfery gospodarcze widocznie nie chcą, żeby żeby było lepiej. Bo gdyby chciały — na serjo chciały — to byłoby lepiej. Wszak rolnik, przemysłowiec i kupiec, z dodatkiem innych jeszcze przedsiębiorców, którzy mniejwięcej także do tych kategorji się liczą, przynajmniej pod pewnym względem—to większość społeczeństwa!! A czego większość społeczeństwa na serjo chce — i to większość materjalnie najsilniejsza — to ostatecznie w państwie nastąpi prędzej czy później. Chyba, że ta większość nie chce, nie rozumie lub dotknięta jest paraliżem woli!

Organizacje zaś czysto zawodowe, a więc różne Izby, czy związki, niewiele tu pomogą, bo one działają także tylko w doraźnych sprawach i w stosunkowo wąskim widnokręgu zawodowym. Izba przemysłowa lub rolnicza, albo związek metalowców, czy włókienniczy, czy cementowy, czy drzewny, nie wytworzą nigdy frontu gospodarczego, o który chodzi, bo ich cele, zadania, zakres zainteresowań i statuty ograniczoną tylko dopuszczają działalność. Niemasz tam miejsca na jakąś dalekosiężną myśl polityczno-gospodarczą, nie są na takie rzeczy zupełnie nastawione, ani urządzone. Nie mogą walczyć o zasadnicze prawa gospodarcze, ani o głębiej sięgające reformy państwowego ustroju, chyba tylko ubocznie i znowu doraźnie. Nie są i nie mogą być żadnem wogóle narzędziem walki. Ich wysiłek idzie z natury rzeczy na jakie takie ratowanie status quo w różnych zawodowych szczegółach. Dlatego też przyjmować muszą dość biernie to, co się wokoło nich dzieje i kierować się odpowiednim oportunizmem.

Front, o którym mówimy, musi być frontem przedewszystkiem obywatelskim, do walki o zdrowe normy gospodarcze samodzielnie nastawionym, a nie zawodowym, nie gubiącym się w szczegółach. Winni szeregować się w nim ludzie, indywidualnie, a nie instytucje. Taki tylko front, taka organizacja o charakterze gospodarczo-politycznym będzie mogła stworzyć odpowiedni solidaryzm sfer gospodarczych wobec ogółu ich spraw najżywotniejszych, co przez mechaniczną koordynację różnorodnych partykularyzmów związków fachowych stworzyć się nie da, gdyż istnieją między nimi, jak wiadomo, bardzo znaczne nieraz rozbieżności interesów doraźnych. Taki front obywatelski, zrzeszony, będzie mógł również dopiero przeciwstawić się rozmnie a skutecznie przerostowi fiskalizmu, etatyzmu i dobrodziejstw przymusowych, które bez niego dają sobie łatwo radę z doraźnymi postulatami poszczególnych organizacji zawodowych. Klęska w tem właśnie leży, że „zjednoczony front etatyzmu i fiskalizmu", doznając nadto jeszcze — coprawda nieproszonej — podniety ze strony wybuchających ze społeczeństwa objawów demamogji antygospodarczej, nie napotyka na drodze swej ekspansji „zjednoczonego frontu gospodarczego", któryby mógł mu się skutecznie przeciwstawić.

Czy, wzywając do powstania takiego obywatelskiego frontu, występujemy przeciw państwu? Nic podobnego, a nawet wprost przeciwnie. Wszak front ten — to większość społeczeństwa i to przeważnie inteligentnego, „posiadającego" społeczeństwa, a więc i większość organizmu państwowego. Taki front przeto państwu krzywdy nie zrobi, istotne jego potrzeby uwzględnić musi, bo inaczej zaszkodziłby sobie samemu. Zjednoczony front gospodarczy

nie może nie uzględniać prawdziwych konieczności państwowych, przeciwnie, racjonalniej myśleć o nich będzie, niż rozproszkowane w naturalnym partykularyźmie organizacje zawodowe. Nie będzie agitował przeciw daninom dla państwa, a odwrotnie: przyczyni się samą swoją egzysencją do wzmożenia uczciwości podatkowej. A przez wydanie walki hipertrofji fiskalizmu, etatyzmu i demagogicznego doktrynerstwa wzmocni równowagę stosunków i odda państwu nieocenioną usługę. A przytem będzie wyrazem niewątpliwie prawdziwej demokracji, ale w wyższem, szlachetnem tego słowa znaczeniu.

A nadewszystko służba na takim froncie wyrobi wielu na pełnowartościowych obywateli, społecznie i państwowo wyrobionych. O to głównie chodzi. Bo, mówiąc prawdę w oczy, wielu zamożnych i dumnych ze swego stanu posiadania i stanowiska w społeczeństwie wcale nie można uważać za pełnowartościowych obywateli, skoro od służby obywatelskiej uciekają, wykręcając się tysiącem wymówek i zasklepiając się jedynie w wąskim kręgu swych interesów. A człowiek interesu, to jeszcze nie obywatel w pełnem tego słowa znaczeniu. To w dzisiejszych warunkach coraz częściej już nie pomoc, ale obciążenie dla państwa i ogółu!

Oto praktyczny cel Sekcji gospodarczej, wyłonionej po kilkoletniem, szczególnie starannem przygotowaniu przez Związek Polskiej Myśli Państwowej. Praca bowiem w tej Sekcji, jak i w każdej innej, rozwijać się musi dwutorowo: dalszem pogłębianiem i rozszerzaniem zasad i tez drogą analizy stosunków i odpowiedniej publicystyki oraz praktyczną realizacją skrystalizowanych w ten sposób postulatów zapomocą pewnego organizacyjnego instrumentu, a więc Obywatelskiego Frontu Gospodarczego.

Front ten budować winno całe społeczeństwo z poważnemi sferami gospodarczemi na czele. Nasza Sekcja gospodarcza daje tylko inicjatywę, ale bynajmniej nie podnosi pretensji zajęcia jakiegoś czołowego stanowiska. Wszak prawdziwy, ogólno obywatelski Front Gospodarczy nie może być jakimś fragmentarycznym odłamem jednego zrzeszenia.

Czem więc ma być i co ma robić?

Czy ma być organizacją w ścisłem tego słowa znaczeniu? Byłoby to pożądanem, ale nie niezbędnem, gdyż nie o suche ramy statutu winna opierać się w pierwszym rzędzie akcja takiego frontu. Winien natomiast przejawić się przedewszystkiem w postaci pewnego zbiorowego nastawienia umysłów w społeczeństwie i tryskającego z tego nastawienia prądu, działającego piórem, propagandą słowa i wreszcie konstruktywnym czynem na wielkiej arenie naprawy błędnych pojęć i błędnego ustroju gospodarczego, bijąc bezwzględnie taranem w każdy istniejący lub powstający, czy choćby dopiero projektowany szaniec marksizmu, etatyzmu, biurokratyzmu i nadmiernego fiskalizmu. Uderzyć winien — oczywiście poważnie i z całą lojalnością obywatelską — w splot ustaw, rozporządzeń i praktyk, które bezpośrednio lub w rezultatach swych są wyrazem którejkolwiek z wyżej wymienionych przeszkód produktywnego życia gospodarczego i dobrobytu, przeciwstawiając się odważnie, integralnie wszelkim koncepcjom, które ograniczają lub niszczą swobodną twórczość gospodarczą i zakuwają uczciwie pracującego obywatela w niewolę społeczną czy państwową. Winien wysunąć i utrwalić w wolnej Polsce fundamentalną zasadę. że żaden obywatel, który chwilowo sprawuje jakiś urząd, nie ma prawa traktować innych obywateli, nieraz starszych i doświadczeńszych od niego, jako małoletnich lub niewolników i krępować ich

nadmiarem nakazów i zakazów. Uzyskana przypadkowo funkcja urzędowa, aczkolwiek otoczona być winna odpowiednim autorytetem, ale bądź co bądź przemijająca, w najwyższym stopniu zależna od podmuchu każdej konjunktury, nie może dawać nikomu uprawnienia, ani stygmatu do suwerennej wyższości nad resztę obywateli i to nawet bardzo wykształconych i państwowo dobrze uświadomionych obywateli. Ta zasada, jasna i oczywista, jest kategorycznym postulatem godności narodu. Społeczeństwo wino być karnem, ale nie może być bezwolnem stadem!

To jedna, walna strona akcji frontu gospodarczego, który jednak, chcąc skutecznie zasadę tę przeprowadzić, musi przedewszystkiem przeforsować gruntowną rewizję przestarzałych tez naukowej ekonomji, a zwłaszcza wiedzy fiskalnej. Bez uzdrowienia tych korzeni ustroju gosodarczego, wysiłki Obywatelskiego Frontu byłyby nikłe i daremne, gdyż pierwsze z brzegu hasło rzekomych „konieczności państwowych“, poparte odpowiednią fiskalistyczną argumentacją i paru przestarzałymi autorytetami, mogłoby za jednym zamachem cały front obalić!

Ale z drugiej strony Obywatelski Front Gospodarczy, chcąc skutecznie działać na zewnątrz, musi równocześnie także walczyć uzdrawiająco i odświeżająco z samym sobą i w swych własnych szeregach przeprowadzić bezwzględnie odpowiednią rewizję i modernizację pojęć i dążeń gospodarczych. Dlatego uderzyć musi w każdą twierdzę i w każdy objaw krótkowzrocznego, skrajnie egoistycznego geszefciarstwa, żerującego w myśl dorywczej zasady: rapiamus, capiamus! Takie bowiem geszefciarstwo — w szerokiem tego słowa znaczeniu — pogłębia beznadziejnie panujący kryzys, hamuje każdą zdrową myśl naprawy i jest głównem źródłem niemoralno-

ści gospodarczej, która znów stanowi najlepszy nawóz sztuczny dla wszelkich wybujałości fiskalizmu. A ponieważ typu skrajnego „człowieka interesu“, który niczego poza interesem nie uznaje i niczem, poza dorywczymi geszeftami, na serjo się nie interesuje, niepodobna uważać za pełnego obywatela, dlatego też w proponowanym przez nas Obywatelskim Froncie Gospodarczym niemasz miejsca dla geszefciarzy, tem mniej, że ludzie tego typu, bez względu na stan posiadania i wykształcenia, kierując się skrajnym oportunizmem chwili, stanowią z reguły najpodatniejszy element dla ekspansji doktryn etatystycznych. Bo człowiek, który chce swój doraźny, poziomy cel materjalistyczny osiągnąć za każdą cenę, gotów jest zgodzić się na wszystko i zdać się etatyzmowi z zamkniętemi oczami w niewolę.

Sekcja gospodarcza wzywa więc wszystkich obywateli, pracujących na polu ekonomicznem teoretycznie lub praktycznie, aby w należytem zrozumieniu doniosłej sprawy, o którą walczy, zechcieli przyczynić się samorzutnie do budowy zrębów zrzeszonego w jakiejkolwiek formie Obywatelskiego Frontu Gospodarczego.

Sekcja Gospodarcza
Związku Polskiej Myśli Państwowej.

„ŚWIĘTA ŻMUDŹ“

NA MARGINESIE ROZWAŻAŃ GEOPOLITYCZNYCH.

Zgrozą przejęły społeczeństwo polskie niespo= dziewane dla szerszego ogółu rewelacje, ujawnione sądownie w czasie procesu morderców ś. p. Ministra Pierackiego o oficjalnem współdziałaniu rządu Litwy Kowieńskiej z bojową organizacją ukra= ińską. Słusznie pisały gazety, że czegoś podobnego w cywilizowanej Europie nowożytnej jeszcze nie by= ło. Słusznie powoływały się na znany fakt, że nawet w morderstwie serajewskiem nie można było do= wieść udziału ówczesnego rządu serbskiego, który je nadto odrazu oficjalnie zdezawuował. A dzisiejszy rząd kowieński nietylko ułatwiał akcję ukraińskim mordercom zawodowym — bo tak ich w imię rzeczy= wistości nazwać trzeba—przez udzielanie im oficjal= nych paszportów na wyjazdy zagranicę niby w urzę= dowych interesach władz litewskich, ale nawet jaw= nie a cynicznie przyznał się do tego. Jeden z b. mi= nistrów Kowieńszczyzny, zainterpelowany przed paru tygodniami w tej sprawie, nie zaprzeczył temu, ale z iście miedzianem czołem dał interpelanto= wi najszczersze potwierdzenie i wyjaśnienia.

Za t. zw. dawnych, dobrych czasów wybuchłaby natychmiast wojna. Jakto, rząd sąsiedniego państwa wspomaga oficjalnie akcję terrorystyczną i przyczy= nia się tem — choćby tylko pośrednio — do zamor= dowania ministra spraw wewnętrznych? W jakiejże my to epoce żyjemy? Co powiedziałaby Europa, ze sławetną Ligą Narodów na czele, gdyby stało się na= odwrót: gdyby rząd polski zaczął sprzątać z po=

wierzchni ziemi kowieńskich ministrów przy pomo-cy jakichś bojówek?

Pierwszym oczywiście odruchem Europy, nie mó-wiąc już o ewentualnych innych następstwach, byłby jeden olbrzymi, zgodny głos oburzenia i potępienia. Podniesionoby, że przecież rząd państwa mocar-stwowego i cywilizowanego takich metod używać nie powinien.

I słusznie. A więc toleruje się takie metody tylko u państw trzeciorzędnych i niecywilizowanych. Nie wypowiada się im o to wojny, nie wybuchają z tego międzynarodowe komplikacje poprostu dlatego, że się takich państewek i ich rządów na serjo nie trak-tuje. Bo istotnie, zatargi międzynarodowe, których innym sposobem załagodzić nie można, rozstrzyga się dobyciem oręża, a przynajmniej nowoczesnym sy-stemem stanu „ni pokój, ni wojna". Ale chyba nie oficjalnem popieraniem indywidualnych morderców. Używany był ten system coprawda już w dawnych czasach, ale i wówczas pokryjomu, nie oficjalnie. Usankcjonowanie tego systemu ustanowiła dopiero kultura i dyplomacja kowieńska.

A więc wolno, jak z tego widać, maleńkim a sztu-cznym tworom państwowym uprawiać urzędowo na-wet takie rzemiosło i to nawet nie z jakiejś specjal-nej zemsty lub dla jakiejś specjalnej „racji stanu" — która rzekomo niby usprawiedliwia wszelkie zbrod-nie — ale poprostu dla „samej zasady", skoro prze-cież ś. p. Minister Pieracki nic złego Kowieńszczy-źnie nigdy nie zrobił. Wolno — ale oczywiście tylko do czasu. A ten czas przyjdzie, jesteśmy tego pewni, a wówczas wszyscy dzisiejsi rządcy Kowieńszczyzny sami sobie szybko wystawią paszporty, jako ostat-nia ich czynność urzędowa, aby umknąć daleko zagra-nicę, gdzie pieprz rośnie... Tylko cierpliwości!

„Świętą Żmudzią" nazywali nie tak dawno jesz-

cze poeci nasi dzisiejszą Kowieńszczyznę. Na moście pod Kownem odbyło się w okresie powstania styczniowego wzruszające symboliczne zbratanie Litwy-Żmudzi z Kongresówką, gdy z obu stron chwytano za broń pod tym samym sztandarem i z tą samą patrjotyczną ideą przeciw wspólnemu wrogowi. Na terenie Świętej Żmudzi utrzymały się też bodaj najdłużej ostatnie oddziały powstańców, walczące z Moskalem. Tak — słusznie zwano Żmudź „świętą“.

No, upłynęło zaledwie lat kilkadziesiąt, żyją jeszcze ludzie, którzy te czasy pamiętają a może nawet jeszcze i ci, którzy na Żmudzi o wolność Polski walczyli, a jakże gruntownie Żmudź się zmieniła! Wystarczyło trochę rubli rosyjskich, trochę czynowniczej, polakożerczej intrygi i dwa lata rządów okupacyjnych Oberostu, aby tak gruntowną zmianę wywołać!

Czy istotnie aż tak gruntowną? My nie jesteśmy tego pewni. Zmiana żmudzkiego nastawienia jest tylko pozornie wielka, pozornie i powierzchownie, bo lud żmudzki pozostał z pewnością takim, jakim był dawniej, a tylko pewne, narzucone przez kolejnych okupantów grupy bezskrupulatnych polityków, zatrutych nadto tak modną dziś hipertrofią nacjonalizmu językowego, dostały się na Żmudzi do steru, przewracając wielu poczciwym Żmudzinom w głowie i podsuwając im megalomańskie a zabawne nieraz fikcje. Jakże bowiem zabawnie brzmiało np. oświadczenie narzuconego Kowieńszczyźnie pod ówczesnym protektoratem niemieckim „premjera“ Waldemara (ein echt littauischer Name!), przekształconego ad usum Kowieńszczyzny skwapliwie w Waldemarasa, który, powróciwszy z podróży do Londynu i zdając sprawę ze swej audjencji u angielskiego ministra, którą zdołał uzyskać, ogłaszał pompatycznie w Kownie, że „na konferencji tej stwier-

dzono zgodność interesów obu krajów"! Samo porównanie drobnego skrawka Kowieńszczyzny z brytyjskiem imperjum światowem wywołuje uśmiech. Powini nawet kowieńszczanie okazać zmysł humoru w takich wypadkach!

Ale nie w megalomanii nacjonalistów, a raczej separatystów kowieńskich — bo ludzi i rzeczy nazywać trzeba właściwem imieniem — leży dla nas sedno sprawy. Ani nie w popieraniu pospolitych zbrodni przez dzisiejsze kowieńskie rządy. Cudze błędy i winy mniej nas oburzać powinny, niż nasze własne zachowanie. W podejściu bowiem społeczeństwa polskiego do sprawy kowieńskiej leży błąd zasadniczy, który mści się na nas i mścić się będzie coraz bardziej, jeżeli się nie poprawimy.

W czem leży ten nasz błąd i zarazem sedno sprawy? W tem, że Polak jest od niepamiętnych czasów arcywygodny i arcynaiwny. Naiwność polska wypływa z wygody i lenistwa w stosunku do spraw zagranicznych i obcych wogóle.

Polak, ceniąc nad wszystko wygodę, poddaje się z reguły biernie a skwapliwie każdemu status quo. Wymyślili sobie pewni Rusini ukrainizm, więc Polak akceptuje go jako nietykalne tabu i złości się, jeżeli go ktoś z tego stanu błogiej akceptacji cudzej sprytnej koncepcji chce wytrącić i do samodzielnego myślenia podniecić. Wymyślili z kolei nacjonaliści żmudzcy, podburzeni przez Moskali i okupantów pruskich, Litwę Kowieńską, tworząc na gwałt sztuczną „litewską" kulturę i karykaturując zabawnie polskie lub niemieckie nazwiska doczepianiem litewskich końcówek (czego żaden naród na świecie dotąd nie robił!), a już wygoda społeczeństwa polskiego przyjmuje ten nowy status quo, ba, nawet pochlebia kowieńskim odszczepieńcom, starając się par force, z poniżeniem wszelkiej godności własnej, trak-

tować równorzędnie Polskę i Kowieńszczyznę jako dwa, sąsiadujące z sobą w porządku państwa, które tylko „poprawne stosunki dyplomatyczne“ i „wymiana kulturalna“ łączyć powinny.

Oczywiście, urzędowe czynniki dyplomatyczne muszą fakt istnienia odrębnego „państwa litewskiego“ uznawać. Ale czyż my — prywatne polskie społeczeństwo — nie czujemy i nie widzimy tego, że płaszcząc się przed kowieńskim tworem i zabiegając o jego względy, narzucając się z podróżami kulturalnemi i koncertami nacjonalistom kowieńskim i naodwrót, ściągając ich do Warszawy na podobne przedstawienia, wymadlając wizy do Kowna przez Rygę i t. p. — pomagamy tworowi kowieńskiemu w rozbudowie, moralnem utrwaleniu się i w nienawistnym dla Polski separatyźmie?

Nie, taka arcywygodna taktyka nadskakiwania komukolwiek, a zwłaszcza wyraźnym naszym przeciwnikom, nie jest zgodna, zdaniem mojem, ani ze słusznem poczuciem godności wielkiego narodu, ani z dobrze przemyślaną racją stanu Polski. Bo przecież tuczeniem, pochlebstwem i cukierkami nikt jeszcze krnąbrnego dziecka dobrze nie wychował. Dziwna to zaiste metoda zupełnego zaślepienia! A kowieńszczanie, korzystając z tego, zagarniają sobie bez skrupułu — oczywiście w swej fantazji — już nietylko Wilno, ale i coraz większe działy historji polskiej. Jeszcze chwila, a zaczną może głosić, że to Witold w Polsce chrześcijaństwo zaprowadził. Bo absurd nacjonalistyczny nie ma, jak wiadomo jeszcze skądinąd, żadnych granic. A społeczeństwo polskie, wygodne i potulne, zaakceptuje może i ten absurd, aby tylko wybłagać dobre stosunki między „obu państwami“ i tańsze wizy wjazdowe do ciekawego Kowna, które zdaje się wywierać tak olbrzymią atrakcję na wielu naszych rodaków!

A przecież, jak już raz zaznaczyliśmy na łamach tego wydawnictwa, sprawa Kowieńszczyzny winna być traktowana daleko prościej, z należytym objektywizmem i umiarem. Nauczmy się raz wreszcie uważać ludzi i sprawy za to, czem są w rzeczywistości. Nie dajmy się mamić fantasmagorjami, które nam ci i owi przed oczami raz po raz wyczarowywują. Rusin był, jest i będzie Rusinem — i basta! A „Litwa Kowieńska" jest tylko małym skrawkiem dawnej Litwy, której centrum, z Wilnem, Nowogródkiem i Lidą, zostało przy Polsce, wschodnia połać przy Rosji, a tylko Żmudź oderwała się, sprzeniewierzyła Unji i tego faktycznego stanu rzeczy żadne frazesy z kowieńskiej lub polskiej strony nie zmienią. Żadne też umizgi z naszej strony nie przejednają niesfornej, nacjonalistycznej irrydenty kowieńskiej, bo odrębność państewka kowieńskiego na tem właśnie się gruntuje, że jest irrydentą, zasadniczo Polsce nieprzyjazną i tylko w tym stanie odrębność tego tworu utrzymać się może. Zaprowadzenie normalnych, przyjaznych stosunków między Polską a Kowieńszczyzną spowodowałoby niechybnie w krótkim czasie powrót krnąbrnego dziecka na łono matki, a dzisiejsza rządząca w Kowieńszczyźnie warstwa, zamiast stanowisk prezydentów, ministrów, posłów pełnomocnych i t .p., musiałaby ograniczyć się do zajmowania w Rzeczypospolitej polskiej zwykłych posad obywatelskich.

Wiedzą o tem owe rządzące koła i dlatego irrydentę żmudzką wszelkimi środkami podtrzymują, z których najmniej produktywny jest prześladowanie zamieszkujących Kowieńszczyznę Polaków i po polsku czujących, historycznych żmudzinów. A najskandaliczniejszym środkiem jest oficjalne popieranie, a więc pośrednio niejako nasyłanie na Polskę morderców. To znowu fakta, których również żadna

frazeologja z kowieńskiej lub polskiej strony nie jest wstanie zatuszować. A ogółem biorąc, za każdą próbę przyjacielskiego odniesienia się do kowieńskiej irrydenty dostają nasi polscy optymiści na odlew. Bo takie właśnie bicie na odlew przychylnych ludzi leży w psychice i w „racji stanu" bojowych, nieprzejednanych irrydentystów. Widzimy to po stronie nieprzejednanych ukrainizatorów narodu ruskiego, tkórzy najzajadlej przeciwko życzliwym sprawie ruskiej Polakom występują i analogiczne zjawisko, mutatis mutandis, widzimy na Kowieńszczyźnie.

Dodajmy do tego jeszcze czeskie ataki od południowo-zachodniej granicy i tamtejsze prześladowania Polaków, które rozmiarem swym, metodami i cynizmem pozostawiają daleko za sobą dawne metody pruskie w Poznańskiem — a spostrzeżemy, że otoczeni jesteśmy wianuszkiem drobnych, ale zaciekłych wrogów, których marzeniem, nieraz aż nadto wyraźnie objawianem, jest nadszarpanie dzisiejszej Polski z różnych stron i to w imię różnych, za włosy naciąganych „historycznych" pretensji. Jak odpowiedzieć realnie na wszystkie te ataki, na tę zaślepioną ku Polsce nienawiść, która jest tem dziwniejszą, że Polska należy bez żadnej wątpliwości do tych nielicznych państw, które z wielkim liberalizmem do swych mniejszości się odnoszą, mimo, że ze strony tych mniejszości dotkliwie nieraz cierpi?

Wydaje mi się, że na imperjalistyczne ataki ze strony drobnych a zajadłych wrogów jedyną realną, na dłuższą metę skuteczną odpowiedzią jest wysunięcie odpowiedniej, na gruntownych podstawach historycznych opartej, z autorytetem, ale i z należytym umiarem traktowanej idei „geopolitycznej" państwa polskiego. A taką ideą jest — i z innych względów także być powinna — restytucja Rzeczypospolitej o troistym herbie, oczywiście w popraw-

niejszem od dawnego wydaniu, którego organizacyjnych szczegółów nie potrzeba narazie przesądzać.

Kto grożące mu niebezpieczeństwa skutecznie chce odparować, kto wogóle chce cośkolwiek osiągnąć, temu nie wolno zamykać się małodusznie, kwietystycznie w wąskiem podwórku, ale musi wykazać zdrową prężność, myśl ekspansywną i szersze dążenia. Nie wystarcza głosić wszędzie, że swego nie damy. Na takiem twierdzeniu poprzestawać mogą i muszą — tylko oficjalne czyniki w państwie. Inaczej nie wypada. Ale przywatne sfery polskiego społeczeństwa winny szeroką rzucić i propagować ideę, przewidując i przygotowując przyszłość i pamiętając dobrze naukę doświadczenia dziejowego, że naród, który, zadowolony całkowicie swą daną sytuacją, niczego więcej nie pożąda, choć mocno jest okrojony i zagrożony, wzbudza temsamem cudze apetyty.

Musimy więc zerwać z defenzywą, która tylko rozzuchwala przeciwników i wzmacnia różne irrydenty, a natomiast przejść do moralnej ofenzywy, wysuwając i utrwalając w umysłach szeroki program Rzeczypospolitej mocarstwowej, złożonej z Polski, Litwy i Rusi. Nie jest to utopia, przeciwnie, utopią byłoby w konkretnych warunkach położenia obecnego państwa polskiego chcieć utrzymywać to państwo po wieki wieków w obecnym stanie, bez żadnego większego programu, bez szerszych dążeń, które chodować i kształcić trzeba koniecznie w perspektywie zmian, jakie ewolucja historyczna ciągle ze sobą przynosi. Wszak utopią byłoby przypuszczenie, że obecny status quo w Europie po wszystkie czasy bez zmian się utrzyma. A więc trzeba się na możliwość tych zmian dobrze, zawczasu przygotować i w tym celu, jako podstawę, wysunąć powyższy program narodowy i państwowy, którym — bez niepotrzebnie drażniącego brząkania szablą — na-

tchnąć się powinien cały naród i w tej myśli konsekwentnie i zgodnie pracować. Wszystko, co w kraju mówi się i pisze i organizuje, winno być bezpośrednio lub przynajmniej pośrednio tym programem, tą ideą natchnione.

A w programie tym problem dzisiejszej Litwy kowieńskiej przedstawia się z natury rzeczy bardzo prosto: niesforne dziecko po szeregu lat brykania po manowcach wrócić musi integralnie do macierzy. Sprawa języka litewskiego i budowanej na nim z pośpiechem literatury jest przytem nieistotną. Rzeczpospolita o troistym herbie nie miała bowiem nigdy i mieć nie będzie żadnych uprzedzeń językowych. A niechże sobie obywatele mówią swobodnie i piszą w jakim chcą języku, który za swój ojczysty, historyczny język uważają! Znaczna większość dawnego litewskiego narodu spolonizowała się — i to wcale nie gwałtem — dając Polsce wielkich królów i wodzów i pierwszorzędnych literatów. Z Litwy wyszedł Józef Piłsudski. Wszyscy oni czuli głęboko po polsku, głębiej nieraz od Polaków najrdzenniejszego polskiego pochodzenia, nie przestając miłować Litwy. Wszak największa nasza epopea od tęsknego wezwania do Litwy się zaczyna. Stolicą Litwy pozostało niezmiennie Wilno. A jeżeli pewna część Litwinów pod wpływem prądów nowoczesnych, regenerujących kult prastarej przeszłości, chce mówić dawnym litewskim językiem, to cóż mógłby mieć ktoś przeciw temu? Co to może szkodzić idei państwa o troistym herbie? Czyż szkodzi na serjo Francji to, że celtycki bretończyk całkiem innym mówi językiem i całkiem inne ma tradycje od romańskiego prowansalczyka?

Niechże więc ludzie mówią i piszą na Litwie po polsku, po litewsku, po rusku, czy białorusku, niech pielęgnują sobie swobodnie wszystkie tradycje, upo-

dobania i zwyczaje, niechże jaknajgorętszy patrjotyzm litewski we wszystkich językach rozwija się dokoła starego grodu Gedymina — nietylko nie zaszkodzi to wspólnocie idei troistego państwa, ale wprost przeciwnie: wzmocni państwo przez spotęgowanie regjonalnego patrjotyzmu. Źle jest, jeżeli duże państwo żyje tylko tętnem jednej stolicy, a prowincje drzemią. Przez podniesienie pogoni na Litwie, a sztandaru ze św. Michałem na Rusi Rzeczpospolita tylko zyska na mocy.

Ale nie jest zrozumiałem, dlaczego w dzisiejszych zwłaszcza czasach, kiedy przy olbrzymiej technice wojennej tylko duże państwa przedstawiają pewne gwarancje trwałego bytu, ma część obywateli Litwy dla względów ekskluzywizmu językowego odrywać się od państwa, a nawet od swej najbliższej, litewskiej ojczyzny i konstytuować sobie sztuczny i oczywiście mizernie słaby, odrębny twór państwowy? Coby działo się na świecie, gdyby każdy szczep, który od dawna wszedł organicznie w skład jakiegoś państwa, porwany nagle szałem językowego szowinizmu, chciał tworzyć sobie odrębne państewko? Europa zmieniłaby się momentalnie na pstrą szachownicę o niezliczonej ilości drobnych poletek, które, najeżywszy się drutami kolczastymi przed wzajemną wymianą kulturalną i gospodarczą, uniemożliwiłyby ludziom egzystencję i cel tworzenia państwa wogóle by im obrzydziły! Nie mówię już o tem, że w okolicach o ludności mieszanej, a więc w szerokich pasach granicznych między szczepami, problem pociągnięcia granic byłby wogóle nierozwiązalny i stanowiłby źródło wiecznej walki.

Dlatego Żmudź musi wrócić do Wilna, a nie na odwrót, jak tego pragnie w zabawnej megalomanji pewna sfera szowinistów, która, stanowczo obcym wodzona i podburzana wpływem, narzuciła Żmu-

dzi — korzystając z momentu chaosu po wojnie światowej — odrębność państwową. Bawią się w tradycje trzech Budrysów, lawirując między Niemcami, Rosją a Polską. Zapominają jednak, że dziś taka zabawa niebezpieczna i à la longue niemożliwa i że tradycję Budrysów wyidealizował — polski poemat!

Prawdziwa myśl geopolityczna — że użyję tu tej nowoczesnej nomenklatury — polega nie na sztucznych koncepcjach, będących wybujałościami imperjalistycznego nacjonalizmu, ale na głębszem zrozumieniu organicznej wspólnoty i potrzeb realnych społeczeństwa, umieszczonego na danym obszarze geograficznym, tworzącym pewną całość kulturalną i gospodarczą, o pewnych naturalnych granicach, przyczem społeczeństwo to, bez względu na różnice pochodzenia i języka, wiązać muszą ze sobą także pewne poważne, wspólne tradycje. W danym wypadku dążność — choćby długo niezaspokojona — do zrealizowania idei geopolitycznej w formie odbudowy państwa o troistym herbie jest organiczną koniecznością w równej mierze dla Polaków, jak Litwinów i Rusinów. Narzucają im wspólnie tę konieczność zarówno geograficzna konfiguracja terenu, który zamieszkują, między wschodem a zachodem Europy, jak i ważne względy gospodarcze i wreszcie najważniejsza kwestja obrony, czyli egzystencji. Nie umiała rozwiązać zadowalająco organicznego tego problemu dawna Rzeczpospolita i właśnie dlatego upadła. Nie rozumieją go zupełnie dzisiejsi, sztuczną tradycją zukrainizowani Rusini i dlatego są dotąd najbeznadziejniejszym narodem na świecie. Oderwała się od naturalnej geopolitycznej linji maleńka Żmudź i dlatego zawisła w powietrzu niebezpiecznie dla siebie samej i wszystkich sąsiadów. Nie rozumieli dawni Polacy i nie rozumieją dzisiejsi Ru-

sini i Żmudzini, że wypaczenie własnej, naturalnej idei geopolitycznej lub zgoła odrzucenie jej osłabia każdy naród i każde państwo i wydaje prędzej czy później na łup sąsiadom.

Dzisiejszy ukrainiec nie wie dokładnie, co ma począć ze sobą i z całą pewnością nie byłby wstanie wytworzyć trwałego państwa, gdyby mu nawet odpowiedni teren ofiarowano. Byłby to bez żadnej wątpliwości stale ziejący wulkan, który gasićby musiały obce siły. Podobnie nie ma żadnej perspektywy dłuższej egzystencji politycznej dzisiejsza Kowieńszczyzna, sztucznie wyodrębniona. Wtłoczona klinem między Polskę a Niemcy, musi wkońcu stać się łupem jednego z sąsiadów. Bo choćby ten sąsiad najbardziej nawet pokojowe miał intencje, to sama egzystencja takiego klinowego, sztucznego tworu, z jego w dodatku ultra-szowistycznym nastrojem, grozi niebezpieczeństwem. A jest jeszcze i Rosja.

Którą więc z tych trzech ewentualności, bo czwartej realnej niema, Kowieńszczyzna ostatecznie wybierze? Gdzie ma ją pchnąć dobrze zrozumiana racja stanu? Czy sądzi, że oddalając się w dalszym ciągu od macierzy i przez to poddając się stopniowo obcym wpływom, a wkońcu niechybnie i pod obce panowanie, litewskość swą ocali?

Bez pretensji do daru proroctwa domyśleć się jednak można, że samobójcza ideologja i polityka dzisiejszej Kowieńszczyzny, jeżeli będzie się kontynuować, doczeka się niebawem czasów, że jedynem ogniskiem, które pielęgnować będzie z pietyzmu historycznego stary język litewski, będzie polski uniwersytet w Wilnie. Bo na terenie dzisiejszego państwa litewskiego mówić się będzie po litewsku chyba tylko do chłopa, a i ten — sprytny, jak każdy chłop — będzie się starał przyswoić sobie panujący obcy język „urzędowy“!

Tak będzie — chyba, że Żmudź opamięta się, zrzuci z siebie jarzmo potomków stworzonej przez pruską komendę Taryby i wróci do macierzy...

POD SZTANDAREM KRÓLOWEJ JADWIGI.

(ODEZWA SEKCJI SZERZENIA KULTU KRÓLOWEJ JADWIGI).

„Jeżeli Polska, mimo niejednokrotnie podejmowanych starań, nie była w stanie przez pięć wieków osiągnąć kanonizacji królowej Jadwigi, to widocznie dlatego, że godną tego nie była“.

Wracamy do tych słów, zacytowanych przed dwoma laty na łamach tego pisma, gdyż niezmiernie trafnie oddają one głęboki, niemal mistyczny, a jednak jakżeż realny związek między stopniowym upadkiem moralnym dawnej Polski a niedosiężnym do niedawna celem — kanonizacją świętobliwej a największej władczyni Polski, od której mocarstwowość i europeizacja na zachodnią modłę cywilizowaną naszego państwa wogóle dopiero się datuje! To też siłą wiary, kultu i dążeń katolickiego społeczeństwa polskiego, jaka dziś objawić się winna, aby cel ten nareszcie osiągnąć, skłonni jesteśmy mierzyć przyszłe losy polskiego narodu. Osiągnie, czy nie osiągnie naród polski ten cel, doniosły z wielu względów? — oto ważkie pytanie, oto wielka próba dziejowa, jakiej nasz naród w dzisiejszej, krytycznej, bardzo zmaterjalizowanej epoce został znowu poddany. A próba ta nie wymaga od szerokich sfer naszego społeczeństwa niczego więcej, jak tylko pewnej wytrwałości w dążeniu do celu i wiary, tej głębokiej wiary, co to góry przenosi!

Wstępne postępowanie, zmuszające do rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego, zostało już przez władze duchowne oficjalnie otwarte. Jako postulator procesu występuje ze zlecenia J. E. Ks. Arcybiskupa

krakowskiego, jako ordynarjusza miejsca, w którem żyła i działała świętobliwa Jadwiga, kanonik krakowski ks. Van-Roy. Ale właśnie teraz, więcej, niż kiedykolwiek przedtem, zachodzi potrzeba rozkrzewienia się w najszerszych sferach społeczeństwa gorącego kultu Królowej, manifestującego się w modlitwach o Jej wstawiennictwo, w pielgrzymkach do Jej grobu na Wawelu i w uroczystych obchodach, urządzanych z inicjatywy samego społeczeństwa w całym kraju.

Takich, żywych przejawów powszechnego kultu wymaga Stolica św. jako jednej z bardzo ważnych podstaw w procesie beatyfikacyjnym. Wymaga tego także dla ewentualnego ujawnienia się pewnych cudownych łask, co jest drugim podstawowym warunkiem uznania świętości danej osoby. Trzecim warunkiem jest dokładne zbadanie życia Królowej, a w tem poważny głos, obok władz duchownych, zabrać winni fachowi historycy, znawcy epoki.

Po prawdzie, kult dla świętobliwej Królowej, wzbudzony bezpośrednio po Jej śmierci, a nawet jeszcze za Jej życia, nigdy w Polsce nie wygasał. Rzadko, ale nieustannie, tu i tam, modlili się i modlą ludzie o Jej wstawiennictwo. W niektórych rodzinach kult ten specjalnie jest zachowany. Wzrósł w ostatnich latach, ujawniając się w szeregu wielkich, podniosłych uroczystości w kilku głównych miastach i w licznych mniejszych, oraz w pielgrzymkach do Krakowa. Obok Krakowa, manifestuje się nazewnątrz zwłaszcza w djecezji kujawskiej, gdzie niedawno jeszcze odbyły się obchody. W tej chwili z inicjatywy ośmiu delegacji warszawskich utworzył się komitet stołeczny celem urządzenia w najbliższym czasie znowu wielkich uroczystości, jakie miały tu miejsce przed trzema laty staraniem naszej

Sekcji, a zapewne nawet na szerszą jeszcze skalę, gdyż do współdziałania zaproszone są liczniejsze, niż wówczas, organizacje.

Ale to wszystko — to dopiero początek. Wzbudzić się musi bowiem odruch potężny, płomienny, taki właśnie, jakiego potrzeba, aby się Polska godną podjętego wielkiego celu okazała. Muszą przytem objawić się cuda...

Widzimy wykształconych naukowo sceptyków, jak się na to żądanie pobłażliwie uśmiechają. Nawet niejeden z głęboko wierzących katolików uśmiecha się z zakłopotaniem. Bo jakże to — cuda, prawdziwe cuda dzisiaj, w epoce wysokiego naukowego uświadomienia i nawskroś trzeźwego poglądu na rzeczy, w epoce aeroplanów, radja i olbrzymich, najbardziej poziomych interesów gospodarczych, mają w oczach naszych odrastać kalekom ręce i nogi, albo suchotnicy w ostatniem stadjum przychodzić nagle do zdrowia?

Możnaby im odpowiedzieć, że prawdziwie głęboka wiedza i prawdziwie wszechstronne wykształcenie winny czuć się właśnie bardzo skromnemi wobec różnych wielkich zagadnień. Moglibyśmy im odpowiedzieć, że prawdziwie głęboka, skrupulatna, objektywna i uczciwa, aż do ostatecznych wniosków traktowana wiedza przyrodnicza, fizyka, astronomia, antropologia, a nadto archeologja dochodzą zawsze do pewnego punktu, gdzie brak innego — oczywiście uczciwego i bezstronnego — wyjaśnienia konkretnych rezultatów badań, jak tylko uznanie nadprzyrodzonego Stwórcy. Tylko dość powierzchownie i niewszechstronnie wykształceni ludzie, choćby nawet obdarzeni patentami uniwersyteckimi, uznający a priori światopogląd materjalistyczny, a więc pewnego rodzaju partyjną doktrynę i naginający do niej gwałtem pozytywne wyniki badań, a prześlizgu-

jący się zręcznie obok poważnych szkopułów naukowych, które ich gładkiemu rozumowaniu stają na drodze, ci tylko mogą eliminować z kosmogonji nadprzyrodzonego, osobowego, wszechmocnego Stwórcę. A jeżeli jest Bóg, to mogą być i cuda, nawet w „trzeźwym“ dwudziestym wieku!

Ale czyż koniecznie w dzisiejszych czasach aż takich cudów potrzeba, jak nadzwyczajne uzdrowienia, wobec których bezradnie staje oficjalna wiedza lekarska? Zdaje nam się, że cudowne zdarzenie, jeśli się nie mylimy, może objawić się wymownie także i w innej formie, byle oczywiście nastąpiło w bezpośrednim związku z czyjąć wyraźną intencją, skierowaną w modlitwie o wstawiennictwo Świętobliwej. Czyż niespodziewane odwrócenie grożącego komuś niebezpieczeństwa lub niespodziewane nawrócenie z głębokiego upadku jakiegoś grzesznika, czy uzyskanie pewnych łask, które wydawały się niemożliwe do osiągnięcia, nie może być zaliczone do wydarzeń cudownych, o ile należycie będzie stwierdzone i udokumentowane? Wielu przyzna może, że w zmaterjalizowanym do cna XX-ym wieku osiągnięcie którejś z takich łask trudniejszem jest, niż w dawnych czasach cudowne uzdrowienie. Bo żyjemy w epoce, kiedy zarozumiały umysł ludzki, nazbyt pochłonięty tańcem koło złotego cielca, zlekceważył Boga, a nawet otwartą wydał mu walkę.

Ale w każdym razie patrzebną jest wiara. A wiara ta, przez szeroki ogół wyznawana, inne jeszcze, niezmiernie dobroczynne wywrze skutki.

Prawda, że przed trybunałem Watykanu stanie nie wielka królowa, lecz tylko niewiasta, której świętobliwość wykazać należy. Polityczna wielkość i zasługi monarchini dla jej państwa nie będą istotną kwestją dla tego trybunału. To też usiłowania społeczeństwa polskiego w tym przedewszystkiem kie-

runku winny być skierowane. Nie o koronę królewską chodzi, ale o cnoty i ofiarność Jadwigi, które świeciły i świecić winny nadal przykładem nietylko narodowi, jako całości, ale i każdemu poszczególnemu człowiekowi. Kult społeczeństwa polskiego winien więc mieć na oku wykazanie i rozszerzenie przekonania w świętość Jadwigi. Ale poza tą główną sprawą, jedynie miarodajną dla wyroku Kościoła, wolno nam, Polakom dzisiejszej doby, inne jeszcze względy mieć na oku, które dla wyroku Kościoła nie są wprawdzie decydujące, niemniej jednak pewną pomocniczą mogą grać rolę, znaczenie ostatecznej kanonizacji wielkiej Królowej podnieść w narodzie i postać jej szczególną aureolą opromienić. I to właśnie z niezmiernym pożytkiem dla nastrojów i czasów, jakie przeżywamy i jakie potrwać mogą jeszcze długo.

Najpierw uświadomić to sobie winni wszyscy Polacy, a zwłaszcza ci, którzy hasło mocartwowości wciąż mają na ustach — nieraz nie zastanawiając się dokładnie nad jego głębszem znaczeniem i nad żmudnymi torami, które realnie do jego urzeczywistnienia wieść mogą — że tę wielkość państwa polskiego, w europejskim tego słowa znaczeniu, stworzyła dopiero Jadwiga. Ona sama, bezpośrednio, a nie ktoś inny pod jej imieniem, jak to w innych państwach nieraz bywa. Np. przedwojenną potęgę cesarstwa niemieckiego stworzył nie cesarz Wilhelm I-szy, ale Bismarck w jego imieniu. Tymczasem potęgę państwa polskiego stworzyła Jadwiga bezpośrednio swą osobistą, wysoką kulturą zachodnią, ofiarnością swego życia i genialną polityką, która była jednem wielkiem dziełem pokoju. Ona przyniosła bowiem Polsce najpierw pokój od zachodniej strony, gdyż Niemcy, ani Czechy, ani nawet Krzyżacy nie śmieli targnąć się na koronę córy Andegawenów. Potem

wieczną wojnę polsko=litewską, obfitującą w rabunkowe na Polskę wyprawy, zamieniła na trwałą przyjaźń — na jedyną w swym rodzaju unję dwóch narodów, którą każdy wiek następny coraz silniej cementował. Ostatni pogański naród w Europie przeszedł na łono chrześcijaństwa i stał się potężnym czynnikiem współtwórczym polskiej kultury. Równocześnie pokojowa jej wyprawa na Ruś Czerwoną przyniosła nareszcie upragniony spokój tej ziemi, zwanej przedtem słusznie „rzeczą niczyją", gdyż przechodziła z rąk do rąk, niszczona ustawicznymi napadami.

W ten sposób podstawowa troistość państwa mocarstwowego, Polska — Litwa — Ruś, została ufundowana i to nie mieczem, jak fałszywie twierdzą dziś różni nasi przeciwnicy, ale osobistą ofiarą serca, rozumem i twórczą, pacyfistyczną polityką wielkiej Królowej pokoju, którą w całej pełni była Jadwiga. Obca pochodzeniem wszystkim tym trzem narodom, podbiła ich serca i przekonania nie siłą, ale urokiem osobistym i swego dzieła. Za jej rządów kwestja polsko=litewska i polsko=ruska zlikwidowały się i znikły, a żaden z zainteresowanych trzech narodów nie czuł się pokrzywdzony. Spory te odrodziły się znowu dopiero w szereg wieków później — niestety...

A obok tego milkły i łagodziły się pod urokiem i mądrą ręką Królowej wewnątrz państwa różne osobiste animozje, ambicje i przeciwne tendencje. Hołd, złożony jej wkońcu przez niesfornego Witolda, jest jednym z błyszczących tego przykładów. Równocześnie zaś szły skarby Królowej na akademię, kościoły i ogólne podniesienie kultury.

Mamy więc w wielkiem dziele Jadwigi, które w pierwszym rzędzie jest osobistą jej zasługą, trzy walne momenty zjednoczone: pokojowe, prawdzi=

wie chrześcijańskie wzmożenie potęgi państwa, zaprowadzenie zgody wewnętrznej w kraju i podniesienie kultury. W takiej harmonii, z tak wielkim rezultatem i w tak chrześcijańskim duchu nikt przed Jadwigą, ani po niej podobnego dzieła w dziejach naszych nie dokonał. A dzieło to opromienione było nadto nimbem ofiary osobistej i miłosierdzia, które jeszcze za życia Jadwigi dały impuls powstaniu pobożnych legend, a wnet po jej śmierci także i stwierdzonych cudów.

A trzy te wielkie momenty nie straciły i dziś jeszcze nic na znaczeniu. Ciągle są aktualne: przywrócenie unji trzech narodów, niezgodą targanych z własną ich szkodą, załagodzenie wewnętrznych sporów partyjnych i klasowych oraz podniesienie ogólnej kultury, mocno zdeprawowanej i pokruszonej zarówno skutkami największego zbrojnego kataklizmu światowego, jak i rozkiełznaniem różnych złych mocy. Materjalnym zaś rezultatem tego wszystkiego jest niewątpliwie także i nieuleczalna dotąd gospodarcza niedola.

Na tem tle ponurem, niezgody, zaślepienia i upadku — mimo pozoru różnych zewnętrznych sukcesów — i na tle walnych a groźnych, bo nierozwiązanych dotąd problemów narodowych i społecznych uświadomić się winna wszystkim niezmierna doniosłość wyniesienia wielkiej Królowej na ołtarze Świętych i spotęgowania jej kultu w polskim narodzie, kultu nietylko dla jej osobistej świętobliwości według kanonicznych wymagań Kościoła, ale i dla wzniosłego przykładu i drogowskazu historycznego, jakim stać się winno dla nas dzieło życia Jadwigi.

My w dzisiejszej epoce, gdy fałszywe rządzi światem przekonanie, że pozornie materjalistycznymi środkami, bez skrupułu nieraz stosowanymi, oraz metodą t. zw. trzeźwego interesu, skrajnie egoi-

stycznego, z odepchnięciem wszelkich wznioślejszych idei, można najpraktyczniej rozwiązywać najważniejsze, organiczne problemy polityczne, społeczne, gospodarcze, a nawet wchodzące w zakres moralności, w epoce, gdy wszelakie złe a głupie moce, wywołane doktryną Marksa i wywrotowemi konspiracjami o światowym zasięgu, starają się stłumić i zdeptać wszystko, co szlachetne i prawe, a buntować i kierować umysły na tory różnych rozpaczliwych, bezkrytycznych, jałowych, lub wprost niszczących eksperymentów, wobec tego charakteru, tego nastroju i tych niebezpieczeństw epoki, które szczególnie grożą katolickiej Polsce, winniśmy zwrócić się żywiołowym odruchem, ze świadomą wiarą i głębią przekonania do tego wielkiego, błyszczącego, historycznego drogowskazu, jaki nam daje żywot i dzieło Jadwigi.

Tam znajdziemy nieomylną drogę i prawdziwe wyjście z niebezpiecznych manowców i ciężkiej niedoli, w jakie zabrnęło nasze nowoczesne społeczeństwo w epoce, zdeprawowanej, mimo wszelkich szumnych haseł, skrajnym materjalizmem i pogardliwą niewiarą we wszystko, co umysłom naszym nie przedstawia natychmiastowej, doraźnej, poziomej, a jakże często zwodniczej lub efemerycznej korzyści! Podniesienie dzisiaj w oczach zmaterjalizowanych, różnoraką niedolą zgnębionych, a wewnętrzną niezgodą targanych tłumów wielkiej historycznej postaci na ołtarze Świętych, podziała niewątpliwie uzdrawiająco na całą atmosferę i na naprostowanie pojęć i stosunków w naszym kraju. Takiego autorytetu nadrzędnego, kojarzącego w sobie ziemskie i nadziemskie walory, a przemawiającego do wszystkich serc i przekonań, szczególnie nam dzisiaj i na całą przyszłość potrzeba. Mają różne dziedziny życia ludzkiego, różne sfery i zawody

swoich Świętych. Ma ich stan duchowny, a w szczególności zakony, ma ich wiedza naukowa, ma stan wojskowy, mają wszystkie stany, a nawet całe państwa i narody, które dawną tradycją pod szczególny patronat pewnych Świętych się oddają. Niechże idea Polski mocarstwowej, idącej naprzód wielkiemi dziełami pokoju, kultury i prawdziwie chrześcijańskiego politycznego rozumu, kojarzącego w unje z przekonania sąsiadujące ze sobą narody w celach wzajemnego ułatwienia sobie bytu, uzyska swą świętą patronkę w Królowej Jadwidze! Prawdziwie mądry naród, historycznem doświadczeniem zaprawiony, wiedzieć powinien, że wyłącznie materjalnymi środkami trwałość potęgi mocarstwowej, któraby siłę trakcyjną na inne ludy wywierała, osiągnąć się nie da.

A równocześnie stworzenie takiego historycznego autorytetu świętości w dzisiejszych czasach, ku któremu zwrócą się myśli i serca narodu, będzie nam stokroć skuteczniejszym puklerzem przeciw wszelakim mocom złego, niż najlepiej zorganizowane zrzeszenia antybolszewickie i wogóle antywywrotowe.

Nie wystarcza bowiem bezpośrednie zwalczanie tych wszystkich, gangrenujących dzisiejsze społeczeństwo wpływów. Przeciwnie, w pewnych wypadkach metoda bezpośredniej walki ze złem wzmaga jego natężenie, gdyż ludzie i doktryny przewrotne skupiają się sprowokowane i tem potężniej atakują. Np. piorunowanie słowem i piórem na bolszewizm niewiele mu zaszkodzi, jeżeli społeczeństwo polskie nie będzie przedewszystkiem wewnętrznie przeciw niemu opancerzone. Zwalczany bezpośrednio komunizm razem z całym swym światem fałszywej ideologji i logiki, ugina się elastycznie przed atakiem, zmienia swą taktykę hałaśliwej agresji i propagandy,

pozornie łasi się i łagodnieje, ale tem potężniej infiltruje się w umysły społeczeństwa stopniowemi falami niby postępowości, niby humanitaryzmu, niby demokracji, a na serjo etatyzacji, gnębienia prawa własności, religji i ustroju rodzinnego. Oplata więc uczucia patrjotyczne, ustawodawstwo i słuszne wogóle poczucie obywatelskiej dyscypliny państwowej takim wężowym splotem swych podziemnych wpływów, że na nic nie zda się etatyzowanej, moralnie i materjalnie coraz bardziej gnębionej jednostce piorunować gołosłownie na grozę bolszewickiego niebezpieczeństwa. Bolszewizujemy się podświadomie wśród najwznioślejszych frazesów na ustach. Bolszewizm bowiem, masonerja i inne chytre moce złego mają specjalną umiejętność szerzenia się nawet przez tolerowanie walki przeciw sobie samym!

W takich warunkach niezbędnem jest położenie z naszej strony nacisku nietyle na defenzywę, ile przedewszystkiem na tworzenie pozytywnych, doniosłych faktów dokonanych i to zwłaszcza takich, któreby same przez się zbudowały w umysłach polskiego ogółu żelazną zaporę przed ekspansją złego. A taką właśnie, potężną, powszechną i skuteczną zaporę stworzy bez żadnej wątpliwości fakt dokonanej beatyfikacji resp. kanonizacji wielkiej postaci historycznej, także i dlatego, że postać ta, oprócz swej aureoli świętobliwości, przemawia do nas mocarnie także i przykładem swej wielkiej dziejowej roli i swych prawdziwie wielkich zasług politycznych dla stworzenia potęgi państwa.

Oto głębsze przyczyny, dlaczego postawiliśmy sobie za cel siewzruszony — w zrozumieniu całokształtu sytuacji — osiągnięcie kanonizacji wielkiej Królowej. Powtarzamy, że są to dla Trybunału duchownego motywy drugorzędne, gdyż pierwszorzędnym jest udowodnienie świętobliwości osoby. Ale

należyte uświadomienie sobie także i tych drugorzędnych motywów, t. j. uzdrawiającego wpływu na psychikę społeczeństwa, który fakt kanonizacji ze sobą przyniesie, winno stanowić potężną podnietę dla wysiłków narodu polskiego, zmierzających do osiągnięcia doniosłego celu.

Sekcja szerzenia kultu Królowej Jadwigi.
Związku Polskiej Myśli Państwowej.

SOJUSZ ANTYBOLSZEWICKI.

Wiemy z dowiadczenia, jak zmienną jest polityka zagraniczna. Niczem wiatr. Sympatje, antypatje, sojusze, różnorodne nastawienia i rozgrywki międzynarodowe mają charakter kalejdoskopu. Co dziś wydaje się murowanem, to jutro okazuje się mgłą. Wczoraj jeszcze entuzjazmowało się społeczeństwo kierunkiem polityki zagranicznej danego rządu, dzisiaj już wątpi w nią i wynajduje na niej plamy, a jutro będzie ją w pień potępiać.

Zwykła kolej dyplomatycznych losów, zwłaszcza w społeczeństwie o temperamencie porywczym, skłonnem do krótkotrwałych entuzjazmów, do mierzenia pociągnięć politycznych na uczucia, a w rezultacie politycznie mało wyrobionem.

Zdaje się jednak od pewnego czasu, że w całym tym, nader pstrym i zmiennym kalejdoskopie polskich nastawień wobec zagranicy zarysowuje się jakaś, dotąd blada jeszcze, ale celowa, niejako organiczna linja wytyczna. Nie idzie jeszcze w tym kierunku wyraźnie myśl całego naszego społeczeństwa, przeciwnie, wielkie jeszcze piętrzą się na tej drodze przeszkody — przeważnie uczuciowe przeszkody — ale pewna myśl już jest. Chodzi tylko o jej dalszy rozwój i lepsze uwypuklenie.

Wydaje się, jakgdyby zarysowywał się wreszcie na serjo jakiś front antybolszewicki. Wielkie, wspólne niebezpieczeństwo, grożące w niedalekiej już może przyszłości ze strony bolszewickiej Eurazji (po polsku mówiąc: ze strony wiecznie zachłannej Moskwy), zaczyna uświadamiać się bliżej pewnym państwom zachodnim i nietylko wzbudza reminiscencje

dawnych, tradycyjnych węzłów przyjaźni (Polska—Węgry), lecz nawet godzi ze sobą państwa resp. narody, od wieków ze sobą walczące (Polska — Niemcy). Coprawda inne zachodnie państwa, nazbyt zacietrzewione w dorywczej, aktualistycznej polityce niebezpieczeństwa tego dostatecznie jeszcze nie widzą, a nawet z karygodną, prawdziwie samobójczą bezmyślnością wprost je popierają (Czechy, pewne sfery w Rumunji).

Nie chcemy i nie możemy przesądzać przyszłości, ani bawić się w jakiekolwiek proroctwa, które pierwsza lepsza zmiana konjunktury dyplomatycznej może obalić. Ale tak, jak w tej chwili rzeczy stoją — i jak od kilku lat wydają się dojrzewać — odnosi się wrażenie, że Europa zaczyna dzielić się, jakgdyby automatycznie, na dwa obozy, obok których Anglja stanowi znowu, jak zwykle, język u wagi.

Z jednej strony staje do ostatecznej ponoć walki radykalna demokracja, z całym swym trzosem przeszło stuletnich zdobyczy i przerostów, często dla jej własnej egzystencji niepożądanych, które jednak siłą przekleństwa swej genezy i swych rezultatów musi ciągnąć za sobą — więc z masonerją, socjalizmem, komunizmem, kłopotami ludowładztwa i t. p. Reprezentują ten front różne państwa, ale trzy główne jego forty to Francja, Mała Ententa i Rosja sowiecka. A właściwie są tylko dwa, gdyż Mała Ententa, a w niej zwłaszcza Czechosłowacja, stojąca dawniej pod komendą francuskich masonów, staje się coraz bardziej wysuniętą na zachód placówką Rosji i to Rosji w obu jej przejawach, które tylko w Czechach obok siebie istnieją: Rosji białej, ukrytej w t. zw. idei słowiańskiej, oraz Rosji czerwonej, która całkiem jawnie i niemal już oficjalnie na terenie Czechosłowacji działa, nietylko w ekspansji ko-

munizmu ale i w militarnem współdziałaniu Sowie- tów. Dochodzą nas wiadomości, że oficerowie so- wieccy współdziałają w budowie linji fortyfikacyj- nych na Słowacji, wymierzonych oczywiście prze- ciw Polsce i w urządzaniu baz lotniczych, np. w Uż- horodzie, Michalowcach, Piszczanach i t. d.

Francja boi się niemieckiego odwetu, Czesi boją się rozpadu swego zbyt sztucznie skleconego pań- stwa, w którem sami mniejszość stanowią, p. Titu- lescu służy osobiście pewnym zachodnim pseudo- demokratycznym mocom i w obawie przed możli- wością węgierskiego odwetu buduje przez północną Rumunję samobójczy dla niej pomost lotniczy i wojskowy Moskwa — Praga, nie zdając sobie wi- docznie sprawy z tego, o czem my, Polacy, z dotkli- wej nauki dziejów dobrze wiemy: że kto zezwala na przemarsz (czyli zakwaterowanie się) wojsk sąsia- da przez swój kraj, temsamem poddaje się temu sąsiadowi. P. Titulescu wytrąca wielką Rumunję z jej obecnej, głównej racji bytu: południowego ba- stjonu przed inwazją wschodu. A Rosja sowiecka — a więc krótko: Rosja — spychana przez Japonję z najdalszego wschodu, wkracza, razem z komuni- zmem, otwartą w ten sposób bramą rumuńską i cze- ską do centrum Europy, zdobywszy sobie już dość poważne stanowisko w Lidze Narodów i regenerując sprytnie dawną przyjaźń carsko-francuską, która była od lat najsłabszą stroną francuskiego rentjera.

W całym tym wielkim koncernie, którego oś łą- czy Moskwę z Pragą i Paryżem (mimo oczywiście olbrzymich różnic psychologicznych tych trzech ośrodków), podają sobie ręce komunizm, masonerja i bezmyślne tabu „zdobyczy demokracji“ w dziwnej harmonji z imperjalistycznym duchem Rosji i Czech.

Po przeciwnej zaś stronie zaczynają zawiązywać

się, prawem naturalnej reakcji, coraz silniejsze węzły między państwami „ładu i porządku“, jakkolwiek w ujmowaniu tego pojęcia zachodzą między niemi również bardzo znaczne różnice ustrojowe i psychiczne. Tworzy się realny front antybolszewicki Berlin — Warszawa — Budapeszt. Tradycyjna przyjaźń polsko-węgierska staje obok wyrozumowanego z konieczności jakgdyby sojuszu polsko-niemieckiego (a raczej polsko-hitlerowskiego), uzupełnionego kontaktem Budapeszt — Berlin i Budapeszt — Wiedeń. A dalej na południe uzupełniają ten front faszystowskie Włochy, związane przyjaźnią z Węgrami i Austrją, a z Niemcami wprawdzie skłócone na przełęczy Brenneru, ale zato zbliżone do siebie wzajemnemi sympatjami ustrojów hitlerowskiego i faszystowskiego.

Oczywiście fizjonomje obu tych frontów nie są we wszystkich szczegółach tak proste i wyraźne, jak je tu w najogólniejszym zarysie szkicujemy. Ale w szerokich rzutach ogólna konfiguracja obu frontów zarysowuje się istotnie w powyższy sposób.

Ostatnie zaś zwycięstwo wyborcze konserwatyzmu angielskiego przechyla Anglję na stronę antybolszewickiego frontu w Europie, mimo jej dyplomatycznej przyjaźni z Francją i kampanji sankcyjnej angielsko-włoskiej. Jedno drugiemu nic nie przeszkadza, bo wobec Włoch broni Anglja tylko swego status quo na Morzu Śródziemnem i Czerwonem oraz w Sudanie, a przyjaźń francuska potrzebna jej jest tylko do podtrzymania swej preponderancji w Lidze Narodów, a więc niejako zwierzchnictwa nad światem, w Lidze reprezentowanym. Te więc względy i wynikająca z nich taktyka nie przeszkadzają konserwatywnej Anglji stawać delikatnie po stronie antybolszewickiego frontu.

Dla nas jednym z dowodów tego jest, że łączą

nas obecnie realniejsze stosunki z Anglją, niż z nazbyt hasełkową Francją, a sojusz z morskim imperjalizmem Anglji, oparty o różne realne i realizujące się interesy handlowo-finansowe, korzystniejszy jest dla nas w tej chwili i naturalniejszy od sztucznej, już tylko sztandarowej sympatji z Francją, z którą realnych interesów na większą skalę robić nam trudno, która wciąż ponad naszemi głowami kokietuje z Rosją, a u siebie toleruje, niemal pielęgnuje komunizm i inne doktryny skrajnie radykalne, nie mówiąc już o podminowującej całą Europę z paryskiego centrum masonerji. Zresztą gospodarczo była nam Francja zawsze niemiłą, narzucając nam typy Boussac'ów i traktując pogardliwie, gorzej, niż swych wypieszczonych murzynów z Senegalu. A tego Polak nikomu nie daruje, mimo wszelkich okrzyków hurrasojuszniczych!

Pisząc to, zastrzegam się stanowczo, że nie kieruję się żadnemi sympatjami, czy orjentacjami z dawniejszych lub nowszych czasów. Nie hołduję i nie hołdowałem nigdy ani germanofilstwu, ani żadnemu innemu filstwu, gdyż każde „filstwo“, jako bezkrytyczne wnoszenie uczuć do polityki, uważam za wielką słabość charakteru, za niewolnicze poddawanie się cudzym wpływom. A że — jak wiadomo— Nasza Przyszłość żadnym wpływom nie podlega i nikomu kłaniać się, ani słuchać jego nakazów czy podszeptów na szczęście nie potrzebuje, ale traktuje wszelkie problemy z suwerennym, niekiedy wprost brutalnym objektywizmem, który przecież jej ideologiczną podstawę stanowi, dlatego też ograniczam się tu do stwierdzenia faktów i to tak, jak się one od pewnego czasu zarysowują, nie uprzedzając dalszej ich ewolucji .

Bardzo być może, że to chwilowa tylko konjunktura wytwarza obecny front antybolszewicki, bo że

probolszewicki, czy prorosyjski oddawna istnieje, jak go wyżej skreśliłem, to rzecz pewna. Złe moce szukają zawsze jakiegoś politycznego i państwowego oparcia. Komunizm znalazł je w Rosji i stworzył sobie polityczne jaczejki w państwach o ustroju naiwnie demokratycznym, hołdujących nadmiernie zasadzie „swobody przekonań“, czyli w praktyce anarchji wichrzenia. We Francji znalazł ostoję ludowładczy, krótkowzroczny, a skrajnie egoistyczny radykalizm społeczny — który nazwałbym radykalizmem bez końca. A Czesi, w sztucznem swem położeniu we własnem państwie — dosłownie, jak mysz na pudle — balansują między jednym a drugim, najbardziej zaś ugrzęźli pod rządami masonerji.

Rzecz oczywista, że nauczeni dotkliwem doświadczeniem dziejów, nie będziemy pracować pour le roi de Prusse. Nie pójdziemy na lep niemieckiego wilka, przybranego w hitlerowską, owczą skórę. Śmiałby się on sam z polskiej naiwności. Nie będziemy wogóle nikomu się wysługiwać, ani komukolwiek, nawet największym przyjaciołom, kasztanów z pieca wyciągać. Minęły czasy politycznego romantyzmu, kiedyto Sobieski pomagał za darmo Niemcom aż pod Wiedniem i dostał na podziękę — kopniaka! Dlatego też dziś musimy wszelkie kontakty czy sojusze traktować trzeźwo, z kupieckim ołówkiem w ręku, a z bronią u nogi. Wiadomo bowiem, że w razie niepowodzenia więcej stracić można na przyjaciołach, niż na wrogach. Mówi o tem wyraźnie znane polskie przysłowie.

Ale w danej sytuacji musimy objektywnie zdać sobie sprawę, gdzie tkwi narazie nasz wróg największy, najniebezpieczniejszy zarówno politycznie, jak i moralnie, co w ostatecznej konsekwencji na jedno wychodzi? Tkwi on niewątpliwie w doktrynie Marksa i jej wszystkich społeczno polityczy

nych przyczepkach i konsekwencjach. Bo cały ten demokratyczno-marksowski „kompleks zła“, podlany masońskim sosem, dąży wyraźnie do osłabienia Polski, zgangrenowania jej i w rezultacie wytarcia z mapy Europy. Polska, katolicka i wogóle ideowa, jest wielce niewygodna wszystkim prądom i mocom, które w owym kompleksie są skupione. A częściowo podlane jest to wszystko inną jeszcze trucizną, bardzo zdradziecką: ideologją słowiańską.

Ideologja ta, to nic innego, jak przeniesienie teorji językowych na arenę polityczną i poddawanie różnych narodów i państw najpierw pod hegemonję czeską, a w ostatecznym rezultacie pod dyrektywę Moskwy. Wszystkie bowiem slawistyczne drogi prowadzą — słusznie czy niesłusznie — do Kremla. Żeby niewiedzieć jak kto chciał abstrakcyjnie, uczuciowo lub naukowo słowianizm traktować, zabrnie wkońcu, nieuchronnym fatalizmem rzeczy, przed bramy białokamiennej matuszki Moskwy. Cała polska literatura, ideologja i polityka ostatnich stu lat stwierdza to bezapelacyjnie. Nawet najwięksi przeciwnicy rosyjskiego ducha, białego czy czerwonego, skoro tylko pociągnąć dadzą się naiwnie nutą słowiańską, wpaść muszą z natury rzeczy do tego największego słowiańsko-mongolskiego rezerwoaru, jakim jest Rosja.

A to właśnie wpadanie do tego rezerwoaru eurazjatyckiej bezkultury jest największem dla Polaków i dla Polski niebezpieczeństwem, zwłaszcza od czasu, gdy rezerwoar ten, niemal bezdenny, napełnił się ideologją komunistyczną. Bo brutalność niemiecka, ilekroć się manifestowała, działała na nas odpychająco. Bismark nie miał w Polsce zwolenników. Natomiast wschodnia przepaść rosyjska swym narkotyzującym słowiańskim wyziewem działała (i działa bodajże i dziś jeszcze) dziwnie pociągająco

na romantycznego Polaka — jak każda zawrotna przepaść! Bądź co bądź Niemcy — to wysoka kultura, bez której owoców nikt na świecie obejść się nie może, gdy tymczasem Rosja — to gangrena pod każdym względem, która, oprócz złotego rubla przedwojennego o wątpliwej pedagogicznej wartości, same tylko ujemne pierwiastki w duszę polską tchnęła. I dlatego świat rosyjski stokroć niebezpieczniejszy jest dla nas od germańskiego. Niemcy to w najgorszym razie Scylla, która poszczególne straty może nam zadać, ale Rosja to Charybda, która nas, moralnie psując i osłabiając, wkońcu całkowicie może pochłonąć!

A awangardą Rosji jest i była zawsze rzewna, na uczuciach grająca, a w życiu politycznem i narodowem wogóle zupełnie bezproduktywna idea słowiańska. Chytrze w ciągu XIX-go wieku podsadzona pod upadające wówczas lub w niewoli cierpiące narody (Polaków, Czechów, Serbów i Bułgarów, wkońcu i Słowaków), obiecywała im wyzwolenie pod berłem „Białego Cara". W dawnej Polsce, dopóki silną była, o żadnej słowiańszczyźnie się nie śniło. Panowały raczej reminiscencje gockie, wandalskie i sarmackie, jak również specyficznie polańskie, czy chrobackie, a podświadomie i normańskie — co wszystko razem stopiło się wreszcie w pojęcie polskości, zaprawionej latynizmem i humanizmem, nadając tej polskości charakter, całkiem odmiennny od reszty słowiańszczyzny.

Doiero z chwilą upadku Polski, który przypada mniejwięcej na okres budzenia się do nowego życia pomniejszych słowiańskich narodów po długich epokach jarzma niemieckiego lub tureckiego, przychodzi ze wschodu romantyczna idea słowiańszczyzny i szybko się zaszczepia. Karmi ją i sens polityczny jej nadaje rozpaczliwa walka wyzwoleńcza

narodów zachodnio-słowiańskich. Wkońcu, w miarę narodowego odradzania się Czech, utrwala sobie idea wszechsłowiańska zachodnią swą ekspozyturę w Pradze, która — w opozycji do Austrji i Niemców wogóle — przyjmuje na siebie rolę poprostu moskiewskiej awangardy.

Zabawnie nieraz przejawia się działanie tej słowiańskości. Widzimy, przeważnie z Pragi aranżowane lub przynajmniej inicjowane, naukowe zjazdy słowiańskie, jakgdyby nauka dała dzielić się według ras. Co więcej, widzimy takie przedstawienia, jak zjazdy „słowiańskich pocztowców" czy kolejowców! Tu już naciągany absurd święci wprost błazeńskie tryumfy. A najsmutniejsze w tem wszystkiem jest to, że potężna już dzisiaj Polska mocarstwowa idzie, przynajmniej częściowo, na lep tych imprez fantastycznej słowiańszczyzny, jakgdyby ta słowiańszczyzna — oprócz gramatyki i folkloru — była czemśkolwiek realnem i dla konkretnych interesów istniejącego już dzisiaj państwa polskiego pożytecznem!

W gruncie rzeczy zaś cała ta zabawa, pozornie naiwna, ma u nas jednak niestety głębsze korzenie. Jest mianowicie bezpośrednim wynikiem wielkiej przemiany umysłów, jaka dokonała się w znacznej części polskiego społeczeństwa wszystkich trzech zaborów około 1905 r. Ówczesna narodowa demokracja, zwątpiwszy o wszelkich innych możliwych drogach pracy i polityki narodowej, opowiedziała się oportunistycznie (bodaj czy nie ze względu przedewszystkiem na mandaty wyborcze do Dumy?) po stronie rosyjskiego kolosa.

Był to akt bezkrytycznej rozpaczy, zasadniczego zwątpienia w sprawę narodową, które dziś jeszcze niecałkiem zatarło się w umysłach starszej generacji endeckiej. Po dziś dzień żyje ona jeszcze

w „kompleksie lęku“ przed potęgą Eurazji, choć nieraz może i sprawy z tego sobie nie zdaje. Uważa Polskę podświadomie za państwo sezonowe. I stąd te jej sympatje świadomie prosłowiańskie, proczeskie, a podświadomie kryje się w nich jakiś dziwny pociąg do Rosji, który napróżno zagłusza się nazewnątrz piorunowaniem na bolszewizm z jednej, a na niebezpieczeństwo niemieckie z drugiej strony.

Tem tłómaczy się u nas, spotykana często nawet i w naukowych sferach, zaciekłość — wprost zaciekłość! — uparta, bezkrytyczna, z jaką słowianofilizm, a zwłaszcza czechofilizm, jest wyznawany. Spotykamy się z objawami wprost fanatyzmu słowiańskiego, z którym żadna objektywna dyskusja nie jest możliwa. Zdawałoby się, jakgdyby Czesi, Słowacy, Serbowie, Słoweńcy, Bułgarzy i bodajże nawet Łużyczanie mieli ruszyć z nami na bój, który gdzieś, kiedyś „świat słowiański“ ma wydać „germańskiemu światu“. Naiwniejszej idei świat jeszcze nie stworzył! Nawet bolszewizacja Rosji i jaskrawe objawy odwiecznej wrogości Czechów względem Polski, jakich doznajemy choćby od siedemnastu lat ostatnich, wszędzie, na każdym kroku, a zwłaszcza w najkrytyczniejszych dla nas momentach, nie zdołały tego słowiańskiego szału ostudzić.

Ostatecznie, rzecz sama w sobie, byłaby nieszkodliwą, choć zupełnie jałową zabawką dla pewnej grupki zacietrzewionych, a niepraktycznych uczonych i dla pewnych sfer podstarzałych wątpicieli w trwałość państwa polskiego. Ale niebezpieczną jest ta zabawa dla tego, że

1) oddalamy się przez to od zachodniej kultury, przekreślamy cywilizowaną mocarstwowość państwa, a poniżamy się do roli drobnego prymitywizmu słowiańskiego, narażając się tem na śmieszność wo-

bec całego świata, który słusznie potem adresuje listy: Varsovie — Russie,

2) drogą przez „słowiańszczyznę“ infiltrują się do nas ze wschodu pojęcia bolszewickie oraz nielepsze od nich fatalistyczno-mongolskie, a od zachodu masońskie. Słowiańskowość, będąca dzisiaj, praktycznie biorąc, pustym frazesem, bez żadnej realnej treści, stała się u nas — zbiegiem różnych okoliczności — jednym z najgroźniejszych rozsadników „obcych agentur“, które dążą do zawładnięcia Polską i zasłania swym fanatycznym zwolennikom zupełnie wszelki zdrowy, objektywny pogląd na wskazane realnymi stosunkami w Europie naturalne drogi naszej orjentacji w kwestjach zagranicznych. Biada Polsce, gdyby tacy slawizujący monomani mieli kiedykolwiek dostać w swe ręce wpływ na rządy i losy państwa!

Tak więc, przy głębszej analizie rzeczy, dojść musimy do przekonania, że kardynalnym warunkiem w naszych polskich, specyficznych stosunkach opancerzenia się i uodpornienia przeciw bolszewizmowi i innym ideom gangreny i wywrotu jest, między innymi, kategoryczne otrząśnięcie się ze zdradliwej słowianofilskiej narkozy. Nie znaczy to bynajmniej, że trzeba stać się germanofilem. Wcale nie. Chodzi tylko o to, aby zerwać ze słowiańskim romantyzmem i stać się sobą — Polakiem XX-go wieku w niepodległem państwie. I myśleć logicznie, objektywnemi, praktycznemi przesłankami. Nic więcej!

Otóż to właśnie praktyczne rozumowanie wykazuje nam w chwili obecnej, że w Budapeszcie z jednej, a w Berlinie (dziwną ironją dziejów!) z drugiej strony stwarza nam się pewne oparcie przeciw wschodniemu barbarzyństwu. I nietylko przeciw niemu, ale i przeciw zdradliwym „braciom słowiań-

skim“, którzy, prowokując nas bezczelnie, czychają tylko na okazję wbicia nam noża w plecy, gdyby to tylko bezkarnie mogli uczynić, jak swego czasu z połową Śląska Cieszyńskiego. A zarazem ów zarysowujący się prąd Budapeszt — Warszawa — Berlin, przedłużony do Londynu w jednym, a przez Wiedeń do Rzymu w drugim kierunku, gdzie wszędzie dziś panują lub przynajmniej przeważają tendencje „prawicowe“, a w każdym razie nietolerujące bolszewizmu, jest dla Polski nareszcie zapoczątkowaną realizacją skutecznej antybolszewickiej organizacji, popartej potężną siłą zbrojną. To już całkiem co innego, niż dotychczasowe nasze poczciwe, ale słabiutkie krajowe zrzeszenia walki z komunizmem, które na gruncie słomianego ognia polskiego nic złego nigdy bolszewizmowi na serjo nie zrobiły! I nie mogły zrobić, gdyż paralizowała je podwójna doktryna, rozpowszechniona w polskiem społeczeństwie: braterstwo słowiańskie z Moskalami i Czechami, a więc głównymi propagatorami resp. protektorami bolszewizmu, oraz idea demokratyczna, która mimowoli nie dopuszcza do zdecydowanych posunięć w walce z marksizmem, jako bądź co bądź ideą „demokratyczną“‘.

Skuteczna walka z komunistyczną zarazą stała się możliwą dopiero w tych państwach, które w sposób kategoryczny, integralny niszczą u siebie nietylko sam bolszewizm, ale i to wszystko, co ekspansji marksowskiej doktryny dopomaga. Węgry zatrzymały ustrój monarchiczny wraz z całą tradycją i ceremoniałem z czasów królewskich. Austrja ogniem huraganowym armat zgniotła w Wiedniu i w innych miejscach twierdze socjalizmu, zaprowadzając chrześcijański ustrój korporacyjny w pewnej formie. No, a jak Niemcy i Włosi z bolszewizmem i innemi międzynarodowemi organizacjami zepsucia

i wywrotu się załatwili, o tem chyba pisać nie potrzeba. Anglja zaś, po szeregu lat neutralności wobec eksperymentu bolszewickiego, traktując go tylko z punktu widzenia możliwości handlowych interesów z Rosją, sparzyła się na nich tak dalece, że wydaje się w dostatecznym stopniu antykomunistycznie opancerzoną.

Przeciwnie niestety Francja, gdzie w imię wolności i swobody demokratycznej komunizm poczynił w ostatnich zwłaszcza latach zastraszające postępy i gdzie ambasador Sowietów rządzi potajemnie tak niemal, jak ongiś Repnin w Polsce — oraz Czechosłowacja, z której zaraza bolszewicka rządami pana Titulescu już i do Rumunji penetruje. W tym świecie prawdziwego oparcia w walce z duchem rozkładu z natury rzeczy mieć nie możemy. Bo choćby tu i tam znalazł się jakiś mąż stanu, nam życzliwy i trzeźwiejszem okiem zdolny sytuację oceniać, to cóż on pomoże wobec przemożnych, zwłaszcza we Francji, potęg złego: bezmyślnego radykalizmu społecznego, socjalizmu, komunizmu, masonerji i wspomagającej to wszystko — bezpośrednio, czy pośrednio — międzynarodowej, bezwyznaniowej i w gruncie rzeczy apatrjotycznej finansjery, której jedynem bożyszczem jest złoty cielec, realizowany wszędzie bez skrupułu, za jakąbądź cenę!

Dlatego winniśmy narazie stanąć we froncie z Niemcami, naturalnie tak długo tylko, dopóki to możliwem i realnie korzystnem dla nas się okaże. A równocześnie powinniśmy silnie trzymać się z Węgrami ze względu na wyraźną identyczność wspólnych interesów i starać się o wzmacnianie naszej pozycji w Anglji. To jest nakazem chwili, wolnym od wszelkich romantycznych a szkodliwych czułostkowości.

Jest jeszcze inna rzecz w tem wszystkiem. I tu również nie mamy dostatecznych jeszcze podstaw, aby uprzedzać przyszłość i kategoryczne stawiać horoskopy. Z tem jednak zastrzeżeniem, wydaje się, jakoby Niemcy, dusząc się ze swym nadmiarem ludności i olbrzymim przemysłem w stosunkowo szczupłych granicach, pozbawieni bezkrytycznie ko= lonji, a licząc się ostatecznie z niemożnością wyple= nienia Polski z powierzchni ziemi (skoro przez 150 lat nie byli wstanie uczynić tego z jej cząstką), skie= rowali w ostatnim czasie swój naturalny Drang nach Osten przez Bałtyk na Rosję. A więc tym samym szlakiem, którym parę wieków temu dynastje nie= mieckie wraz z rzeszami niemieckich emigrantów, późniejszych dygnitarzy rosyjskich, na faktyczny podbój Rosji ruszyły.

Jeżeli to się sprawdzi, to czy ten kolonizatorski ruch niemiecki nam zaszkodzi? To zależeć będzie całkowicie od stopnia talentu polskiej polityki za= granicznej i to nietylko u rządu, ale i samego społe= czeństwa polskiego. Słychać coś o perspektywach „podziału Rosji na północną strefę wpływów nie= mieckich i na południową wpływów polskich“. Na= razie to oczywiście tylko mgła marzeń, spirytystycz= na zjawa. Ale twierdzą ludzie, że zjawy nieraz się materjalizują.

Nie wiem. Ale, że to historja nigdy w miejscu nie stoi, więc nie zaszkodzi i na taką fantastyczną moż= liwość odpowiednio, zawczasu się przygotować. Wszak żyjemy w epoce niespodzianek. Czyż sama Polska niepodległa nie jest największą, najfanta= styczniejszą niespodzianką?...

Jan Bobrzyński.

DZIEJOWE WSKAZANIA POLSKIEJ I WĘGIERSKIEJ RACJI STANU.

„Wasza sprawa jest naszą, a nasza jest waszą".

Franciszek Smolka do Węgrów.

Jeżeli gdzie, to w stosunkach polsko-węgierskich ma głębokie znaczenie przysłowie: „Historia est magistra vitae". Czego nas uczy ta historja? Uczy nas, że te dwa narody przez blisko tysiąc lat były ze sobą w przyjaznych stosunkach, że prawie nie walczyły ze sobą, chociaż właśnie między sąsiadami największe bywają antagonizmy, największe tarcia i nieporozumienia. Wyjątkiem są pod tym względem stosunki polsko-węgierskie. *Granica polsko-węgierska była najspokojniejsza tak dla Polaków, jak i dla Węgrów.* Polacy walczyli z Niemcami, z Czechami, z Litwinami, z Rosją, z Tatarami, z Mołdawją i z Turcją, ale nie z Węgrami. Węgrzy zaś walczyli z Niemcami, z Czechami, z Tatarami, z Mołdawją, z południowymi Słowianami i z Turcją, ale nie z Polakami. Wspaniały wieniec ciemnolesistych Karpat był świetną granicą naturalną, oddzielającą geograficznie, ale łączącą uczuciowo i politycznie te dwa narody.

Mówiąc o stosunkach polsko-węgierskich, spróbujmy dać odpowiedź przedewszystkiem na pytanie, czy osiedlenie się Węgrów na nizinie pannońskiej było korzystne dla państwa polskiego, czy też niekorzystne? A z drugiej strony, czy tworzenie się

państwa polskiego na północ od Karpat było korzystne dla Węgier, czy też nie?

Otóż możemy stwierdzić, że osiedlenie się Węgrów w dolinie Dunaju i założenie państwa węgierskiego było wielce korzystne dla państwa polskiego.

Dlaczego?

Wiadomo, że w IX wieku istniało państwo wielkomorawskie, które dążyło do tego, aby coraz dalej iść na wschód i zająć ziemie między Dunajem a Karpatami, co też udało się mu do pewnego stopnia. Ale to państwo dążyło oprócz tego i do zajęcia ziemi Wiślan, t. j. Małopolski z Krakowem, która to ziemia nie należała wtedy jeszcze do Polski.

Gdyby państwo wielkomorawskie było się dłużej utrzymało, to ziemia Wiślan zostałaby do niego przyłączona, a nie do Polski, która dopiero później zorganizowała się i później doszła do Karpat, niż państwo wielkomorawskie.

Czesi chcieli sięgnąć po kraj Wiślan, ale oprócz stanu wewnętrznego, nie pozwalało im na to położenie geograficzne.

„Aby sięgnąć po Kraków — pisze Podkański w swojej świetnej pracy „Kraków przed Piastami“ [1]) — trzeba było mieć Morawy lub Słowaczyznę, a w obu tych krajach świeżo właśnie rozsiedli się Węgrzy. Drżały przed nimi podówczas całe Niemcy i nie mogły powstrzymać ich pustoszących zagonów, tem więcej Czesi z nimi walczyć nie mogli, ani nawet myśleli. Odciętym był więc od nich kraj Wiślan zupełnie.“. Węgrzy zamknęli więc Czechom drogę do Krakowa, który już był przez pewien czas w ich rękach.

---

[1]) Karol Podkański. Kraków przed Piastami. Rozprawy Wydz. histor. filozof. T. XXXV, str. 201.

Osiedlenie się więc Węgrów na nizinie Dunaju i rozcięcie przez nich tworzącego się państwa wielkomorawskiego umożliwiło Polakom zajęcie Krakowa i rozszerzenie ich państwa aż do Karpat.

Ale osiedlenie się Węgrów na nizinie pannońskiej uniemożliwiło również pochód Niemców na wschód; Węgrzy więc dzięki temu, że zahamowali pochód Czechów i Niemców na wschód, stali się czynnikiem równowagi w Europie środkowej i umożliwili Polakom oparcie się o ścianę karpacką.

A więc założenie państwa węgierskiego w dolinie Dunaju było korzystnem dla Polski.

Zobaczmy teraz, czy założenie państwa polskiego na północ od Karpat było korzystnem dla Węgier, czy też nie?

Stanowczo korzystnem. Dlaczego?

Dla tego, bo gdyby udało się było Czechom pozostać nazawsze na ziemi Wiślan, to jest w Krakowie, byłoby to dla Węgier niezmiernie niebezpiecznem, gdyż byliby Czesi okrążyli Węgrów z północy i stale byliby grozili im nietylko od zachodu, lecz także i od północy.

Gdyby zaś Polacy nie byli zajęli ziemi krakowskiej i gdyby także i Czechom nie było się udało pozostać na tej ziemi, to prawdopodobnie Niemcy byłyby zajęły ją aż do Karpat, lub też może ze wschodu byliby posuwali się Rusini, a później Rosjanie. Tak niemieckie, jak i rosyjskie panowanie na północ od Karpat byłoby w największym stopniu niebezpiecznem dla Węgier.

Z tego powodu *dojście Polaków do Karpat i założenie państwa polskiego było dla Węgier nader korzystnem.*

Szybko spostrzegły wspólne interesy tych dwóch narodów dynastje ich — Piastowie i Arpadowie — i zawarły tak ścisłe i liczne związki rodzinne, jakich

wprost nie widać gdzieindziej w historji, a wiadomo, że w wiekach średnich małżeństwa między dynastjami miały znaczenia sojuszów politycznych. Związki te trwały począwszy od pierwszych monarchów chrześcijańskich obu dynastji, aż do ostatniego z rodu Arpadów, Andrzeja III. Żoną pierwszego Arpada chrześcijańskiego, księcia Gézy, była Adelajda, córka Ziemomysła, księcia polskiego, Bolesław Chrobry zaś pojął za żonę córkę księcia Gézy. Ale i Św. Emeryk, syn Św. Stefana, pierwszego króla węgierskiego, był ożeniony z Piastówną, córką Mieszka II. Było to małżeństwo czysto polityczne, bo Św. Stefan spostrzegł niebezpieczeństwo, zagrażające ze strony cesarza Konrada i celem zażegnania go zaczął się rozglądać za przymierzeńcem. Najodpowiedniejszym był Mieszko II, nietylko dla tego, że obaj byli krewnymi, ale również i z tej przyczyny, że oba kraje musiały obawiać się napadu cesarza Konrada. Św. Stefan więc namówił syna swego, aby ożenił się z córką Mieszka II.

Stosunki polsko-węgierskie XI-go wieku jaskrawo potwierdzają wspólność interesów tych dwóch narodów. Wspólne niebezpieczeństwo groziło im ze strony Niemców i Czechów, którzy szli ręka w rękę z Niemcami. Polska i Węgry niejednokrotnie musiały się wspólnie bronić przeciw ich napadom.

Druga połowa XI-go wieku, to ścisła współpraca polsko-węgierska przeciw Niemcom i Czechom. Interesy polskie i węgierskie snotkały się tu i dlatego Bolesław Śmiały popierał książąt węgierskich Belę, Gezę i Władysława przeciw królom Andrzejowi i Salomonowi, popieranych przez Henryka IV. Pomoc Śmiałego nie dopuściła do tego, aby Węgry dostały się pod hegemonję niemiecką.

Tadeusz Wojciechowski, jeden z najlepszych znawców tych czasów, jest zdania, że między Bo-

lesławem Śmiałym a Św. Władysławem, królem węgierskim, musiał być jakiś układ na wypadek, gdyby Niemcy i Czesi napadli na jednego z nich. Podobny układ został zawarty także i w r. 1108 między Bolesławem Krzywoustym i Kolomanem, królem węgierskim, bo bezwątpienia była to „*zasada strategiczna wszelkiego przymierza polsko-węgierskiego odpornego, bo wynikała z natury rzeczy, to jest z danych geograficznych*“, jak to Wojciechowski mówi.[1])

To przymierze, zawarte w r. 1108, miało już skutek w najbliższych czasach, bo kiedy Henryk V. najeżdża Węgry, Bolesław Krzywousty w myśl tego układu napada na Czechy i w ten sposób zmusza cesarza do odstąpienia od murów Pozsony (Preszburga), gdzie znajdował się Koloman.

Ale i ze strony węgierskiej spotykamy się z pomocą, daną Polsce, bo kiedy Wratysław czeski zajął Kraków, Św. Władysław, król węgierski, w r. 1086 odbił Kraków, wypędził stamtąd Czechów i wprowadził na tron Mieszka, który potem jednak niebawem umarł.

Te dobre stosunki polsko-węgierskie pogorszyły się nieco z końcem XII w., ponieważ Béla III, król węgierski, zajął Halicz, a z tem zaczyna się współzawodnictwo między Węgrami i Polską o przewagę na ziemi halickiej. Lecz tak Węgrzy, jak i Polacy wkrótce spostrzegli, że ta walka szkodzi im i dlatego w r. 1193 Béla III i Kazimierz Sprawiedliwy pogodzili się i zawarli pokój — jak Kadłubek mówi — w duchu Św. Stefana króla i Św. Wojciecha, patrona Polski, „aby niewzruszona przyjaźń trwała między oboma królestwami, aby przeciw wspólnemu obydwóch

---

[1]) Tadeusz Wojciechowski. Szkice historyczne jedenastego wieku. Kraków, 1904. str. 277.

nieprzyjacielowi wojowali, aby wspólne korzyści z pomyślnych odnosili wypadków, a w niepomyślnych wspólnie sobie udzielali pomocy.“ [1])

Charakterystycznem jest, że bezimienny pisarz z XIV w., cytując te słowa Kadłubka, dodał następujące zdanie: „Strzeżcie się, Panowie Węgrzy i nawzajem Panowie Polacy, wszelkiego nadwyrężenia, wszelkiego pogwałcenia sojuszu, uczynionego wedle postanowień patronów świętych obojga królestw i szanowanego przez długie czasy, abyście nie ściągnęli na się kaźni Boga i pomienionych świętych Jego, a nieszczęścia na swojaków“.[2])

Widać z tego cytatu, jak głęboko żyło to przekonanie, że te dwa narody muszą w dobrych ze sobą żyć stosunkach i nawzajem się popierać.

Z podobnem przekonaniem spotykamy się i w *kronice węgiersko-polskiej*, która opisuje przyjęcie poselstwa polskiego, wysłanego do papieża przez Mieszka I z prośbą o koronę dla niego. Kronika wkłada następujące słowa w usta papieża, mówiącego do biskupa Lamberta: „Ne ergo inter avunculum et nepotem, inter exercitum Polonorum et Hungarorum invidiae et odii fomes oriretur, et Dominus Deus in causa est, statuimus et confirmamus excommunicationi et indignationi Sanctorum Apo-

---

[1]) „Regis quoque Pannoniorum foedera, idem, qui eadem dissolvisse arguebatur, palatii princeps Nicolaus, cum saepe memorato Cracoviensium praesule Fulcone ad perfectum redintegrant, iuxta sanctorum instituta, regis videlicet beati Stephani et sanctissimi Patroni Adalberti: communiter debere coli utriusque regni amicitias; communiter alterutrius hostilitates insectari; communes fore prosperitatum successus et indifferentes necessitatum succursus." Magistri Vincentii episcopi cracoviensis chronica Polonorum. Monumenta Poloniae Historica, t. II, str. 420 — 421.

[2]) „Caveant ergo domini Hungari et similiter domini Poloni dictam pacem juxta instituta sanctorum patronum utriusque regni factam, et per multa tempora observatam infringere aut quovis modo violare, ne indignationem Dei et sanctorum dictorum incurrant, desolationemque suorum faciant." Ks. Adam Naruszewicz, Historya Narodu Polskiego. Kraków, 1860. Tom III, str. 72.

stolorum Petri et Pauli subdimus eos, qui primo insurrexerint sive Poloni in Hungaros, sive Hungari in Polonos, donec in devotione Ecclesiae et fide pura Christiana perstiterint.“ [1])

Widzimy więc, że i tu nakazuje się Polakom i Węgrom, aby żyli ze sobą zgodnie i grozi ekskomunikacją, gdyby jedni przeciw drugim wystąpili. Jest w tem odzwierciedlenie opinji polskiej i węgierskiej tych czasów.

Na początku XIII w. panował na Węgrzech jeden z najgorszych królów węgierskich, Andrzej II, który wiele szkody wyrządził Węgrom. Jego ulubionym planem było zajęcie Halicza i przyłączenie do Węgier, co jednak kosztowało dużo krwi węgierskiej i pieniędzy, nie przyniosło żadnych dla Węgier korzyści, a tylko zepsuło chwilowo stosunki z Polską. Ale wnet następuje zgoda, bo tak Węgrzy, jak i Polacy widzą, że nie warto prowadzić wojny o Halicz i w r. 1214 dochodzi do układu w Spiszu między Andrzejem i Leszkiem Białym, na podstawie którego Koloman, królewicz węgierski, zaślubił Salomeę, córkę Leszka, a potem osadzono ich w Haliczu.

Za czasów mądrego panowania Béli IV, króla węgierskiego, stosunki węgiersko-polskie niezmiernie się wzmocniły, czego dowodem było poślubienie Kunegundy, córki króla Béli, przez Bolesława Wstydliwego w r. 1239, jak również ślub Bolesława Pobożnego z Jolantą, siostrą Kunegundy. I teraz

---

[1]) Chronica Ungarorum iuncta et mixta cum chronicis Polonorum et vita Sancti Stephani. Monumenta Poloniae Historica, t. I, str. 503—504: „Aby między wujem a siostrzeńcem, między wojskiem Polaków a Węgrów nie powstała zawiść i żądza nienawiści i skoro Pan Bóg jest w tej sprawie, stanowimy i potwierdzamy, że rzucimy klątwę i gniew świętych Apostołów Piotra i Pawła na tych, którzy pierwsi na drugich powstaną, czy Polacy na Węgrów, czy Węgrzy na Polaków, dopóki trwają w poszanowaniu Kościoła i w czystej wierze chrześcijańskiej."

znowu spotykamy współdziałanie polsko-węgierskie, gdyż obaj Bolesławowie wspierają Bélę IV w wojnie z Ottokarem II czeskim, a mianowicie w latach 1253 i 1256, a potem syna jego, Sefana V, w r. 1271. Czują oni, że coraz więcej rosnąca potęga Czech jest niebezpieczną także i dla Polski.

Za tę pomoc odwdzięczają się Węgrzy w r. 1285, kiedy w Małopolsce wybuchł bunt przeciw Leszkowi Czarnemu, który zwrócił się o pomoc do Władysława IV, króla węgierskiego. Władysław wysłał na pomoc Leszkowi zastęp rycerstwa węgierskiego pod wodzą Jerzego z rodu Baksa, z którego pomocą Leszek pokonał przeciwników w bitwie pod Bogucicami. Że zaś na Węgrzech dobrze oceniano znaczenie Polski, tego najlepszym dowodem dokument króla Władysława IV, w którym pisze, że *Polskę tak wysoko ceni, jak własny kraj* („ipsum regnum Poloniae quod sicut regnum nostrum proprium reputamus".) [1])

Ale nietylko na zachód, przeciw Niemcom i Czechom, bronią się te dwa narody, lecz także i *przeciw napadom ze wschodu.*

W tym samym roku, kiedy Węgrzy pomagali Leszkowi zgnieść bunt, wtargnęli do Węgier Tatarzy i Rusini, ale Polacy uderzyli na Ruś dla odciążenia Węgier.

Pobici Tatarzy i Rusini, chcąc zemścić się, napadli w r. 1287 na Polskę. Leszek, nie mogąc stawić im oporu, zwrócił się o posiłki do Węgier, skąd zjawił się znowu Jerzy z rodu Baksa i rozbił jeden oddział Tatarów. Jak widzimy więc, wzajemna pomoc tych dwóch narodów była dla nich bardzo korzystną.

---

[1]) Fejer, Codex Diplomaticus Hungariae, V, 3, str. 393, 409.

Na schyłku XIII w. panował na Węgrzech Andrzej III, ostatni z rodu Arpadów. Kiedy na dworze węgierskim zastanawiano się, skąd mógłby brać żonę ostatni potomek Arpada, przekonano się, że ze wszystkich sąsiednych państw jedynie Polskę można brać pod uwagę i wybrano dla niego Fenennę, córkę Ziemomysła kujawskiego. Jest to pięknym symbolem polsko-węgierskiej przyjaźni, że ostatni z narodowej dynastji węgierskiej ożenił się z Piastówną.

Wiek XIV jest złotym wiekiem stosunków polsko-węgierskich. Współpraca polsko-węgierska ciągnie się dalej. Łokietek zwraca się do Węgier o pomoc przeciw Wacławowi II czeskiemu, który opanował Polskę. I rzeczywiście wojska węgierskie biorą udział w zdobyciu tronu dla Łokietka.

W r. 1308 wstąpiła na tron węgierski dynastja Andegawenów w osobie Karola Roberta. Dynastja ta, pochodzenia francusko-włoskiego, była genjalną pod względem politycznym. Nietylko kontynuowała orjentację polską ostatnich Arpadów, lecz w większem jeszcze stopniu ją wzmocniła. Tak Karol Robert, jak i Łokietek czują wielkie korzyści zbliżenia się ich państw, bo nie było w ich interesie, aby powstało wielkie mocarstwo Luksemburgów czeskich. Zbliżenie to objawiło się małżeństwem Karola Roberta z Elżbietą Łokietkówną w r. 1320.

I znowu spotykamy się z węgierską pomocą w Polsce, bo do stłumienia buntu wójta Alberta dopomogły Łokietkowi także i posiłki węgierskie. A podczas pierwszej wojny Polski z Krzyżakami (1326 — 1333), gdy Kazimierz udaje się do Węgier o pomoc przeciw Krzyżakom, Węgrzy wydatnie jej Łokietkowi udzielili, widząc zwłaszcza, że Jan czeski popierał Krzyżaków, a ekspanzja czeska była niebezpieczną dla Węgier.

Ale Węgrzy popierali Polskę i na wschodzie, kiedy w r. 1324 Tatarzy chcieli zająć Ruś Czerwoną, co byłoby dla Polski groźnem niebezpieczeństwem. Zwrócił się więc Łokietek o pomoc do Węgrów i wszystko przemawia za tem, że pomoc tę otrzymał.[1])

Kiedy w r. 1327 Jan czeski chciał urządzić wyprawę na Kraków i wznowić pretensje Przemyślidów do Krakowa, Łokietek zwrócił się o pomoc do Karola Roberta, który tak energicznie protestował przeciw temu, że król czeski cofnął się.[2])

Widzimy więc, że Władysław Łokietek opiera się o Węgry przez całe swe panowanie i dzięki temu przetrzymał bardzo ciężkie czasy i wzmocnił położenie polityczne Polski.

Syn jego, Kazimierz Wielki, kontynuuje jego orjentację węgierską i jeszcze wzmacnia ją tem, że toruje drogę do tronu polskiego Ludwikowi Wielkiemu — wnukowi Łokietka — co później doprowadzi do unji personalnej między Polską i Węgrami.

Polska była w tym czasie w o wiele gorszem położeniu, niż Węgry, które dzięki energicznej polityce Andegawenów zaczęły odgrywać rolę europejską. Polska miała groźnych wrogów w osobie Jana czeskiego i Krzyżaków. Przymierze czesko-krzyżackie było bardzo niebezpieczne dla Polski, która obejmowała w chwili śmierci Łokietka tylko Małopolskę i Wielkopolskę.

Jedynem państwem, które mogło pomagać Polsce w jej trudnem położeniu, były Węgry. Podstawą kombinacji politycznych polsko-węgierskich była w tych czasach dążność do rozbicia sojuszu czesko-krzyżackiego.

---

[1]) Dr. Jan Dąbrowski. Z czasów Łokietka. Kraków, 1916, str. 45.
[2]) Opus cit. 47.

Ale nietylko w tym kierunku idzie współpraca polsko-węgierska, bo Węgrzy pomagają Polsce także i *przeciw Litwinom,* którzy pustoszą ziemie polskie. Ludwik Wielki z węgierskimi oddziałami bierze udział w wyprawie Kazimierza Wielkiego na Ruś i Litwę w latach 1351 i 1352.

Jeden z najlepszych znawców XIV wieku, profesor Dr. Jan Dąbrowski, tak pisze o polityce węgierskiej Kazimierza Wielkiego: „Musimy przyznać, że związek polsko-węgierski, pod którego znakiem prowadzono tę politykę, przyniósł i jednej i drugiej stronie poważne zyski. Korzystała jednak przedewszystkiem Polska. Węgry stają się wówczas z silnego państwa pierwszorzędnem mocarstwem europejskiem." A dalej tak pisze o Polsce: „Niewielka, zniszczona wojnami, niepewna może bytu wśród otaczających ją nieprzyjaciół, rozrasta się terytorjalnie, podnosi ekonomicznie, zyskuje poważne miejsce w gronie państw europejskich, umożliwiające jej wejście na drogę wszechstronnego rozwoju. Kongres wyszehradzki z r. 1355, na którym Kazimierz i Karol Robert mieli za zadanie wydobyć Polskę z trudnego położenia i zjazd krakowski z r. 1364, stwierdzający powagę polityczną króla polskiego, to widoczne znaki postępów, jakie państwo polskie poczyniło w ciągu lat 30 dzięki polityce Kazimierza, opartej o związek z Węgrami". [1])

Ścisłe stosunki polsko-węgierskie doprowadzą do tego, że po śmierci Kazimierza Wielkiego Ludwik zostanie królem polskim i z tem powstanie unja personalna między Polską a Węgrami. Te dwa królestwa tworzą teraz *potężny blok między Bałtykiem, Adryatykiem i Morzem Czarnem.* Po śmierci Lud-

---

[1]) Jan Dąbrowski. Ostatnie lata Ludwika Wielkiego. Kraków, 1918, str. 169 — 170.

wika wstępuje na tron polski córka jego, Jadwiga, najszlachetniejsza postać w dziejach Polski. My, Węgrzy, dumni jesteśmy z tego, że właśnie my daliśmy ją narodowi polskiemu.

Mówiąc o stosunkach polsko-węgierskich w XIV wieku, nie wolno nam przemilczeć jednej kwestji, która wywołała pewne tarcie między temi państwami. Była to kwestja Rusi Czerwonej, która była najpierw w polskiem, a potem, od roku 1350, w węgierskiem posiadaniu, aż do roku 1387, kiedy Władysław Jagiełło zajął tę ziemię i przyłączył do Polski. Było to krzywdzącem dla Węgier, ale dowodem politycznej mądrości Węgrów było to, że mimo tego nie próbowano odebrać zpowrotem Rusi Czerwonej, lecz pogodzono się z utratą tej prowincji i nie roszczono pretensji z tego powodu. Historja wykazała bowiem, że wszystkie zdobycze Węgier po za Karpatami nie dały się utrzymać i wcześniej, czy później odpadły od Węgier. Geograficzne położenie Rusi Czerwonej było takie, że łączyła się ona z Polską i z tego powodu jest zupełnie zrozumiałem, iż Polska rości sobie prawo do tej ziemi.

Stosunki polsko-węgierskie w początku XV w. oziębiły się z tego powodu, że po wygaśnięciu Andegawenów na tronie węgierskim zasiadł Zygmunt Luksemburski, który w r. 1410 został cesarzem niemieckim i jako taki popierał Zakon niemiecki wbrew intencjom panów węgierskich. Linja polityki polsko-węgierskiej, nakreślona przez Arpadów, Andegawenów i ostatnich Piastów, uległa wykrzywieniu za jego panowania. Z powodu jego polityki Węgry dużo straciły z dawnego znaczenia mocarstwowego.

Ale tak Zygmunt, jak i Władysław Jagiełło przekonali się niebawem, że naprężone stosunki są

niekorzystne tak dla jednego, jak i dla drugiego i zawarli w r. 1412 między sobą nietylko pokój, ale i przymierze przeciw każdemu nieprzyjacielowi.

O ile ta umowa była korzystna dla dobrych stosunków polsko-węgierskich, to tem niekorzystniejsza była umowa, w tym samym roku zawarta, według której Zygmunt pożyczył od Jagiełły 37.000 kóp groszy, zastawiając mu za to 16 miast spiskich. Te miasta, rozrzucone na ziemi spiskiej, tworzyły bolesną ranę dla Węgier, bo mimo usilnych dążeń ze strony węgierskiej, nie udało się ich wykupić i powróciły do Węgier dopiero w r. 1770.

Ale w tym czasie coraz więcej rośnie już *niebezpieczeństwo tureckie*, przeciw któremu trzeba się bronić. To niebezpieczeństwo zbliża znowu Polskę i Węgry, które po śmierci Albrechta Habsburga powołują na tron Władysława III; jego kandydaturę na tron węgierski popierał także i Zbigniew Oleśnicki biskup krakowski, najwybitniejszy polityk polski XV wieku, który uważał, że już teraz trzeba popierać Węgry przeciw Turkom, a nie czekać, aż ci ujarzmią Węgry i staną na granicy polskiej. W r. 1440 przyjął więc Władysław III koronę węgierską i przyrzekł deputacji węgierskiej bronić Węgry z pomocą Polski przeciw Turkom, wzamian za co Węgry miały wspomagać Polskę przeciw Tatarom. Doszło więc do *unji personalnej* i do *ścisłego przymierza polsko-węgierskiego* przeciw Turkom i Tatarom.

Bohaterska śmierć Władysława Warneńczyka pod Warną była symbolem wspólnych walk przeciw Turkom i wspólnej misji historycznej: bronienia cywilizacji zachodniej przeciw napadom wschodu.

Niestety, plany Oleśnickiego nie zostały przeprowadzone, bo Kazimierz Jagiellończyk, zamiast popierać Węgry przeciw Turkom i zapobiedz niebezpieczeństwu tureckiemu, prowadził czysto dyna-

styczną politykę, chcąc dla dynastji swojej zdobyć Czechy i Węgry. Doprowadziło to do walki z Maciejem, królem węgierskim, do klęski pod Wrocławiem i klęski królewicza Kazimierza na Węgrzech. Ujemne skutki błędnej polityki Kazimierza Jagiellończyka wykazał nam bardzo przekonywująco profesor Dąbrowski. [1])

Po śmierci króla Macieja w r. 1490 stany węgierskie wybrały na króla węgierskiego Władysława Jagiellończyka, a nie Maksymiljana Habsburga, który rościł sobie prawo do korony węgierskiej. Znowu widzimy dążenie ze strony węgierskiej do współpracy z Polską w nadziei, że z polską pomocą będzie można odeprzeć niebezpieczeństwo tureckie. Nie chciano Maksymiljana w obawie wpływów niemieckich. Niestety, słaby i niedołężny Władysław nie potrafił prowadzić nawy państwa węgierskiego i Węgry zbliżały się do katastrofy.

O ile Piastowie mieli głębokie zrozumienie dla wspólnych interesów polsko - węgierskich, nie można tego powiedzieć o Jagiellonach. Polityka Kazimierza Jagiellończyka osłabiła Węgry wobec niebezpieczeństwa tureckiego i przyczyniła się do zajęcia Węgier przez Turków, a w każdym razie przyśpieszyła to. Młodziutki Ludwik II Jagiellończyk tragiczną śmiercią swoją w bitwie pod Mohaczem musiał przypłacić polityczny błąd swego dziada.

Drugi błąd, popełniony przez Jagiellonów wobec Węgier, to był *zjazd wiedeński* w r. 1515, gdzie Władysław II i Zygmunt Stary spotkali się z Maksymiljanem I i ułożyli tam związki małżeńskie między nieletnim królewiczem Ludwikiem (synem Władysława) a wnuczką cesarską, Marją, tudzież między Ferdynandem, wnukiem cesarza i Anną, córką Włady-

---

[1]) Jan Dąbrowski. Dzieje Polski Średniowiecznej, tom II. Kraków, 1926, str. 417.

sława. W ten sposób zapewniono w razie bezpotomnej śmierci Ludwika sukcesję Habsburgom na tronie czeskim i węgierskim. Michał Bobrzyński, jeden z najznakomitszych historyków polskich, słusznie potępia bardzo ostro ten układ i pisze, że „Zygmunt dziedzictwo jagiellońskie sprzedał za miskę soczewicy“. [1])

W następstwie tego traktatu po śmierci Ludwika II-go Jagiellończyka, udało się Ferdynandowi Habsburgowi w r. 1526 objąć tron i od tego czasu panowali Habsburgowie na tronie węgierskim. Więc polityka Jagiellonów wprowadziła na tron węgierski Habsburgów. Węgry zostały rozdarte między Turków i Habsburgów, a tylko Siedmiogród pozostał do pewnego stopnia samodzielnem księstwem węgierskiem. Węgry więc przestały być samodzielnem państwem, nie miały własnej polityki zagranicznej, a Polska straciła na południu to państwo, które tyle razy przyszło jej z pomocą. Gdyby nie rozdarto Węgier, które potem przez półtora wieku były pod tureckiem panowaniem, prawdopodobnie nie byłoby przyszło do rozbioru Polski.

Po objęciu tronu węgierskiego przez Fernynanda, wielka część narodu węgierskiego nie mogła pogodzić się z tem, że Niemiec siedzi na tronie węgierskim i wybrała narodowego króla w osobie Jana Zapolyi, który chciał opierać się o Polskę i dla wzmocnienia tych stosunków poślubił córkę Zygmunta Starego, Izabellę. Widzimy więc znowu dążenie ze strony węgierskiej, aby współdziałać z Polską.

Elekcja Stefana Batorego na króla polskiego była dowodem zaufania narodu polskiego do tego wy-

---

[1]) Michał Bobrzyński, Dzieje Polski w zarysie. Wydanie czwarte, tom II, str. 28.

bitnego Węgra, była zwycięstwem partji antyhabs=burskiej. Ten wielki król miał wielkie plany. Widząc coraz więcej rosnące niebezpieczeństwo moskiew=kie, grożące Polsce, chce je złamać i dlatego prowa=dzi wyprawy przeciw Iwanowi Groźnemu. W tych wyprawach bierze udział kilka tysięcy Węgrów i wie=lu z nich padło bohaterską śmiercią pod murami Połocka, Wielkich Łuk i Pskowa. I tu walczą razem Węgrzy z Polakami na mroźnych polach dalekiej północy, tak, jak ongiś walczyli razem pod gorącem niebem Warny. Spełnili oni swoją wspólną misję hi=storyczną, bronili bowiem zachodniej kultury przed inwazją ze wschodu.

Symbolem tego braterstwa broni polsko=węgier=skiego była dzielna rodzina Bekieszów, pochodząca z Siedmiogrodu, z której to rodziny wszyscy wal=czyli za Polskę: Kasper Bekiesz pod Gdańskiem i pod Płockiem, brat jego, Gabrjel, padł bohaterską śmiercią pod Pskowem, a Władysław, syn Kaspra, walczy za Polskę w Szwecji, pod Byczyną przeciw Maksymiljanowi i bierze udział w wojnie z wojewo=dą wołoskim Michałem.

Już w tych czasach spostrzegli nasi przodkowie te podobieństwa charakterów i usposobień, które bardzo ułatwiły zbliżenia i porozumiewania się na=szych narodów. Bardzo charakterystyczną jest pod tym względem mowa posłów Stefana Batorego na sejmie elekcyjnym 13=go listopada 1575 roku. Radzą oni wybierać Batorego, bo *dużo podobieństw jest między narodami węgierskim i polskim, co ułatwia porozumienie.* Wskazują oni na podobne zwyczaje, na podobne ustawodawstwo, na podobny sposób życia, na sąsiedztwo, na wieczną przyjaźń i na łat=wość dania pomocy. Argumentowali oni następują=co: „Ceterum, qua de re tota promptius judicare re=gni ordines possent, duo argumenta, ab regnorum

conjunctione et personae qualitate sumpta, obiter addemus. Prima est regnorum Hungariae et Poloniae conformitas, quae firmiorem reddet amicitiam, mores utruisque gentis, leges habitusque ferme similes, arma vero, militaris disciplina, religio, libertas et vivendi ratio plane communia; vetus praeterea societas, regnorumque utriusque facta vicissitudo, perpetua concordia et suppetiarum ferendarum facilitas; quae omnia animos vehementer conciliare et regna stabilire solent." [1])

Podobieństwo charakteru Polaków i Węgrów spostrzegł także wybitny jezuita węgierski, Stefan Szántó (Arator), który radził, aby zamiast „Collegium Germanico-Hungaricum" dla kleryków niemieckich i węgierskich w Rzymie, założono kolegjum węgiersko-polskie, gdyż usposobienie i sposób myślenia Węgrów są o wiele podobniejsze do polskiego, jak do niemieckiego. Szántó skłonił Stefana Batorego, aby interwenjował w tej sprawie u papieża Grzegorza XIII. Batory w r. 1583, wysyłając synowca swego, Andrzeja Batorego, kanonika warmijskiego i prepozyta Bożogrobców w Miechowie, do Rzymu, polecił mu, między innemi, prosić papieża także i o to. [2])

Stefan Batory chciał wpierw wzmocnić Polskę, a potem z mocną Polską uwolnić Węgry z pod panowania tureckiego i niemieckiego. Niestety, przedwczesna śmierć przeszkodziła mu przeprowadzić jego wielkie plany. Ale w każdym razie udało mu sie na pewien czas odepchnąć niebezpieczeństwo mo-

---

[1]) Dr. Szadeczky Lajos, Bathory István lengyel királlyá választása. Budapest, 1887, str. 317.

[2]) Dr. Joseph Kolberg, Beiträge zur Geschichte des Kardinals und Bischofs von Ermland Andreas Bathory. Braunsberg 1910, str. 11. Andrzej Batory interwenjował w tej sprawie także i u papieża Sykstusa V, ale tak samo bezskutecznie, jak i u Grzegorza XIII.

skiewskie, co zawdzięczać można było unji personal-
nej polsko - siedmiogrodzkiej.

Wiek XVII, to nieustanna walka narodu wę-
gierskiego z jednej strony przeciw polityce germa-
nizacyjnej i centralistycznej Habsburgów, z drugiej
strony zaś przeciw potędze tureckiej. Książęta
siedmiogrodcy, jak Stefan Bocskay, Gabrjel Beth-
len, Jerzy Rákóczy I i II, jak również Emeryk Tökö-
ly i Franciszek II Rákóczy, nieustannie walczą prze-
ciw Habsburgom i wielu z nich dąży do tego, aby
zostać — wzorem Batorego — królem polskim i z
orężną pomocą Polski wyswobodzić Węgry z pod
panowania niemieckiego i tureckiego. Bardzo cha-
rakterystycznym jest pod tym względem list Stefa-
na Illésházy'ego do księcia siedmiogrodzkiego Bocs-
kay'a, w którym pisze, że według informacji, chcą
go (t. j. Bocskay'a) Polacy wybrać na króla, co by-
łoby bardzo korzystnem, bo wówczas mogłyby się
połączyć Węgry z Polską, a wtedy nie potrzebują
się bać ani Niemca, ani Turka.

Ale i ze strony polskiej byli tacy, którzy uwa-
żali, że unja z Siedmiogrodem byłaby korzystna dla
Polski. Charakterystycznem jest pod tym względem
to, co powiedział Jeremi Wiśniowiecki, kiedy po
śmierci Władysława IV mówiono także i o ewentu-
alnej kandydaturze Jerzega I Rákóczego. Według
niego, gdyby nie stała na przeszkodzie religja, ponie-
waż Rákóczy nie jest katolikiem, odpowiedniejsze-
go króla nie możnaby znaleść w tych burzliwych cza-
sach. Z zalet jego wymienia, między innemi, to, że
jest najbliższym sąsiadem, który zawsze był życzli-
wy wobec Polski i dobrze zna zwyczaje i prawa Po-
laków. Prawa siedmiogrodzkie nie bardzo różnią się
od polskich. Wogóle ani jeden monarcha nie może
tak prędko przyjść z pomocą Polsce, jak on. „Zresz-
tą — mówi dalej — niema ludu, niema narodu, któ-

ryby pod względem obyczajów i natury tak podobny był do Polaków, jak Węgrzy; mają te same zbroje, podobny jest ich szyk bojowy, sposób życia, przed kilku laty nawet ubiory nasze takie były, jak teraz Węgrów. Słowem, do żadnego narodu nie jesteśmy tak podobni, jak do Węgrów, z którymi zresztą mieliśmy tyle stosunków; a jak nasi przodkowie nie popełnili błędu, kiedy ofiarowali koronę naszego państwa Stefanowi Batoremu, pochodzącemu tak samo z Siedmiogrodu, ponieważ bardzo szczęśliwie i chwalebnie panował, tak samo i teraz możemy mieć takie nadzieje względem Rákóczego, gdyby jego wyznanie nie było przeszkodą." [1])

Dążenie do unji personalnej polsko-siedmiogrodzkiej było zrozumiałe, ale nie było dopuszczalne to, co popełnił Jerzy II Rákóczy, który razem z Karolem Gustawem chciał podzielić Polskę. Było to z punktu widzenia węgierskiego zbrodnią i słusznie spotkała go za to kara Boska, bo, jak wiemy, został pobity i wyprawa jego skończyła się haniebnym odwrotem.

W stosunkach polsko-węgierskich XVII wieku rok 1683 jest jedną z najważniejszych dat, ponieważ w tym roku pobił Sobieski pod Wiedniem Turków i brał udział w bitwie pod Parkanami na Węgrzech, co było początkiem wypędzenia Turków z Węgier. Sobieski spełnił tu wielką misję historyczną w obronie chrześcijaństwa i kultury zachodniej, a wdzięczni Węgrzy wystawili mu pomnik w Esztergomie.

Na początku XVIII w. wybuchło powstanie Franciszka II Rákóczego, ostatniego księcia siedmio-

---

[1]) Sam. Grondski, Historia belli Cosacco-Polonici. Vacii, 1799, str. 314. Dr. Lukinich Imre, I. Rákoczy György és a lengyel királyság. Budapest, 1907, str. 57.

grodzkiego, przeciw Habsburgom. Rákóczy z pomocą francuską i polską chciał oswobodzić Węgry, ale Ludwik XIV opuścił go, a August II, któremu ofiarował koronę węgierską, nie chciał — jako Niemiec — wystąpić przeciwko Habsburgom. Powstanie Franciszka Rákóczego zostało zgniecione, a naród węgierski, wycieńczony dwuwiekową walką przeciw Turkom i Niemcom, musiał pogodzić się z dynastją i uległ w zupełności wpływom Wiednia. Węgry nie miały odtąd żadnego głosu w sprawach zagranicznych.

Na ten okres wypadają właśnie rozbiory Polski, kiedy Węgry osłabione, zmęczone i pozbawione samodzielności, nie mogły temu przeszkodzić. Na Węgrzech w tym czasie nie było żadnego życia konstytucyjnego, Wiedeń rozkazywał we wszystkiem. Teraz dopiero okazały się smutne skutki błędnej polityki Jagiellonów wobec Węgier.

Po rozbiorach tak samo żyła myśl na Węgrzech o potrzebie wspólnego popierania się z Polską.

Podczas powstania listopadowego Węgrzy wykazali swoje gorące sympatje wobec narodu polskiego, ale konkretnej pomocy nie mogli dać, ponieważ polityka zagraniczna była zupełnie w rękach Wiednia, a Metternich zrobił wszystko, aby przytłumić manifestacje węgierskie dla Polaków. Mimo tego komitaty (żupaństwa) węgierskie na swoich sejmikach domagały się, aby król węgierski interwenjował na rzecz Polaków. Więcej niż trzydzieści komitatów wypowiedziało się za sprawą polską, za inicjatywą komitatu Bars. [1]). Wtedy to wypowiedział gorącą mowę na sejmiku komitatu Zemplén w interesie Polaków Ludwik Kossuth, jeden z największych mę-

---

[1]) Obszerniej: Dr. Adrjan Divéky, Węgrzy a Polacy w XIX stuleciu, Warszawa 1919.

żów stanu Węgier. Była to jego pierwsza mowa w świetnej jego karjerze politycznej.[1]) Później zaś Franiciszek Kölcsey, poeta i wybitny pisarz, autor hymnu węgierskiego, oraz Franciszek Deak, wielki patrjota i polityk, „mędrzec ojczyzny“, wypowiedzieli także gorące mowy w sprawie Polaków.

Ale i ze strony polskiej ujawniło się głębokie zrozumienie dla spraw węgierskiej i dla wspólnych interesów polsko-węgierskich. Ofiarny udział w powstaniu węgierskiem w latach 1848 — 49 takich ludzi, jak generałowie Dembiński, Bem, Wysocki, Bułharyn i wielu innych Polaków, jest wymownym tego dowodem. Walczyli oni za niepodległość Węgier, bo *byli przekonani, że sprawa polska tylko wtedy może zwyciężyć, jeżeli Węgry będą państwem niepodległem i mocnem.* Pozostaną oni na zawsze we wdzięcznej pamięci narodu węgierskiego, a ubóstwiany jenerał Bem pozostanie na wieczne czasy u ludu węgierskiego jako „ojczulek Bem“.

Powstanie węgierskie zostało zgniecione, bo Austrja, po zwycięskim pochodzie wojsk węgierskich z wiosną 1849 r., zwraca się do kolosa rosyjskiego, a największa potęga słowiańska spieszy z pomocą niemieckiej Austrji w obawie, że *niepodległość Węgier będzie korzystną także i dla Polaków.*

Oprócz Polaków wojskowych, trzeba wymienić i ks. Adama Czartoryskiego, który chce pogodzić Węgrów z południowymi Słowianami.

W czasie powstania węgierskiego w r. 1849 zjawiły się na łamach paryskiego organu demokracji polskiej „*Demokrata Polski*“ świetne artykuły p. t. „*Polska a Węgry*“, w których autor z wielką erudy-

---

[1]) Bela Kossanyi. Mowa Ludwika Kossutha, wygłoszona w sprawie polskiej na zebraniu w komitacie Zemplen dn. 23 czerwca 1831 roku. Kraków 1932. Odbitka z „Przeglądu Współczesnego" nr. 125.

cją i zdumiewającą trafnością charakteryzuje stosunki polsko-węgierskie, tak, że z wyjątkiem kilku uwag moglibyśmy i dzisiaj je podpisać.

Artykuły te nie są podpisane, ale według Bolesława Limanowskiego autorem ich był *Stanisław Worcell*, wybitny przedstawiciel emigracji polskiej i redaktor „Demokraty Polskiego", który w stałym kontakcie był z emigracją węgierską, a w pięćdziesiątych latach razem z Kossuthem brał udział w politycznych wiecach w Anglji. [1]).

Zapatrywania i spostrzeżenia jego są tak trafne i pouczające, że warto z nich przytoczyć najcharakterystyczniejsze.

Artykuły zaczynają się tem, że „góral polski i węgierski wierzy dziś, jak wierzono przed wieki, że Św. Wojciech i Św. Stefan postanowili, pod karą Bożej klątwy, wodny dział Beskidu granicą obu narodów; że ktoby znieważył tę granicę, ktoby naruszył poczciwe sąsiadowanie i mir wiekuisty — biada mu na tym i tamtym świecie!".

Potem wskazuje na to, że „ilekroć postąpiono wbrew odwiecznej polsko - węgierskiej politycznej wierze, zawsze kara, bliska lub daleka, zapędzała czyn występny lub zwichnięty, nigdy nie puszczając go płazem". Potem przytacza kilka takich wypadków z historji, jak np., że Bolesław Krzywousty wprowadzał Borysa na tron węgierski wbrew narodowej woli i został pobity, Kazimierz Jagiellończyk chciał Węgrom narzucić syna, który ledwo uchodzi z pogromu. „Rakoczy czyhał na rozbiór Polski — wnet Czarnecki kreśli mu kordem w Międzybożu warunki haniebnej kapitulacji".

„A ta polityczna obopólna wiara — pisze dalej —

---

[1]) Bolesław Limanowski, Stanisław Worcell. Kraków, 1910 str. 241. Artykuły te ukazały się w następujących numerach „Demokraty Polskiego": 23 czerwca, 14 lipca i 28 lipca.

przeżywszy tysiącletnie prawie koleje klęsk i pomyślności, zmiany pokoleń, interesów i rządów, utratę nawet samodzielnego bytu, stała się, że tak powiem, narodowym instynktem Polaków i Węgrów".

Potem wykazuje z historji, ile razy pomagali sobie nawzajem Polacy i Węgrzy i ile razy walczyli razem. „Ta krew obu Ludów — mówi—tylekroć społem przelewana, to orężne kumostwo w złej i dobrej doli, wiodło je do społecznego braterstwa i politycznego zjednoczenia".

Prześliczne są jego słowa o wspólnych losach Polski i Węgier: „Nie próżna więc, ani przypadkowa sympatja, ale dzieje ośmiu wieków wiążą Węgrów i Polaków; wiążą ich pamięć spólnych klęsk i zwycięstw, ogólnej potęgi i spólnego, choć niejednoczesnego poniżenia; wiąże ich długa spółka w europejskiej missyi. Oba te narody będą miały zawsze spólnych przyjaciół i wrogów; bo to wypływa z ich usposobień moralnych i geograficznnej przestrzeni. Razem one wzrastały, razem kwitły, razem więdły, przeto znów razem odrodzą się i zazielenią, bujniej, niż kiedykolwiek".

„Węgry a Polska, to dwa wiekuiste dęby, każdy z nich wystrzelił pniem osobnym i odrębnym; ale ich korzenie, szeroko rozłożone pod powierzchnią ziemi, splątały się i zrastały niewidomie. Stąd byt i czerstwość jednego jest drugiemu warunkiem życia i zdrowia. Stąd, po pięciuset latach, przestroga bezimiennego autora, tak prawdziwa, trafna i świeża." [1]).

W innem zaś miejscu spotykamy następujące myśli: „W polityce narodów wszystko wiąże się nawzajem. Byt jednego bywa drugiemu warunkiem

---

[1]) Odnosi się do cytatu: „Caveant ergo domini Hungari etc.".

i rękojmą istnienia. Solidarność ta widoczna jest w dziejach Polski i Węgier".

„Polska i Węgry mają w Karpatach wspólną geograficzną podstawę. Zasada, lub dążność, jaka, zwyciężywszy po jednym stoku Karpat, dopóty nie zabezpieczy się, ani ustali, póki nie zwycięży i po drugim. Obie te narodowości powołane są do jednakowego posłannictwa i solidarnie pełnić je powinny. Żywotność jednej zależna od żywotności drugiej. Rozbiór Polski nie byłby może nastąpił obok niepodległych Węgier — ani ujarzmienie Węgrów obok swobodnej i rządnej Polski. Pomyślność lub niedola jednej z tych dwóch narodowości jest i będzie zawsze wspólną pomyślnością i niedolą".

„Polska w początkach rozrostu swego, parta gwałtownie od wschodu i zachodu, czy sprostałaby jednoczesnemu z dwu stron ciśnieniu, nie mając pleców szerokich i bezpiecznych? Sojusz ten węgierski był owemi plecami, a zarazem główną osią polityki Bolesława Chrobrego".[1])

Widzimy z tych cytat, jak głęboko przekonany był autor tych artykułów o wspólnocie interesów obu narodów.

Przekonanie o wspólności interesów polsko-węgierskich tkwiło także w umyśle jednego z najszlachetniejszych polityków polskich, *Franciszka Smolki*, który w roku 1861 wypowiedział wielką mowę w obronie konstytucji węgierskiej. Wtedy to pisał on do Węgrów: „*Wasza sprawa jest naszą — nasza waszą*".[2])

Kiedy wybuchło powstanie styczniowe, znowu ujawniają się sympatje Węgrów do Polaków na podstawie wspólnych interesów. Ludwik Kossuth na

---

[1]) Demokrata Polski z dnia 5-go maja 1849.
[2]) Divéky, Opus cit. 113.

emigracji poruszył wszystko, aby Europa zajmowała się sprawą polską, chciał, aby sprawa polska stała się kwestją europejską. Kossuth rzetelnie chciał pomagać Polakom i dlatego ofiarował Rządowi Narodowemu 20.000 sztuk broni, która schowana była na granicy Mołdawji u księcia Cuzy dla powstania węgierskiego. Broń ta pochodziła od Napoleona III, który na początku wojny włoskiej w r. 1859 kazał sprowadzić ją dla ewentualnego powstania węgierskiego.

Oprócz tego Kossuth chciał *zorganizować legjon węgierski*, któryby walczył w szeregach polskich pod sztandarem węgierskim.

Kossuth radził Rządowi Narodowemu, aby rozszerzał walkę na Galicję, bo jeżeli ograniczy się tylko do terytorjum, należącego do Rosji, to Europa będzie to uważać za wyłącznie wewnętrzną sprawę Rosji i nie będzie się do niej mieszać. Według niego, Austrja symuluje sympatje wobec powstania polskiego tylko dlatego, aby nie rozszerzyło się na Galicję, bo w tym wypadku i Włochy i Węgrzy rozpoczęłyby akcję, a wówczas Europa musiałaby zająć się sprawą polską i węgierską. [1])

Kossuth, chcąc pomagać powstańcom, wystosował płomienną odezwę do żołnierzy węgierskich, konsystujących w garnizonach galicyjskich, wzywając ich, aby nie przeszkadzali powstńcom polskim, lecz przeciwnie, pomagali im we wszelki możliwy sposób.

W powstaniu styczniowem spora liczba Węgrów brała udział i walczyła za sprawę polską.

Podobnie, jak Deák i Kossuth, popierał Polaków *hr. Juljusz Andrássy* (starszy), który w r. 1867 został premjerem węgierskim. Kiedy w r. 1869 Polacy

---

[1]) Obszerniej: Divéky. Opus cit. 115 — 127.

w Galicji nie mogli przeprowadzić w Wiedniu przyjęcia t. zw. rezolucji galicyjskiej. to jest wprowadzenia języka polskiego do szkół, administracji i sądownictwa, Florjan Ziemiałkowski, późniejszy minister, wiedząc, jak wielki wpływ wywiera Andrássy na Franciszka Józefa, pojechał do Pesztu i przedstawił Andrássy'emu sprawę. Ten przyrzekł mu to i rzeczywiście udało mu się nakłonić monarchę, aby żądania Polaków akceptował. [1]) Przeprowadzenie tego prawa zawdzięczają więc Polacy Andrássy'emu, który skłonił Franciszka Józefa, aby wdrożył kurs polonofilski.

Wkrótce potem, dn. 3-go maja 1870 r., wygłosił *ks. Władysław Czartoryski* w Paryżu, w Polskiem Towarzystwie Historyczno - Literackiem, mowę, która wywarła na Węgrzech wielkie wrażenie i zadowolenie, ponieważ stanowczo odrzucił politykę słowianofilską i wypowiedział się za Węgrami. Powiedział między innemi: „Uważamy za punkt główny jedność i całość królestwa św. Szczepana. Jest to dla nas fakt dokonany, nieodwołalny i poza obrębem wszelkiej dyskusji." A dalej: „Węgry są dla nas kamieniem węgielnym gmachu przyszłości, są naszym punktem oparcia, naszym sprzymierzeńcem w dobrej i złej doli. *Niemożebnem jest dla nas solidaryzować się z Czechami.*" [2])

Głębokie sympatje Węgrów do narodu polskiego uwidoczniły się i podczas *wojny światowej*, kiedy sprawa polska stała się aktualną.

Zaraz na początku wojny, jak tylko zorganizowano Legjony Polskie, Baron Albert Nyáry, prezes Towarzystwa Węgiersko - Polskiego w Budapeszcie, zwrócił się do rządu węgierskiego o pozwolenie

---

[1]) Pamiętniki Florjana Ziemiałkowskiego. Kraków, 1904, str. 38—39.
[2]) Stanisław Koźmian. Podróże i polityka. Kraków, 1905, str. 74.

formowania legjonu węgierskiego, któryby był pod komendą dowódzcy Legjonów Polskich. Rząd węgierski przychylnie się ustosunkował do tego ruchu, ale wiedeńskie władze wojskowe nie pozwoliły na to. Możliwe zresztą, że Berlin zaprotestował przeciw temu. Kwestja ta nie została jeszcze wyjaśniona. Węgrzy z formowaniem takiego legjonu chcieli się odwdzięczyć za Legjon Polski w powstaniu węgierskiem. Niestety, mimo najlepszych chęci, nie udało się to i ci, którzy zgłosili się już do tego legjonu, wstąpili do Legjonów Polskich. [1])

Drugim objawem sympatji Węgrów dla sprawy polskiej była *akcja komitatów (żupaństw) węgierskich* podczas wojny, na wzór akcji komitatów podczas powstania listopadowego. Za inicjatywą Towarzystwa Węgiersko-Polskiego w Budapeszcie w r. 1915 trzydzieści sejmików komitatowych żądało życzliwego rozwiązania sprawy polskiej. [2])

Następnie wymienić trzeba *działalność hr. Juljusza Andrássy'ego* (młodszego), który odczytami, artykułami i pięknemi mowami w parlamencie węgierskim walczył energicznie o sprawę polską i żądał niepodległości dla Polaków. Rola, jaką odegrał Andrássy w sprawie polskiej, miała ten skutek, że nie mógł zostać ministrem spraw zagranicznych, ponieważ ze strony Berlina sprzeciwiono się temu. [3])

Sprawą polską zajmowano się i w *parlamencie węgierskim* bardzo żywo. W ciągu trzech lat poruszono ją 25 razy. Wszystkie stronnictwa interesowały się tą kwestją, z wyjątkiem socjalistów. Prze-

---

[1]) Obszerniej: Adrjan Divéky, Co chcieli zrobić i co zrobili Węgrzy dla Polski w okresie wojny, Warszawa, 1934. Odbitka z „Naszej Przyszłości", str. 4 — 8.

[2]) Opus cit. i Dr. Jan Dąbrowski, Sprawa polska na Węgrzech. Piotrków, 1917.

[3]) Divéky, opus cit. 14 — 20 i Sprawa polska w parlamencie węgierskim 1915 — 1918. Warszawa, 1920.

mawiali za Polską najwybitniejsi parlamentarzyści, jak hr. Apponyi, hr. Andrássy, hr. Batthyány i inni. [1])

Mowy, wygłoszone w parlamencie węgierskim w sprawie polskiej, są dowodem, że naród węgierski przez swą reprezentację parlamentarną tak gorąco zajmuje się losami bratniego narodu polskiego, że ma głębokie zrozumienie dla interesów Polski, ma odwagę wypowiedzieć swoje przekonanie nawet w trudnych okolicznościach, kiedy trzeba było liczyć się z potężnym sprzymierzeńcem.

Widać z tych mów, że życzeniem Węgrów było, aby powstała samodzielna, wolna, silna Polska.

Parlament węgierski był jedynym w Europie, z którego trybuny rozlegały się w sprawie polskiej głosy szczere, życzliwe, odważne, broniące interesów narodowych Polski, a przytem serdeczne i pełne sentymentu.

Dowodem zrozumienia wspólności interesów Polski i Węgier było stanowisko Węgier wobec *sprawy chełmskiej i projektu wyodrębnienia Galicji Wschodniej* po traktacie brzeskim. Straszna niesprawiedliwość, popełniona na narodzie polskim przez traktat brzeski, bardzo niemile dotknęła Węgrów, bo każdy polityk węgierski zaraz zorjentował się, że ten traktat nietylko dla Polski był katastrofalny, ale wielkie niebezpieczeństwo krył w sobie także i dla Węgier ze względu na Ruś węgierską. Z tego powodu rząd węgierski zaraz zaprotestował w Wiedniu przeciw tym postanowieniom traktatu, a równocześnie politycy węgierscy, jak Andrássy, Batthyány i inni, wystąpili przeciw temu układowi. Oprócz tego protestowano przeciw temu w parla-

---

[1]) Divéky, opus cit. 22 — 33 i Sprawa polska w parlamencie węgierskim 1915 — 1918.

mencie węgierskim, a także i prasa węgierska wskazała na niebezpieczeństwo, grożące z agitacji ukraińskiej, a potem z możliwości oderwania od Węgier komitatów pogranicznych o ludności ruskiej. Odnośne artykuły wskazały między innemi i na to, że interesem Węgier jest, aby granica zachodnia Rosji była jak najdalej położona od Węgier. Interesy Polski i Węgier zbiegają się w tym względzie. Trzeba iść po linji polityki starszego Andrássy'ego, który Polskę uważał za wał ochronny przeciw wpływom moskiewszczyzny.

Że energiczny sprzeciw ze strony węgierskiej miał swój skutek, potwierdził to hr. Huyn, namiestnik Galicji, który w pertraktacjach z politykami polskimi zapewniał ich, że o wyodrębieniu Galicji Wschodniej niema mowy, bo *Węgrzy najenergiczniej protestują przeciw temu.* [1])

Wszystkie te starania są niezbitym dowodem, że społeczeństwo węgierskie życzliwie odnosiło się do narodu polskiego i miało zrozumienie dla sprawy polskiej. Najwybitniejszym przedstawicielem kierunku polonofilskiego był *hr. Juljusz Andrássy,* syn wielkiego Andrássy'ego, który w r. 1869 tak wydatnie popierał sprawę polską w Wiedniu. Andrássy był bezprzecznie najwybitniejszym węgierskim mężem stanu pod względem polityki zagranicznej i wielka szkoda, że nie on był ministrem spraw zagranicznych podczas wojny, lecz zajmowali to stanowisko bardzo przeciętni ludzie. Andrássy uważał korzystne rozwiązanie sprawy polskiej za najważniejszą kwestję dla Węgier, gdyż był przekonany, że jeżeli Polacy odzyskają wolność i samodzielność, to będą podporą Węgier przeciw Rosji i przyczynią się do równowagi systemu europejskiego. Andrássy

---

[1]) Divéky, Opus cit. 33 — 40.

był za tryalizmem polsko-węgiersko-austrjackim, bo pragnął, aby Węgry mogły współpracować z Polską. Uważał, że Polacy będą trzymać z Węgrami i nie obawiał się tego, że Polska będzie szła z Austrją przeciw Węgrom. Andrássy był też dla tego za tryalizmem, gdyż obawiał się rozwiązania niemiecko-polskiego i chciał przyciągnąć Polskę do Austrji i Węgier. Zresztą Andrássy uważał tryalizm za przejściową formę i był przekonany, że Polska po wzmocnieniu się wystąpi z tryalizmu.

Andrássy do końca życia głosił fanatycznie potrzebę współpracy polsko-węgierskiej i niejednokrotnie powiedział, że sprawa polska jest dla Węgier tak ważna, że nie wolno jej łączyć z żadną inną kwestją.

Zupełnie inne zapatrywanie miał *hr. Stefan Tisza*, premjer węgierski za Franciszka Józefa, jedna z najpotężniejszych postaci przedwojennych Węgier, który jednak pod względem polityki zagranicznej nie dorównał Andrássy'emu. Był on podobny do średniowiecznych rycerzy, do Bayarda — chevalier sans peur et sans reproche — który bezmiernie kochał swoją ojczyznę, dla niej walczył i żył, twardy, nieugięty w swoich przekonaniach, dla którego dualizm austrjacko-węgierski był dogmatem. Był on przeciwny tryalizmowi, bo obawiał się, że w takim razie Węgry stracą ze swych praw i wpływów. Uważał, że już i z Austrją trudno żyć w zgodzie, ciągle trzeba walczyć z nią o prawa Węgier, a coby było jeszcze, gdyby był tryalizm? Dlatego był przeciwny tryalizmowi z Polską. Tisza nie znał dobrze Polaków. Sądził, że Polacy z Galicji będą trzymać z Austrją przeciw Węgrom, ale z drugiej strony przeraziły go też wieści z Warszawy o rusofilskich manifestacjach pewnych kół, o darowaniu złotej szabli generałowi rosyjskiemu i inne zjawiska o cha-

rakterze orjentacji prorosyjskiej, o których był dokładnie poinformowany. Te obawy przyczyniły się do tego, że Tisza nie był za tryalizmem z Polską, nie chciał współpracy z Polską, lecz wolał samodzielną Polskę, nie związaną unją z Austrją i z Węgrami.

Ale nawet ten hr. Tisza, który tak powściągliwy był na początku w sprawie polskiej i który, jako Węgier, powinien był mieć więcej zrozumienia dla tej sprawy, 15-go czerwca 1916 r. w parlamencie węgierskim tak się o niej wyraził: „...sprawa narodu polskiego jest sprawą, budzącą w każdym człowieku, miłującym wolność, jaknajgłębsze sympatje, z podwójną zaś siłą budzi ona te sympatje wśród narodu węgierskiego. Te uczucia w pełnej mierze podziela także rząd węgierski i sądzę, że kwestja polska u wszystkich czynników życia publicznego na Węgrzech znachodzi, że się tak wyrażę, atmosferę kongenialną." [1])

Ale, o ile hr. Tisza nie miał dostatecznego zrozumienia dla sprawy polskiej — i zresztą, jako premjer węgierski, musiał liczyć się z Wiedniem i z Berlinem, który robił ogromne trudności w sprawie polskiej — to tem więcej zrozumienia miał *hr. Teodor Batthyány*, który w parlamencie węgierskim odważnie i gorąco przemawiał w interesie Polski i w mowie, wygłoszonej 11-go grudnia 1916, zarzucał, że nie przyłączono Galicji do Królestwa i domagał się nawet przyłączenia Poznańskiego. [2])

Jego zapatrywania na sprawę polską, nieskrępowane politycznymi względami, odzwierciedlały najlepiej opinję narodu węgierskiego, który instynk-

---

[1]) Sprawa polska w parlamencie węgierskim 1915 — 1918. Str. 46. Za te ciepłe słowa gorąco podziękował mu prezes Koła Polskiego. Opus cit., str. 47.

[2]) Opus cit. str. 76 — 83.

townie czuł, że samodzielna, niezawisła Polska jest dla Węgier niezmiernie ważną i potrzebną, jak to historja wykazała.

Ale niestety, kiedy ze strony węgierskiej tak gorące wygłoszono mowy w parlamencie w interesie Polski, kiedy żądano połączenia ziem polskich, kiedy hr. Andrássy wytężył wszystkie swoje siły w sprawie polskiej, kiedy ze strony węgierskiej tak energicznie pracowano nad obaleniem traktatu brzeskiego i przeciw wyodrębnieniu Galicji Wschodniej, pewna polityczna grupa polska zaczęła pracować przeciw Węgrom, zwłaszcza nad oderwaniem Górnych Węgier (Słowaczyzny) od tysiącletniej wspólnoty z Węgrami i oddaniem tej ziemi Czechom. P. Roman Dmowski otwarcie przyznaje się do tego, że pracował nad rozbiorem Węgier: „...w interesie naszym leżało, żeby Węgry jak najbardziej osłabić, a wzmocnić te narody, na których niezależność od Niemiec można liczyć. Dlatego poparliśmy bez wahania całą siłą program zredukowania Węgier do ich obszaru etnograficznego.“ [1]) Byli więc Polacy, którzy pracowali nad rozbiorem Węgier! A rezultat? Zajęcie Śląska Cieszyńskiego przez Czechów, nieprzepuszczenie wojska węgierskiego, chcącego iść z pomocą armji polskiej w wojnie bolszewickiej i nieprzepuszczenie amunicji węgierskiej wtedy, kiedy los Polski wisiał na włosku! [2])

A co robiły Węgry, nad których „zredukowaniem“ pracował „całą siłą“ p. Dmowski? Chciały pospieszyć z pomocą Polsce i wysłały osiemdziesiąt

---

[1]) Roman Dmowski, Polityka polska i odbudowanie państwa. Warszawa, 1925, str. 248.

[2]) I tu można zacytować słowa Worcella: „...ilekroć postąpiono wbrew odwiecznej polsko-węgierskiej politycznej wierze, zawsze kara, bliska lub daleka, zapędzała czyn występny lub zwichnięty, nigdy nie puszczając go płazem. „Demokrata Polski" z dn. 23 czerwca 1849 r.

wagonów amunicji,[1]) która z powodu wstrzymania jej przez Czechów dopiero w ostatniej chwili przybyła okrężną drogą przed bitwą warszawską. Polska była uratowana!

Węgry zostały wierne tradycyjnej przyjaźni polsko-węgierskiej i wspólnej obu narodom racji stanu.

Słusznie więc pisze L. Villat:

„Qui sait si les malheurs qui faillirent accabler la Pologne en 1920 et par là même toute l'Europe occidentale, du fait de la pression bolchéviste, n'eussent pas été moindres s'il avait existé, entre la Pologne et la Hongie, la frontière commune dont tant de siècles, lourds de l'histoire la plus mouvementée, avaient montré l'avantage? L'avenir se chargera de montrer si la Pologne, dans les frontières actuelles, ne se trouve pas plus menacée que par les dangers qui peuvent surgir de l'Est ou de l'Ouest.“ [1])

Adrjan Divéky.

---

[1]) O węgierskiej pomocy w r. 1920 zob. Louis Villat, Professeur à l'Université de Besançon. Le Rôle de la Hongrie dans la Guerre Polono-Bolchevick de 1920. Édition de la Revue Mondiale. Paris, 1930 i tłumaczenie polskie: Rola Węgier w wojnie polsko-bolszewickiej w roku 1920. Warszawa, 1931.

[2]) Louis Villat, Opus cit. str. 11.

MOJA PODRÓŻ WĘGIERSKA.

Tym razem będą tylko wrażenia. Bezpośrednie impresje z tygodniowego pobytu na Węgrzech. Rozmowy, spotkania z wybitnymi działaczami węgierskimi i słowackimi. A przedewszystkiem — rzut oka na sytuację polityczną Węgier.

Od szeregu miesięcy już działa u nas, w Warszawie, Sekcja węgierska, której mam zaszczyt być sekretarzem. Mieliśmy zebrania, odczyty. Piórem obszernie uzasadniliśmy naszą tezę przewodnią: wspólna granica polsko-węgierska jest nieodzownym warunkiem zabezpieczenia polskiego terytorjum z południa.

Było więc niezmiernie ciekawe przekonać się na miejscu, czy i jak dążą Węgry do tego samego celu, czy i jak pojmują doniosłość zagadnienia, jakie stosują metody dla realizacji tego zagadnienia, a wreszcie — jakie echo nasza działalność budzi za Karpatami?

Czytelnicy znają metodę naszej pracy. Nie szukamy rozgłosu. Nie reklamujemy się, Nie bijemy w bębny w naszych wystąpieniach. Pracujemy poważnie, z myślą o naszej przyszłości i nie eskamotujemy aktualnej polityki dla naszych celów. Więc czegóż można się było spodziewać? Co Węgry mogą wiedzieć o działalności skromnej grupy ludzi, jaką jest „Związek Polskiej Myśli Państwowej“? Tem więcej — skoro w Polsce (wprawdzie na prowincji) znalazło się pismo, które w polemice z nami oznajmiło, że jesteśmy nieznani...

I oto rzeczywistość przeszła nasze najśmielsze oczekiwania. Znają nas na Węgrzech i poważają.

Nietylko słyszeli o nas, ale niema miesiąca, żeby prasa budapeszteńska nie cytowała obszernie naszych artykułów, żeby nie omówiono odczytów, jakie organizujemy, żeby nie wyrażano wdzięczności za naszą akcję, żeby działalność nasza — via Budapeszt — szerokiem echem nie odezwała się na Zachodzie, w Berlinie, Paryżu, Genewie...

Nie bądźmy jednak gołosłowni.

W Hegyeshalom, na granicy austro-węgierskiej, odnosi się pierwsze miłe wrażenia. Uprzejmość żandarmerji i celników niema w sobie nic z tępego biurokratyzmu w innych krajach. Wypełniając swoje obowiązki, do pasażerów nie ustosunkowują się wrogo a priori, jak to bywa w innych krajach. Czemu w każdym przejezdnym koniecznie ma się widzieć przemytnika?!

Czysty, niewielki dworzec, udekorowany koszykami kwiatów. Więc czystość, zamiłowanie do estetyki i owa wspaniała organizacja, której Węgrzy nauczyli się zapewne od Niemców. Wszystko odbywa się sprawnie i szybko. Nic dziwnego, że szybko, skoro od granicy austrjackiej (a jeszcze bardziej od czeskiej) do Budapesztu jest zaledwie około 30 — 50 km. i pociąg idzie tu za pociągiem. Za granicą bez przerwy ciągną się pola kukurydzy, równina biegnie gładko, horyzont jest tak daleki, że prawie niewidoczny. Chciałoby się powiedzieć — jak równina mazowiecka! Tylko, że tu więcej słońca i inna zupełnie roślinność.

I jeszcze o tej granicy. Na mapie dostrzega się to wyraźniej i lepiej. To mianowicie, że stolica węgierska wciąż jest na oku swych sąsiadów. Trzydzieści kilometrów od granicy czeskiej. Co to znaczy? To znaczy, że Budapeszt w razie katastrofy może być ostrzeliwany działami wprost z terytorjum czeskiego. To znaczy, że nawet nie potrzeba

do tego aeroplanów. Gdybyśmy jednak wzięli i tę ewentualnoość, to przyjmując, że samolot rozwija szybkość tylko 300 kilometrów na godzinę, wyniki będą takie, że aeroplany czeskie zasypać mogą Budapeszt bombami w sześć minut do wypowiedzeniu wojny. Czy w tych warunkach mogą spać spokojnie mieszkańcy węgierskiej stolicy?...

No i zaraz za tą granicą jest Budapeszt. Miasto pełne powabu i czaru. Dla tych, którzy je znają, wciąż pozostawia urok niezapomniany. Ci zaś, co znają miasto tylko z fotografji, nadziwić się nie mogą jego malowniczemu położeniu i owym skarbom architektury, które tu ogląda się co kroku. Po jednej stronie Dunaju leży na wzgórzu Buda — stare miasto, stolica Arpadów — ze swą Basztą Rybacką, z majestatycznym pałacem królewskim i z pałacykami przedstawicielstw dyplomatycznych.

Jeszcze dalej i jeszcze wyżej powstała nowa dzielnica — dzielnica willi. Tutaj rezydują magnaci i finansjera budapeszteńska. Stąd zaś do Dunaju wiodą najpiękniejsze pod słońcem mosty — most Królowej Elżbiety, most Franciszka Józefa i inne. Tam zaś, gdzie się kończą, jest Peszt — nowe miasto, tętniące życiem, rozgrzane słońcem, wciąż jakby oszołomione winem i muzyką.

Szczególniejsza rzecz, że w żadnem innem mieście człowiek nie zadomowi się tak prędko, jak właśnie tutaj! Już po jednym, dwuch dniach pobytu można się doskonale w rozkładzie miasta zorjentować, już po tych kilkunastu godzinach pobytu czuje się tu każdy jak u siebie. Są, naturalnie, trudności z językiem, ale na migi także można się porozumieć. Wystarczy jedno słowo „Lengyel" i pokazanie palcem na siebie, żeby policjant na rogu ze skóry wyskoczył. Będzie póty klarował, tłomaczył i wyjaśniał, aż otrzymasz żądaną wskazówkę. Dla Polaków ma-

ją tu wiele sentymentu. Szczerego, bezpośredniego, płynącego z serca, nie narzuconego.

Taki jest Budapeszt i tacy ludzie w nim mieszkają. To brzmi aż zabawnie, co powiem, ale dzięki tej sympatji, jaką nas tu otaczają i łatwości w zawieraniu nowych znajomości, poznałem zupełnie przypadkowo ludzi, których właśnie szukałem w Budapeszcie, do których właśnie cię wybierałem.

Tak więc, przypadkowo, dzięki pośrednictwu przyjaciół, z którymi rozstałem się w Wiedniu, a których znalazłem w pewnej kawiarni budapeszteńskiej, poznaję p. Wiktora Dworczaka, który im towarzyszył przy stoliku. Zawiązuje się rozmowa. Od słowa do słowa... Wiceprezes Rady Słowackiej na emigracji (prezesem jest ks. prof. Jehliczka). Urzęduje p. prezes Dworczak stale w Paryżu, ale częściej jeszcze jest w rozjazdach. Prawa ręka ks. Jehliczki. Czy o nas słyszał? Czy zna „Naszą Przyszłość"? P. Dworczak śmieje się. Nietylko zna, nietylko słyszał, ale stale nasz miesięcznik czyta od deski do deski. Jakżeby się naprzykład nie miał interesować polemiką Jehliczka-Gołąbek?! Więc już dalej rozmawiamy sobie prawie, jak starzy znajomi. O działalności Słowaków na emigracji. O nowej démarche, którą niebawem Rada Słowacka uczyni w Sekretarjacie Ligi Narodów (już w Lidze Narodów zrobiono).

Gorycz bije ze słów prezesa Dworczaka, kiedy mi szeroko mówi o zawiedzionych nadziejach słowackich. Współżycie z Czechami jest dalej nie do pomyślenia... Ileż to im, Słowakom, naobiecywano, jakie różowe perspektywy czynili im Czesi, jaką wspaniałą obiecywali autonomję, ile uroczystych umów spisano wspólnie z Czechami! Nic z tego nie zostało. Czyż więc nie ma racji p. Georges Roux, kiedy w książce p. t. „Réviser les traités?"

pisze: „Je parle du Tchèque, non du Tchécoslovaque, et por cause: le Tchécoslovaque n'existe pas... Les Tchèques sont des Slaves germanisés. Les Slovaques et les Ruthènes des Slaves purs. I n'y a donc pas unité de race. Il n'y a pas davantage unité de langue. Il y a encore moins de communauté d'histoire par cette bonne raison qu'il n'y avait jamais eu de Tchéco-Slovaquie. *C'est une des dernières inventions du Quai d'Orsay. La France a créé la Tchéco-Slovaquie comme Dieu le Père a créé le monde, en le tirant du néent.*" Państwo stworzone z nicości!...

I dalej nieco (str. 85), pisząc o upośledzeniu Słowaków w republice, powiada autor, że z roku na rok rośnie w Czechosłowacji wpływ Niemców sudeckich, których przecież liczebnie mniej jest, niż Słowaków (Czechosłowacja składa się z 38% Czechów, 25% Słowaków, 23% Niemców, 6% Węgrów, reszta to Polacy, Rusini i Żydzi). Ale rola Niemców czeskich w życiu politycznem, kulturalnem i gospodarczem Czechosłowacji jest ogromna. Pewien dyplomata powiedział o nich: „Cette minorité ethnique est une majorité morale". O tyle tylko przesadził, że Niemcy czescy nigdy nie pozwoliliby traktować się jak „mniejszość"... Więc od szeregu lat w rządzie zasiadają ministrowie niemieccy, a nie było dotąd ministra Słowaka. „Sans aller jusqu'à dire qu'il y a une „Tchéco-Germanie" et pas de Tchéco-Slovaquie, on peut ressentir la crainte que la République de Bohème ne redevienne l'Etat germanisant qu'elle fut tout au cours de son histoire, électeur de l'Empire" — kończy p. Roux swoje bystre wywody.

To wszystko rozważamy sobie w rozmowie z p. prezesem Dworczakiem i wiele innych jeszcze spraw nabiera w tej przypadkowej konferencji żywszych rumieńców. Gdyż rozmówca mój znajduje się

w samem centrum tych bolesnych i tragicznych zagadnień.

Prawie w identycznych okolicznościach (czy nie osobliwe, że w tem mieście obcy ludzie spotykają się tak, jak dwuch warszawiaków w „Europie"!) zawarłem znajomość z panem Jerzym de Patay. Magnat węgierski i — jak się okazało — bliski kuzyn byłego posła w Warszawie, pana ministra Matuszki.

Dowiedziawszy się, kim jestem i w jakim celu przybyłem do Budapesztu, pan de Patay uśmiecha się uprzejmie i powiada: „Ma pan szczęście, gdyż za jednym zamachem może pan spotkać najwybitniejszych Węgrów — razem". Wyjaśnił mi, że gotów jest niezwłocznie wprowadzić mnie do ekskluzywnego „Nemzeti-Klub" (Klub Narodowy), gdzie o tej porze zbierają się wybitniejsi politycy-członkowie klubu.

W pięknym pałacu, w centrum miasta, mieści się ów klub, coś w rodzaju naszego „Klubu Myśliwskiego" (jeśli chodzi o ekskluzywność członków), lecz nieporównanie poważniejszy, jeśli chodzi o to, co tam się robi... Naturalnie, tu także są stoliki bridżowe, lecz pozatem w poważnych rozmowach członkowie klubu zaprawiają się do czynnego udziału w życiu politycznem. Więc obok starych, poważnych ekscelencji, których tu poznaję, ekscelencji cesarsko-królewskich, które żyją już tylko wspomnieniami minionej świetności — pan de Patay przedstawia mnie młodym ludziom, którzy karjerę polityczną i dyplomatyczną dopiero zaczynają. Najpierwsze nazwiska węgierskie: Apponyi, Esterházy, Zichy, Csekonics...

Przypadkowo (czy nie zawiele tych przypadkowości!) leży na stole numer „Nemzeti Ujsag" — jednego z najpoważniejszych dzienników budapeszteń-

skich. W numerze tym zamieściła redakcja wywiad ze mną.

(Nawiasem wtrącę, że po przyjeździe złożyłem kilka kurtuazyjnych wizyt w redakcjach. Redaktor naczelny „Nemzeti Ujsag“, gdzie nieraz już były artykuły o „Związku Polskiej Myśli Państwowej“, dr. Władysław Tóth, przesłał mi swój bilet wizytowy przez młodego dziennikarza, który prosił mnie w imieniu redakcji o wywiad na temat działalności sekcji węgierskiej „Związku Polskiej Myśli Państwowej“. Mówiąc o odczycie moim, wspomniałem mimochodem zabawne oburzenie Czechów z powodu pewnego, dość zresztą mocnego określenia Czechosłowacji).

Jeden z panów w Nemzeti-Klub, przeglądając teraz ten wywiad, zawołał:

— Jakto, to pan jest autorem tego wyrażenia! Więc muszę panu powiedzieć, że od miesiąca już na łamach pism czechosłowackich i węgierskich toczy się zajadła polemika na temat Rusi Przykarpackiej pod ogólnym tytułem... wyrażenia, którego pan użył! *)

(Proszę mi darować, że mimowoli robię sobie samemu reklamę, ale fakt ten wydał mi się bardzo charakterystyczny i dla naszego miesięcznika zaszczytny. Więc jednak nie jesteśmy znów tak bardzo „nieznani“, jak chcą uważać niektóre nasze prowincjonalne pisemka. Więc jednak słowa nasze nie trafiają w próżnię!).

Jakież ogólne wrażenia wyniosłem z rozmów moich w Nemzeti-Klub?

Węgrzy lubią nas. I poważają. Nie tają, że pragną

---

*) Kontury granic Czechosłowacji przypominają kształtem „foksterjera ostrowłosego", zwróconego pyskiem ku Rosji. (Przyp. red.).

naszej pomocy w walce, jaką muszą prowadzić dla zjednoczenia wszystkich Węgrów. W 1919 roku dokonano nad nimi analogicznego rozbioru, jak nad Polską w r. 1795-ym. Któryż więc naród lepiej może zrozumieć ich niedolę, niż Polacy? Ale w sympatjach ich do nas nietylko interes gra rolę. Jest coś w psychice każdego Węgra, co przypomina cechy polskiej psychiki. I jest we współżyciu Węgrów coś podobnego, jak w naszem (może tem właśnie tłomaczy się tak prędkie zaaklimatyzowanie się każdego Polaka w Budapeszcie?...) Jednakowa uczuciowość, jednakowa popędliwość, jednakowa towarzyskość i jednakowa rycerskość, której nie znajdziesz nigdzie indziej.

Po wizytach oficjalnych — wizyty nieoficjalne.

Jednym z najciekawszym polityków węgierskich jest niewątpliwie hrabia Iwan Csekonics, którego odwiedziłem w jego pałacu przy ulicy Kecskemeti. Stary, patrycjuszowski pałac, pełen arcydzieł malarskich i kolekcjonerskich, które zebrał gospodarz w czasach swych dyplomatycznych podróży. W gabinecie hrabiego, na biurku, stoją fotografje z dedykacjami. Na czele: fotografja króla Karola IV-go i królowej Zyty. Obecność tych pamiątek okaże się w zupełności usprawiedliwiona, jeśli dodamy, że hr. Csekonics jest przywódcą węgierskich legitymistów.

— Cieszę się, że mogę pana poznać. — Siwy pan, ale jeszcze w sile wieku, ukazuje się na progu gabinetu i wyciąga do mnie rękę.

Siadamy. Hrabia Iwan Csekonics był pierwszym węgierskim posłem pełnomocnym w Warszawie w latach 1918 — 1921. Pochodzi z jednego z najstarszych rodów. Do maja b. r. poseł do parlamentu. W ostatnich wyborach przepadł. Nie tai, że stało się to za przyczyną jego przekonań skrajnie legitymisty-

cznych. Od szeregu lat — prezes Izby Handlowej polsko-węgierskiej.

— Nie będziemy bawić się w dziennikarskie wywiady — mówi hrabia. — Pragnąłbym poprostu porozmawiać z panem, żeby go zorjentować w naszym programie. Oczywiście, upoważniam pana do wydrukowania naszej rozmowy, jeśli uzna pan to za pożyteczne.

Więc ja z kolei zapewniam gospodarza, że zaznajomienie się z programem polityków węgierskich — choćby to były przekonania wręcz odmienne — stanowi dla nas rzecz wielkiego znaczenia.

Hr. Csekonics zaczyna uprzejmie od rozważania na temat mojego artykułu, który wydrukowałem w pewnym budapeszteńskim miesięczniku (w przekładzie węgierskim zacnego prof. Janosa Tomcsany'ego).

— To bardzo ważne, że współpraca polsko-węgierska staje się ostatnio bardziej aktywna. *Znana mi jest doskonale* działalność „Związku Polskiej Myśli Państwowej", który to zbliżenie tak skutecznie propaguje. Powinniśmy uparcie dążyć do wspólnej granicy, jak było w ciągu wielu wieków. Będzie to — tak, jak była — najbardziej pokojowa granica.

Z kolei przechodzimy do sprawy rozbioru Węgier. Węgry dławią się w obrębie granic obecnych. Ze Słowaczyzny, z Rusi Przykarpackiej wciąż płyną do Ligi Narodów memoranda i skargi. O cóż chodzi? *Chodzi o przeprowadzenie plebiscytu*, który zagwarantował Węgrom akt pokoju w Trianon na pewnych terytorjach okupowanych. Czas ostatni, aby *wspólna démarche polsko-węgierska na terenie Sekretarjatu Ligi* ożywiła te niezliczone memoranda... Należy wreszcie przypomnieć mocarstwom, że istnieje lettre d'envoi prezydenta Milleranda: tytuł prawny dla zrewidowania obecnych granic północnych Wę-

gier, dokument, na skutek którego dopiero podpisał Apponyi narzucone Węgrom warunki w Trianon.

Stawiam teraz pytanie, jakie jest, zdaniem hrabiego, wyjście polityczne i gospodarcze dla Węgier z obecnego impasu? Odpowiedzi mogłem się był spodziewać. Hrabia Csekonics jest monarchistą. Ale jest także doskonałym znawcą prawa międzynarodowego, o czem mogłem się przekonać w dalszej rozmowie.

— Tylko i wyłącznie połączenie Węgier z Austrją — pada odpowiedź bez wahania. — Polityka autarchji, którą od lat stosują Austrja i Węgry, nadal utrzymać się nie da. Musi przyjść czas, kiedy oba te państwa zaczną myśleć o historycznej przyszłości. W połączeniu z Austrją widzę jedynie przyszłość Węgier. To jedno. A po drugie — tylko restauracja Habsburgów ocalić może nasze kraje.

— A co pan minister sądzi o Anschlussie? — stawiam z kolei następne pytanie. (W tej mierze legitymiści węgierscy mają odmiene zdanie, niż obecne koła rządzące).

— Pomijając fakt, że Anschluss ma dziś zbyt wielu groźnych przeciwników, którzy do niego nie dopuszczą, osobiście uważam, że połączenie Niemiec z Austrją stanowiłoby dla Węgier śmiertelne niebezpieczeństwo. Z jednej strony bowiem niech pan pamięta, że imperjalistyczna polityka Niemiec poszłaby przez Węgry w kierunku Bagdadu, drogą, którą już wytknął Bismarck i Wilhelm II, z drugiej strony zaś — zbyt mało docenia się ogromną ilość dawnych kolonistów niemieckich, którzy po odparciu z Węgier Turków osiedlili się w Budapeszcie i w jego najbliższych okolicach.

(Istotnie, mało kto wie, że na Węgrzech — według źródeł oficjalnych — zamieszkuje prawie pół

miljona rodowitych Niemców. Źródła niemieckie cyfrę tę podwyższają do półtora miljona!).

Te dawne kolonje niemieckie — ciągnie hr. Csekonics — to ponętny kąsek dla polityków z Wilhelmstrasse. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie są to dobrzy obywatele węgierscy! Przeciwnie, nigdy nie mieliśmy z nimi żadnych kłopotów, ani konfliktów. To są dziś wzorowi Węgrzy, idealni gospodarze, ale niepodobna wymagać, żeby się stali dobrymi Madziarami. Imperjalizm i penetracja niemiecka mogą w nich obudzić poczucie solidarności germańskiej, a to stanowiłoby dla Węgier poważne niebezpieczeństwo... Powtarzam — dotychczas nie było u nas mowy o jakiejkolwiek irrydencie niemieckiej, ale muszę pana uprzedzić, że już od pewnego czasu działa na naszym terenie niemiecka propaganda narodowych socjalistów. Już tworzą się pierwsze „jaczejki" Nazich...

Z tych więc względów legitymiści popierają Austrję w jej walce o niezależność polityczną. (Jak wiadomo, oficjalne czynniki rządowe na Węgrzech ujawniają raczej daleko idące uczucia germanofilskie i przyszłość Węgier oprzeć pragną raczej na pomocy potężnego sąsiada niemieckiego. Wyrazem tego programu była paźdźziernikowa podróż premjera Gömbösa do Niemiec).

Nieznacznie więc teraz przechodzimy na temat stosunków niemieckich. Potęga Trzeciej Rzeszy! I tutaj z ust ministra pada niezmiernie oryginalne ujęcie tej kwestji.

— Jak pan sądzi, kto jest twórcą potęgi Niemiec? — stawia hrabia pytanie retoryczne. I sam niezwłocznie na nie odpowiada: — Francja! Tak, Francja stworzyła silne Niemcy! Niech Pan zważy: Napoleon I stworzył jądro dla przyszłego zjednoczenia się księstw niemieckich. Pod Lipskiem w roku 1813

te księstwa połączyły się po raz pierwszy przeciwko Francji. Napoleon III stworzył potęgę Pierwszej Rzeszy pod Sedanem. A nonsensowna polityka francuska po wielkiej wojnie stworzyła potęgę Hitlera! Potęga Niemiec polega na tem, że zawsze będą one komuś potrzebne. Teraz będą potrzebne Anglji i przekona się Pan, że niebawem Anglja zwróci Niemcom kolonje.

(Trudno mi się było w tej mierze nie zgodzić z moim szanownym rozmówcą. Z mojej tegorocznej podróży dokoła Niemiec odniosłem to samo wrażenie: wrażenie potęgi Rzeszy hitlerowskiej, która potrafi stawiać wciąż nowe żądania i żądania te zostają krok za krokiem realizowane).

— Cóż więc, zdaniem hrabiego, może dziś ocalić Węgry przed tem niebezpieczeństwem, które upatruje Pan ze strony Niemiec?

— Dwie rzeczy: restauracja Habsburgów i połączenie z Austrją, jak już panu to oznajmiłem. W dzisiejszej konstelacji politycznej obie te sprawy mają wszelkie szanse powodzenia. Do Anschlussu nie dopuszczą Włochy, a Francja nie będzie się już dłużej opierała restauracji, gdyż wpływy i znaczenie masonów francuskich od pewnego czasu utraciły tę siłę, jaką miały kiedyś...

— Więc legitymizm...?

— Legitymizm węgierski stoi na gruncie prawa konstytucyjnego. Węgry są i pozostaną królestwem. Prawnie bowiem najstarszy syn króla automatycznie staje się królem. Zatem z poczucia samego prawa stoimy na stanowisku, że Węgry mają króla, gdyż detronizacja Karola IV-go nigdy nie była legalna. Jest więc Otton, którego tytułujemy królem, nietylko teoretycznie, ale i formalnie. Z tej przyczyny nawet chciano nam wytoczyć proces, sprzeciwiając się temu, abyśmy używali formy, należnej królowi.

Oczywiście, do procesu nie doszło, gdyż legitymiści stoją przecież na gruncie prawa konstytucyjnego, które głosi: Węgry są królestwem. Skoro są królestwem, nie można negować istnienia króla.

— Na jakim tytule prawnym opierają panowie swoje wywody?

— Na sankcji pragmatycznej cesarza Karola VI-go (ojca Marji Teresy). Sankcja pragmatyczna była umową bilateralną. Jako więc umowa dwustronna między monarchą i narodem, nie może być rozwiązana przez jedną ze stron. I dlatego właśnie, że stypulację tę respektujemy, do Węgier wróci nie pretendent, jak chcą niektórzy, ale król.

— Czy zdaniem pana ministra większość podziela te zasady?

— Niewątpliwie. Tak, jak ja, myśli większość narodu węgierskiego. 95% chłopów węgierskich to legitymiści. Tylko drobna część inteligencji i burżuazji sądzi jeszcze, że sankcja pragmatyczna już nie obowiązuje Węgry, że może dojść do wolnego wyboru innego kandydata.

— A jak pan minister wyobraża sobie praktyczną realizację tych planów?

— Sądzę, że najpierw dojdzie do władzy Otton w Austrji. Jak panu wiadomo, przełamano tam już front anty-habsburski. Niezwłocznie po tem musi dojść do skutku unja personalna z Węgrami.

— Na jakich zasadach, panie ministrze? Czy podobnie, jak w c. i k. monarchji?

— Ależ nie! Tym razem połączą się dwa, absolutnie niezależne państwa. Tylko pewne władze i instytucje będą wspólne, więc np. armja. Tylko Habsburg i tylko połączenie Austrji z Węgrami może rozwiązać kwestję istnienia obu tych państw — kończy naszą rozmowę hr. Csekonics.

W istocie sprawa nie jest tak prosta. Czego chcą Niemcy? Czego chcą Węgry?

Niemcy pragną zjednoczenia wszystkich Niemców. To znaczy chcą półtora miljona Niemców węgierskich, chcą cztery miljony Niemców czeskich i chcą pięć miljonów Niemców austrjackich. (Nie mówiąc narazie o Niemcach polskich). To ze względów etnograficznych. Ze względów gospodarczych zaś chcą Niemcy Dunaju. Dunaj jest im niezbędny dla ekspansji gospodarczej.

Węgry zaś chcą zjednoczenia swoich rozdartych dzielnic. Ostatnie podróże mężów stanu zdają się mówić, że przygotowuje się coś w rodzaju nowego aljansu. Czyżby Niemcy — Polska — Węgry? Trudno narazie stawiać jakieś horoskopy w tej mierze. Pozostawiając Niemcy na boku, jedno musimy przyznać, to mianowicie, co już wyraźnie w artykule swoim p. t. „Warszawa — Budapeszt" podkreślił dr. Jan Bobrzyński, że na blok Moskwa — Praga należy odopwiedzieć mostem Warszawa — Budapeszt.

Pomijając bowiem narazie inne konflikty, każdy przyzna, że aktualnie największe niebezpieczeństwo grozić może Europie środkowo-wschodniej ze strony Sowietów. Ten moment w polityce niedość, uważamy, jest ostatnio doceniany. I jeżeli tak za wszelką cenę pragniemy wspólnej granicy z Węgrami, to nie robimy tego przez kaprys, czy oryginalność, ale doceniamy należycie niebezpieczeństwo, jakie zagraża nam od południa w postaci choćby ostatniego układu lotniczego między Czechosłowacją a Z. S. R. R. W „Merkurjuszu Polskim" czytaliśmy bardzo interesujące wiadomości na temat budowy przez Sowiety największego w Europie lotniska wojskowego na terytorjum czeskiem, w Użhorodzie. Te alarmy powinny obudzić tych, którzy niebezpieczeństwa dotąd nie dostrzegają...

Oto efekt mojej podróży węgierskiej!

Zorjentowanie się na miejscu w nastrojach, dążeniach i sympatjach węgierskich nie daje nam jeszcze pełnego obrazu stosunków. Nie możemy bowiem pomijać tak doniosłych dziś stosunków ekonomicznych, które wpływ swój wywierają także na politykę narodów.

Ale o tem już innym razem.

Eugenjusz M. Schummer.

PRASA WĘGIERSKA O NAS I WSPÓLNEJ GRANICY

Magyarsag z 16 czerwca 1935.

W Polsce osobny związek został założony celem wywalczenia wspólnej granicy polsko-węgierskiej. Życiowe interesy Polski żądają, żeby Ruś Zakarpacka została przyłączona do Węgier.

Z Warszawy donoszą: Poważne czasopismo „Nasza Przyszłość“ podaje wiosenną konferencję, urządzoną przez „Związek Polskiej Myśli Państwowej“, na której obradowano nad potrzebą wspólnej granicy polsko-węgierskiej. We wstępnym artykule redaktor Bobrzyński wyłuszcza, że związek i czasopismo z tego powodu walczą o wspólną granicę, ponieważ Masaryk oświadczył przedstawicielowi Sowietów o ‚Rusi Zakarpackiej — która została przydzielona Czechosłowacji wedle traktatu pokojowego z prawami autonomicznemi — że uważa ją tylko jako zastaw i przy odpowiedniej sposobności odstąpi Rosji. Każdy więc Polak wie, co to znaczy zostawienie tej Rusi w rękach Czechów i z tego też powodu leży w interesie polskim, aby Ruś Zakarpacka dostała się z powrotem w czasie jaknajkrótszym Węgrom i przez to polityka czesko-rosyjska nie mogła okrążyć Polski od strony południowej. Belką żelazną, sięgającą od Warszawy do Budapesztu, trzeba rozwalić ten most, który Czesi zamierzają budować między Pragą a Moskwą — oświadcza p. Redaktor. Wspólna granica w dzisiejszych warunkach może być osiągnięta wzdłuż Rusi Zakarpackiej i z tego powodu Związek ten głosi systematycznie zwrot Rusi Zakarpackiej Węgrom, nie oglądając się

na nikogo i na żadne okoliczności dyplomatyczne. Zresztą traktaty pokojowe zostały zestawione z nienawiścią i niesprawiedliwie. Społeczeństwo polskie tem śmielej może wystąpić w sprawie węgierskiej, ponieważ traktat w Trianon nie został ratyfikowany przez Polskę.

Po tym wstępie artykuł zaznajamia nas z odczytem sekretarza akcji węgierskiej Związku, p. Eugenjusza Schummera, o potrzebie granicy polsko-węgierskiej, następnie z przemówieniem profesora uniwersytetu wileńskiego, p. Bossowskiego, który zwraca nam uwagę na klin czesko-rosyjski, jaki zaczyna już być niebezpieczny zarówno dla Polski, jak i dla Węgier i przy pomocy którego Rosjanie dotarliby aż do serca Europy. Tylko w ten sposób można temu przeciwdziałać i przeszkadzać, jeśliby powstała wspólna granica polsko-węgierska. Na zebraniu przemawiał jeszcze dyrektor Izby polsko - węgierskiej w Warszawie, p. Henryk Drozdowski, o sytuacji gospodarczej Węgier, następnie p. dr. Janusz Pajewski mówił o serdecznych stosunkach historycznych polsko - węgierskich.

Czasopismo osobno zajmuje się również i kwestją słowacką, której społeczeństwo polskie nie zna dostatecznie. Pan Redaktor akcentuje, że trzeba wyjaśnić społeczeństwu polskiemu, jak duże różnice zachodzą między Słowakami i Czechami. Przecież niema języka czechosłowackiego. Słowacy chcą autonomji i walczą przeciw centralizmowi, który ich czechizuje. W tym kierunku udziela wyjaśnienia artykuł jednego Słowaka, który pod pseudonimem wykłada nam, że po przewrocie Słowacy dostali się z małych kłopotów do sytuacji o wiele gorszej, ponieważ Czesi dążą do ich czechizacji i prowadzą przeciw nim nieubłaganą wojnę wyniszczenia. W Rzeczypospolitej Słowacy chcą autonomji. Na za-

kończenie p. Redaktor występuje ostro przeciw mniejszościowej polityce Czechów i uważa ich przyjaźń do Rosji za niebezpieczną nietylko dla Polski i Węgier, lecz i dla Europy. Dlatego też w celu zapewnienia pokoju Europie Środkowej koniecznem jest, żeby Słowacy dostali conajmniej autonomję i żeby Ruś Zakarpacka została przyłączona w całości do Węgier.

Duża ilość obecnych na tej konferencji oraz wielkie wrażenie, jakie wywołały artykuły „Naszej Przyszłości" w sferach polskiego społeczeństwa wskazują na to, że idea wspólnej granicy z Węgrami w Polsce dojrzewa.

Nemzeti Ujsag z 8 sierpnia 1935.

Trzeba wierzyć w możliwość granicy polsko-węgierskiej.

W ubiegły poniedziałek interesujący gość bawił w Budapeszcie. Na drodze przez Niemcy spędził jeden dzień u nas, w Budapeszcie, polski publicysta Związku Polskiej Myśli Państwowej, który należy do grona kierowników Sekcji węgierskiej i litewskiej tego zrzeszenia. Ten młody pisarz polski jest bardzo serdecznym naszym przyjacielem, który dotąd już w kilku odczytach i artykułach zajmował się sprawami węgierskiemi i jest jednym z najbardziej oddanych pionierów myśli wspólnej granicy polsko-węgierskiej.

P. Eugenjusz Schummer jest typem nowoczesnego człowieka. Ma w sobie zapał, jego uwaga skierowana jest na różne strony tego doniosłego zagadnienia, nad którem pracuje. Zaraz na wstępie zaznacza , że obecna jego wizyta w Budapeszcie jest tylko przelotna, gdyż dopiero za trzy tygodnie, kiedy wróci z Dalmacji, zatrzyma się przez cztery dni w Budapeszcie. Wygłosi wtedy dwa odczyty, jeden o literaturze pol-

skiej w Radio Węgierskiem, drugi w Związku Narodowym o kwestji wspólnej granicy polsko-węgierskiej.

Chcielibyśmy coś niecoś dowiedzieć się o Związku Polskiej Myśli Państwowej, który go wysłał w tę drogę.

— Związek Polskiej Myśli Państwowej — mówi p. Szumer — nie jest partją polityczną, nie bierze więc aktywnego udziału w polityce. Posiada 10 Sekcji, z których każda zajmuje się jakimś ważnym problemem, dotyczącym państwa polskiego. Wśród nich istnieją sekcje litewska i węgierska, których jestem jednym z kierowników.

— Jakie stanowisko zajmują Panowie w sprawie węgierskiej?

— Naturalnie, że jak najserdeczniejsze i to nietylko na polu kulturalnem, ale i na polu politycznem. My Polacy, mamy dużo nieprzyjaciół, podobnie, jak Węgrzy i winniśmy przeto wzajemnie się popierać. Z tego powodu najważniejszem hasłem naszej Sekcji jest wspólna granica polsko-węgierska. Czy Pan nie zauważył, jaką postać ma dzisiejsza Czechosłowacja na mapie?... Postać, podobną do pochylonego naprzód foksterjera szkockiego, tkóry węszy ku Rosji. To wyraża też symbolicznie politykę Czechosłowacji. Polityka ta stanowi dla Polski bardzo wielkie niebezpieczeństwo. Dlatego też trzeba koniecznie rozerwać tego foksterjera...

— Jak zapatrujecie się Panowie na obecne stosunki polsko-niemieckie? Czy ta obecna przyjaźń jest naprawdę szczerą?

— Tak, wierzę w to bardzo! Z Niemcami bowiem musielibyśmy się pogodzić ze względu na niebezpieczeństwo rosyjskie i czeskie. Sądzę, że Niemcy zapomną powoli o Poznańskiem i innych terytorjach, które do Polski wróciły. Tembardziej będą mogli za-

pomnieć, ponieważ — według mego przekonania — zwrócony im będzie wkrótce Kamerun i inne kolonje. O korytarzu gdańskim nie może być oczywiście mowy. Polska potrzebuje morza, bez niego żyć nie może i o tem każdy Polak jest przekonany. Zresztą objechałem teraz Niemcy i ze strony narodowych socjalistów doznałem tam wszędzie najszczerszych uczuć przyjaźni dla Polski.

— Jesteśmy ciekawi, w jaki sposób wyobrażają sobie Panowie rozwiązanie kwestji wspólnej granicy?

— Konkretne możliwości tej kwestji nie są w tej chwili oczywiście już dość wyraźnie postawione. Ale narazie, według mego zdania, nie ta strona kwestji jest najważniejsza. Chodzi przedewszystkiem o to, że każda idea polityczna potrzebuje najpierw wiary. Jeżeli w coś wierzy tysiąc ludzi, to nie jest już nonsensem. Jeżeli wierzy w to sto tysięcy ludzi, to jest już programem politycznym. A jeżeli miljon ludzi dąży do tego, wtedy można to już przeprowadzić. Inaczej niepodobna wyobrazić sobie myśli politycznej, wymierzanej w przyszłość. Czynią to przecież w ten sposób np. Niemcy, choć niekiedy brutalnie. My tej metody oczywiście nie potrzebujemy, ale potrzebujemy wspólnej wiary w Polsce i na Węgrzech, tkórą winny być przepojone masy. *)

Z tem oświadczeniem, tchnącem zupełnie nowoczesnym duchem, żegna nas młody polski publicysta, którego artykuły i odczyty są stwierdzeniem, że w myśl swej wiary nietylko mówić, ale i działać potrafi.

---

*) Od czasu tej rozmowy program Sekcji węgierskiej Związku P. M. P. na możliwości realizacji wspólnej granicy dokładniej został skonkretyzowany. (Uw. Red.).

W IMIĘ PRAWDY DZIEJOWEJ

„Nie wolno posługiwać się historją dla uzasadnienia jakiegokolwiek z góry ułożonego systemu, dla jakiejkolwiek doktryny i dla jakiegokolwiek kierunku politycznego. Historja musi być samoistna, musi być wiernym obrazem życia narodu w całym jej przebiegu i we wszystkich jego objawach dziejowych

„Należy koniecznie zerwać z dość powszechnemi dotychczas hasłami tego rodzaju: „odsłonięcie nagiej prawdy zniesławi nas u obcych, usprawiedliwi krzywdy, jakie nam wyrządzono, młodzież naszą do przeszłości i tradycji zniechęci, nam samym da dalszej pracy odbierze otuchę!". Żadne, jakkolwiek, a zawsze błędnie, upozorowane względy nie pozwalają prawdy dziejowej przekręcać, bo tylko naga, niczem nie osłonięta prawda może zbawiennie na społeczeństwo oddziałać, zdrowego dostarczyć mu pokarmu i nauki, natchnąć je zapałem do pracy i męską energją wytrwania."

Michał Bobrzyński.

„Kozacy — był to lud dziki, mieszanej narodowości, wrogi wszelkiej organizacji społecznej, nieszczęście i przekleństwo krajów ruskich, które z ich przyczyny spokojnie żyć i rozwijać się nie były wstanie."

Ludwik Kubala.

„Kozacy bez wojny żyć nie mogą."

Bohdan Chmielnicki.

Te trzy jędrne cytaty wystarczą dla określenia tego, czego w sprawie ruskiej chcemy. Prawda dziejowa, niezbędna dla historji i wyciągnięcie z niej objektywnych, ścisłych, logicznych wniosków, wolnych od wszelkiego sztucznego naginania faktów do apriorystycznych założeń politycznych.

Zarzucano nam nieprzyjaźń dla sprawy ruskiej i dla normalizacji polsko-ruskich stosunków — a my przecież, od pierwszej chwili naszego wystąpienia w tej dziedzinie przed pięciu i pół laty, jedynie tylko dobra tych spraw pragniemy, ale rzetelnego dobra, na trwałych opartego fundamentach, a więc na fundamentach prawdy, nie zaś politycznego zakłamania i legendy. Zarzucono na mrównież, jak to w takiej walce jest zwyczajem, nieznajomość historji. Jakiej historji? Znowu tej sztucznej, politycznie nakręconej legendy historycznej, stworzonej ad usum politycznego, zaborczego ukrainizmu, zbudowanego na podłożu i pretensjach ideologji kozacko - hajdamackiej, o której słusznie mówił już sam Chmielnicki, że bez wojny — t. j. bez opozycji i negacji wobec otaczających warunków — istnieć nie może.

Istotnie, nie zagłębiamy się detalicznie w cały ten stos wydawnictw, broszur i ulotek, któremi świat jest zasypywany w celu wzmacniania i utwierdzania — fikcji. Pozostawiamy tę mrówczą czynność gorliwym bibljografom i kompilatorom, którzy, w braku własnej idei i poglądu, żyją bezkrytyczną kompilacją cudzych idei. Ale znamy dostatecznie rzecz i cel, o które chodzi, a najważniejszą, prawdziwie miarodajną szkołą w tym zakresie są nam fakta — jest życie.

Błędną jest metoda kreślenia współczesnej historji, a w znacznym stopniu i dawnej, na podstawie przesadzonej wiary w papierowe dokumenty. Ludzie bowiem kłamią dziś i kłamali dawniej dla różnych

celów, a przedewszystkiem dla własnego interesu, prywatnego lub narodowego — i dlatego kłamią zbyt często zapisane przez nich papiery, czy nawet uroczyste pergaminy. Wiedza więc historyczna, na samych papierach oparta i pysząca się nadmierną erudycją w papierach, staje się sama — papierową! A że papier, jak wiadomo, jest cierpliwy i wszystko, co kto chce, może na nim wypisać, więc i wiedza, na tem oparta, staje się powolną wszelkim kłamstwom, fantazjom i — fikcjom politycznym.

Przykład: ileż to razy donoszą nam niby poważne dokumenty historyczne o różnych, uroczyście zaprzysięganych traktatach i ugodach, przy których jednak zawieraniu i podpisywaniu każda ze stron całkiem inne miała zamiary, tak dalece, że już w chwili uroczystego podpisywania szumnie brzmiącego dokumentu, mającego niby nową epokę otwierać w stosunkach obu kontrahentów, jedna i druga strona podpisywały go właśnie z premedytacją, aby wzajemnie oszukać się i uśpić czujność kontrahenta... podpisywanym dokumentem!

Dlatego rzetelna prawda historyczna wydobyć się daje ze stosu kłamstw, oszustw, legend i papierów tylko zimną, objektywną, wolną od wszelkiej naiwności i aprioryzmu obserwacją życia, faktów i skutków. Objektywna, w głąb sięgająca analiza przyczyn i rezultatów — to najgłówniejsze, najrealniejsze zadanie historji, bo tylko tak traktowana wiedza historyczna może być rzetelną mistrzynią narodu, udzielać mu praktycznej dyrektywy dalszego postępowania, a więc pełnić swą najważniejszą rolę. A skrawki pergaminu lub papieru, z należytym, życiowym traktowane krytycyzmem, mogą przytem tylko pomocniczą odgrywać rolę. Najwłaściwszem zaś kryterjum tych literackich dokumentów pozostanie zawsze ocena faktycznych rezultatów tego,

o czem dokumenty te traktują. Z rezultatów bowiem można, wrazie wątpliwości, ocenić wstecz należycie głębsze motywy danych wydarzeń dziejowych. Jeżeli np. dwa narody zawarły ze sobą traktat przyjaźni, a wnet potem jeden lub drugi, albo oba naraz, uczyniły coś wręcz przeciwnego, to logiczny stąd i życiowy wyciągnąć trzeba wniosek, że dany traktat był tylko wzajemną złudą lub nawet obłudą i że o żadnej przyjaźni nikt tam na serjo nie myślał. Dokument więc traktatu głosi prawdę, ale tylko pozorną, rzeczywistość zaś, całkiem nieraz przeciwna, wynika dopiero z rezultatów.

I to właśnie, pomnożone przez tysiąc i miljon, tworzy z biegiem czasu dwie równoległe historje: jedną pozorną, drugą prawdziwą.

Na takiej to pozornej prawdzie historycznej oparła się mniejwięcej od półtora wieku — chociaż dość różne można tu wybierać daty — sztuczna struktura ruskiego ukrainizmu, stworzona bezspornie dla osiągnięcia pewnych politycznych celów. Temu żaden, choć trochę historycznie wykształcony Rusin nie jest wstanie zaprzeczyć. Nie może zaprzeczyć temu również żaden wykształcony Polak, choć dotąd większość Polaków poddaje się — siłą inercji i strachu — tej pozornej, rusko-ukraińskiej historji i zbudowanej na jej legendzie fikcji politycznej.

A w czem przejawia się jaskrawo sztuczna budowla i fikcyjność tej legendy, która obrała sobie za podstawę zbudowanie „historji ukraińskiej“ nie na prawdziwych dziejach ruskiego narodu, ale na incydencie siczowo-kozackim, wywyższając go na piedestał genezy i niemal mitologji narodowej?

Przejawia się w tem, że dzisiejszy naród ruski jest właśnie narodem negacji własnej racji stanu. Zatracił pod wpływem tej legendy głębsze poczucie

narodowe, nie czuje silniejszych pod nogami fundamentów — skoro Sicz i kozactwo, w dawnem znaczeniu, istnieć przestały i odrodzić się w nowoczesnych warunkach nie mogą. Ukrainizm wyżarł, dla pewnych celów politycznych, prawdę historyczną i niejako właściwą osobowość z ruskiego narodu i rzucił go na sztuczną platformę, na kfórej każdy aktor mówi do wszystkiego, co go otacza, jedno zawsze tylko słowo: Nie! — Mówić „Tak!" zukrainizowany Rusin nowoczesny zupełnie się już oduczył, nawet wobec oczywistej rzeczywistości i rzetelnej własnej korzyści narodowej. A ilekroć mówi komukolwiek „tak!" — to ma na myśli coś wręcz przeciwnego.

Dramatyczną jest coprawda, rzeczywista historja narodu ruskiego. Dramat jej począł się z najazdem Mongołów. Ale później zaczęła ruskość w kontakcie z Polską i Litwą dźwigać się z upadku i zajmować w obu tych krajach coraz wyższe, coraz bardziej wpływowe stanowisko. Była więc na najlepszej drodze do odrodzenia i nawet prawie już pod każdym względem odrodzona. I wówczas dotknął ją drugi akt dramatu: incydent kozacki.

Incydent z elementem, w gruncie rzeczy obcym Rusi. Bo kozacy, kolonizując dorywczo okoliczne ziemie ruskie z siczowego gniazda, składali się wprawdzie w znacznej części z ruskiego elementu, ale geneza Siczy i jej istotny charakter nie miały nic wspólnego z rdzenną historją Rusi. Sicz była jakby naroślą na ziemi ruskiej, prawdziwym rakiem, który Ruś miał oplatać i stoczyć.

Kozactwo, dusząc się na Siczy, wtargnęło raz po raz falami na Ruś, z początku odpierane i przez czynniki polskie i ruskie chwilowo kiełznane, aż wkońcu wtargnęło pod Chmielnickim silniejszą falą i wyzyskując różne niedomagania stanu społeczno-

gospodarczego tych ziem, podniosło najpierw sztandar buntu, zlewając go krwią zarówno polską, jak ruską, a potem chwytając w ręce bardzo sprytnie sztandar całej Rusi.

I tu zaczyna się dramat najgorszy, bo nietylko materjalnego, ale i moralnego niszczenia ruskiego narodu i dorywczego łamania jego ogólnej linii politycznej na różne strony — raz po raz w kierunku to Tatarów, to Moskwy, to Polski, to Turcji, Wołoszczyzny, Siedmiogrodu i Szwedów. Od Chmielnickiego po Mazepę, a właściwie po dzień dzisiejszy, chwieje się ten kierunek ruskiej racji stanu na wszystkie strony, nigdzie nie wytrwały, wszędzie budząc wskutek tego nieufność i załamując się i wszędzie tylko w najlepszym razie jako atut, rozgrywany między obcymi narodami.

Naród ruski zeszedł pod wpływem incydentu siczowego, który załamał jego naturalną linję historyczną, do smutnej roli politycznego atutu w obcych rozgrywkach międzynarodowych. To znowu prawda, której żaden wykształcony Rusin nie jest w stanie zaprzeczyć. Prawda smutna, ale w uznaniu jej leży jedyny start do prawdziwego odrodzenia nieszczęsnego narodu.

Tymczasem tę właśnie szkodliwą a dramatyczną w rezultatach legendę siczową podchwycili literaci i różni działacze, aby oprzeć na niej odrodzenie ruskości. Zmienili wszystko — prawdę historyczną, nazwę narodu, a nawet głębsze, wcale nie bojowe nastawienie szerszych warstw ruskiego społeczeństwa. Rusina przebrali za hajdamakę siczowego, ochrzcili go ukraińcem i dali mu nóż do ręki z hasłem: rżnij! Kogo rżnąć? Wszystkich i wszystko, co legendzie siczowej, przepojonej nawskroś ideologją bezproduktywnego rozbójnictwa, traktowanego jako stała racja stanu ongiś wywołańców siczowych, stanie

na drodze. A więc przedewszystkiem rżnąć rozum= niejszych Rusinów, potem Polaków, a wreszcie wszelki zdrowy rozsądek polityczny. I to bezmyślne „rizanie“, w dosłownem lub obrazowem znaczeniu, stało się niemal oficjalną racją bytu ruchu ukraiń= skiego i spada przekleństwem na spokojny naród ruski, który niewątpliwie wiele dodatnich, kultural= no = twórczych posiada zalet.

Oto — głęboki konflikt pozornej i prawdziwej historji ruskiej, którego nie zatuszują tysiączne na= wet cytaty, zaczerpnięte z papierowej wiedzy. Nam cytaty takie nie imponują, bo wartość ich aż nadto dobrze znamy.

Sztuczna ukrainizacja jest więc trzecim aktem ruskiego dramatu. A czwartym, całkiem współczes= nym, jest polityczny oraz „uczony“ opór przeciw wszelkiej, słusznej, koniecznej rewizji legendy ukra= ińskiej i regeneracji przez to prawdziwej ruskiej hi= storji i ruskiej racji stanu, jako czynnika twórczego. Siła inercji i zbytnia miłość własna wstrzymuje kom= petentnych ludzi po ruskiej i polskiej stronie od śmiałego przekreślenia swego błędu i wkroczenia na prostą drogę. Po ludzki biorąc, wyrozumiewalibyś= my ten opór. Ciężko bowiem ludziom, zwłaszcza wy= kształconym i dumnym na skonstruowany przez siebie gmach wiedzy, choćby błędnej w założeniach i rezultatach, zmienić „na starość“ swą linię, swe przekonania i rozpocząć nowy start, cofając niejako koło historji. Robi się to wprawdzie nieraz w prak= tyce i uważa za rzecz naturalną. Nawroty takie wi= dzimy często w zakresie nauk przyrodniczych, gdzie — wobec nowo odkrytych faktów — zmieniać się muszą z dnia na dzień zakorzenione nieraz głęboko teorje. Robi to też każdy turysta, widząc, że błęd= ną drogą zabrnął nad przepaść. Zawraca ze złej dro= gi i obiera inną, zdając sobie sprawę, że choć chwi=

lowo cofnąć się musi, to jednak nową drogą bezpieczniej i prędzej dojdzie do celu.

Ale rozumiemy, że taki nawrót, wymagający pewnego cofnięcia się wstecz i przekreślenia miłości własnej, niezmiernie trudny jest tam, gdzie ambicja naukowo-historyczna związała się z ambicją polityczną — gdzie więc nakręcanie historji służyło dotąd nakręcaniu konjunktury politycznej. Obserwujemy to, coprawda w innej formie, na hitleryźmie niemieckim, który dla pogłębienia swej racji bytu nakręca niemiłosiernie historję, archeologję i inne działy wiedzy do wymagań swej „nordyckiej" geopolityki. Ba, stwarza nawet nowe, fikcyjne gałęzie wiedzy w tym tylko celu. Podobną rolę, mutatis mutandis, odgrywa sztuczny ukrainizm na organiźmie ruskiego narodu, oczywiście na sposób daleko więcej powierzchowny, stosownie do psychiki słowiańskiej, prymitywnej, oraz ideologji hajdamackiej. Nie wpadli ukrainizatorzy jeszcze na myśl tworzenia ukraińskiej religji i „ukraińskiego Boga". Ale może i to wkońcu wymyślą, skoro przemianowali już pewne swe organizacje skautowskie na „czartów leśnych". I w tem przebija również ideologja hajdamacka, bo hitleryzm usuwa tylko Boga, a ukrainizm wzywa odrazu na pomoc czartów!

Drugim momentem, w którym przejawia się skuteczność budowli i fikcyjności legendy nowoczesnego ukrainizmu, jest skonstatowany przez nas wielokrotnie fakt, bardzo znamienny, że wszyscy — bez wyjątku — głębsi znawcy polsko-ukraińskiego problemu, politycy i naukowcy, z którymi mieliśmy sposobność zetknąć się w szeregu lat ostatnich, twierdzą jednomyślnie, iż problem ten jest niemożliwy do rozwiązania. Ponieważ zaś umysł, logicznie rozumujący, problemów nierozwiązalnych — poza tajemnicami Wiary, oraz pewnych teoretycznych

zagadnień matematyki — uznać nie może, a zwłaszcza w polityce, przeto twierdzenia takie ze strony fachowych znawców przedmiotu są dla nas jednym dowodem więcej, że fachowość ta na fałszywą oddawna weszła drogę, z której cofnąć się musi, jeżeli się nie ma ośmieszyć!

Tak, przyznajemy chętnie wszystkim Polakom, którzy stoją na platformie ukrainizmu i legendy siczowej, że problem polsko-ruski jest na tej platformie istotnie zagadnieniem nie do rozwiązania! Wyklucza bowiem jakiekolwiek logiczne rozwiązanie tego węzła gordyjskiego już sam duch zasadniczej negacji, tkwiący w ideologji ukrainizmu. Ukrainizm jest nie do pomyślenia jako czynnik twórczy, zarówno dla własnego narodu, jak i w dziedzinie współpracy z jakimkolwiek sąsiadem. Wszak ideologja ukraińska zrodziła się i trysnęła z hajdamackiego noża, którego zadaniem i racją bytu było od samego początku nie tworzenie czegokolwiek, nie jakaś konsekwentna walka o niepodległość ruskiego narodu — jak to usymbolizowała np. polska karabela — ale bezmyślne „rizanie“ wszystkiego dokoła siebie dla doraźnego, krótkoterminowego zysku „rezunów“. Nikt nie może zaprzeczyć, że kozackie „rizanie“ nie kończyło się nigdy planową realizacją jakiejś głębszej ruskiej myśli politycznej, ale z reguły bezradnością po odniesionem chwilowo zwycięstwie, po dokonaniu bezskutecznej rzezi masowej i poddawaniem się pod różne obce protektoraty według zasady: z deszczu pod rynnę. Ideologja siczowa i jej nowoczesna spadkobierczyni, ideologja ukrainizmu, były zawsze tylko ideologją buntu i stwarzały na ziemiach ukrainnych w ostatecznym rezultacie chroniczny stan wojny dla wojny — bellum omnium contra omnes.

A taka ideologja musi mścić się na jej twór-

cach i zwolennikach z nieubłaganą logiką i konse= kwencją. Ukrainizm jest w najgłębszej swej istocie tylko czemś, wiecznie podniecającem, ale nigdy twór= czem. Jest przez to właśnie problemem nierozwią= zalnym. I dlatego mogą różni polscy znawcy przed= miotu ogłaszać najwybitniejsze, najtrafniejsze i naj= uczeńsze o nim rozprawy, mogą na ich podstawie wyrabiać sobie opinję „uznanych autorytetów“ — niemniej prawdą jest i będzie, że w rozprawach tych, czy przemówieniach, poza pewne „trafne i głę= bokie uwagi“ i poza pobożne fantazje, czy pragnie= nia nigdy nie wyjdą. Bo realnego rozwiązania spra= wy sama ideologja ukraińska nie dopuszcza!

I dlatego, nie wdając się tu w żadne kazuistycz= ne dyskusje naukowo = historyczne, stwierdzamy bezwzględną słuszność sądu Kubali, przytoczonego na wstępie, że ingerencja incydentu kozackiego w dzieje ruskiego narodu była dla niego nieszczęś= ciem i przekleństwem, które działa po dzień dzisiej= szy. Stwierdzamy także słuszność po dziś dzień słów Chmielnickiego, że ukrainizm, na kozackich trady= cjach oparty, ma swoją rację bytu tylko w wiecznej wojnie, a zarazem i słuszność owego słynnego prze= kleństwa, rzuconego przez lud ruski na swego rze= komego oswobodziciela: „Oj, żeby tego Chmiela pierwsza kula nie minęła!“. Prawdziwy to, nie podej= rzany, bo z rezultatów poczęty krzyk serca i rozu= mu, bo istotnie, co miała burza kozacka naprawdę wspólnego z bytem i rozwojem ruskiego narodu? Podnieciła najgorsze instynkty, w bujnej duszy ukrainnego ludu drzemiące, rozbudziła chorobliwie indywidualne pożądania i ambicje, zamieniła spo= kojnych rolników w „rezunów“ i — zaprzepaściła naturalny, potężny już wówczas rozwój ruskiego narodu, jego kultury i politycznego znaczenia. Wy= rżnięto wówczas niemal wszystkie wyższe sfery

ruskiego społeczeństwa, bez których żaden naród nigdy, a zwłaszcza w owych czasach, obejść się nie mógł i nie może, bo sam lud, z rezunami na czele, przenigdy pełnego narodu i państwa nie stworzy. Przyśpieszono przez to tylko polonizację ocalałych warstw wyższych w społeczeństwie ruskiem, a sami kozacy skazali się na ostateczne zmoskwiczenie, jako przyszli pretorjanie cara rosyjskiego.

Z tych wszystkich faktów bezpornych oraz z własnych także doświadczeń w dziedzinie zasadniczego negatywizmu ideologji ukraińskiej wysunęła nam się stopniowo, bez żadnej premedytacji lub doktrynerstwa, praktyczna teza, że zagadnienie ruskie wówczas dopiero będzie mogło być w jakikolwiek sposób logicznie i pozytywnie traktowane, a zatem stopniowo rozwiązane, gdy wytnie się i wyrzuci z dziejów i z duszy ruskiego narodu cały ów rakowaty kompleks siczowy i ukraiński, a kozaczyznę ograniczy się do tej roli ubocznego, choć dotkliwego w skutkach incydentu, jaką istotnie odegrała. Praktycznie więc biorąc, trzeba kulisę moskalofilską z jednej, a ukraińską z drugiej strony, które obie prawdziwe oblicze ruskiego narodu zasłaniają, usunąć na bok zdecydowanym gestem objektywnej krytyki i wyciągnąć na światło dzienne prawdziwy naród ruski, jakim jest mimo wielokrotnych dramatów i sztucznych inscenizacji, które na jego żywym organiźmie rozgrywają się od szeregu wieków i z biegiem czasu rzeczywistą rzeczywistość tego nieszczęsnego narodu całkowicie ad usum różnych politycznych eksperymentów zasłoniły.

Zapewne — trudne to jest zadanie, gdyż narusza „nietaktownie" pewien „system ustabilizowany" pojęć niby naukowych, a całkowicie oportunistyczno-politycznych w umysłach ruskich i polskich. W imię tego właśnie „systemu ustabilizowanego", na którym

oparły się oddawna różne t. zw. przekonania poli⸗tyczne, kombinacje i ambicje ludzkie, zwalczają nas tak zaciekle różni zwolennicy ukrainizmu. Dlatego rzuca się na nas wspomniany w poprzednim tomie Naszej Przyszłości warszawski „Biuletyn polsko⸗ukraiński“, nie szczędząc nam obelg, dobytych z za⸗pasu całkiem nowoczesnej kultury literacko⸗pole⸗micznej, jak np.: facecjonizm, papkinjada, korsar⸗stwo literackie, kleptomanja i t. p. Czego takie wy⸗buchy są dowodem?

Są dowodem i potwierdzeniem, że uderzyliśmy w najczulsze — ale oczywiście i najsłabsze — miej⸗sca starzejącego się systemu ustabilizowanego, z któ⸗rym dobrze było wielu ludziom po tej i tamtej stro⸗nie polsko⸗ukraińskiego kordonu. Wyrozumiewamy więc po ludzku zacięty opór, jaki stawia każdy świa⸗topogląd stary nowej, krytycznej idei. Wszak gro⸗my tego rodzaju ciskane bywają z reguły na każde⸗go, kto z nowym poglądem wystąpić się ośmieli. Spo⸗tykało to zawsze każdą nową inicjatywę i szkołę myślenia. Jakież to gromy i inwektywy spadały np. na historyczną szkołę krakowską i to z daleko po⸗ważniejszej, niż cytowany Biuletyn, strony! Kul⸗tura wyrażeń większą była oczywiście wówczas, niż panuje w dzisiejszych, sproletaryzowanych po⸗wszechnie stosunkach. Ale elementy ataku były te⸗same: najpierw śmiech i lekceważenie przy źle mas⸗kowanej złości, potem kurczowe wyszukiwanie drob⸗nych omyłek szczegółowych w enuncjacjach nowej szkoły, aby tą kazuistyką zatuszować istotę sprawy, potem powoływanie się na różne dotychczasowe lub dawne autorytety (które notabene danego pro⸗blemu nie rozwiązały), a wkońcu rozpętanie słownic⸗twa, równie soczystego, jak bezpłodnego. Novum w tej polityce stanowi tylko rzucenie przez Biuletyn na szalę argumentacji w kwestji polsko⸗ukraiń⸗

skiej dość dziwnego, niespotykanego dotąd w takich dyskusjach momentu: finansowo = bilansowego. Stwierdza mianowicie Biuletyn, że ma „kilkadziesiąt tysięcy zł. rocznego dochodu“, nie potrzebuje więc robić karjery na sprawie polsko-ukraińskiej, ale że zato Nasza Przyszłość nadaremnie „błagać go będzie o litość“.

Osobliwszy to system polemiki i argumentacji w sprawie polsko = ruskiej! Wynikałoby z niego ultra = modernistyczne urządzenie w zakresie literackiej polemiki przyszłości: każde z pism polemizujących ogłasza swój bilans i które z nich większe wykaże dochody, temu przyznaje się rację.

Prawdziwie po amerykańsku!

Bronią się więc jeszcze twierdze ukraińskiej legendy, wysilają się na sposoby, na jakie ich stać jeszcze, ale w tej Grenadzie zaraza — kręcenia się w kółko nad nierozwiązalnością problemu. Przy całej ich papierowej, drobiazgowo cytowanej erudycji, za trudne to dla nich zadanie. Rosja robi swoje, Czesi robią także swoje, Niemcy mają też własne, oryginalne, jak zwykle dalekosiężne, a cierpliwe plany, Ukraińcy — a raczej ukrainizatorscy politycy i działacze — też swoje robią, gdzie i jak mogą, wynajdując coraz nowsze bramy wypadowe do „restytucji“ zdobywczej coraz dalszych terytorjów w obrębie państwa polskiego, które za swą własność historyczną uważają i gdzie chrzczą pruskim systemem miejscową ludność na Ukraińców, podchodząc już pod Kraków, Lublin i Wilno, w czem słabość i naiwność polska wygodną stanowi dla nich drabinę — a zaplątani w swej ideologji ukraniści polscy wciąż jeszcze łudzą się, że idąc uparcie, bezkrytycznie wciąż tą samą drogą, wielkich dokonają rzeczy. A w dziwnej z tem sprzeczności stoi własne ich wyznanie o nierozwiązalności polsko-ukraińskie-

go problemu — jaskrawy dowód bankructwa błędnej idei! Rusinom zaś, których czapką, papką i solą usiłują przy sobie utrzymać za wszelką cenę, przeznaczają w rzeczywistości smutną rolę „politycznego atutu w ręku państwa polskiego“, bo przecież „nic inego z Ukraińcami zrobić nie można“ i Ukraina była przecież „zawsze tylko pewnym atutem w rękach królów polskich“.

Niema co mówić, zaszczytną rolę wyznaczają Ukraińcom ich adoratorzy! A więc z jednej strony pochlebstwa, cukierki i hasło braterskiej współpracy, nawet w imię wszelkiego historycznego absurdu — z drugiej zaś sponiewieranie Rusina do roli niewolnika, mającego służyć do rozgrywki polsko-rosyjskiej, czy jakiejkolwiek innej!

No, bracia Rusini — bo braćmi naszymi jesteście niewątpliwie z krwi i racji stanu, choć dziwnie to braterstwo pojmujecie — chyba w głębi ducha przyznacie, że więcej dla was zaszczytną jest twarda a szczera ideologja Naszej Przyszłości (naszej i waszej przyszłości!), choć chłoszcze was niemiłosiernie krytyką objektywizmu historycznego i bezwzględnem wydobywaniem na wierzch prawdy, niż słodko-łzawa a mglista w programie taktyka naszych polskich przeciwników, którzy popełniają grzech zezwalania wam na wszystko zło, co wymyślicie, nawet na krew i trupy, nawet na wszelkie postronne przeciw Polsce konspiracje, piszą gładko a uczenie pod waszem dyktandem, ale w rzeczywistości degradują was świadomie lub podświadomie tylko do roli bezwolnego „politycznego atutu“!

My całkiem inną chcemy wam w ręce dać rolę: współrzędnego czynnika twórczego w wielkim koncernie państwowym o troistym herbie, w którego zmartchwychwstanie mocno wierzymy, gdyż jest on w tej części kontynentu europejskiego konieczноś-

cią dziejową, geograficzną, polityczną, kulturalną i gospodarczą — i to nietylko koniecznością dla nas i dla was, ale i dla całej cywilizowanej Europy. Ale, Rusini, musicie oczywiście najpierw odrodzić się z klęsk swego czterokrotnego dramatu dziejowego, o którym wspomnieliśmy powyżej, a który wyrzucił was poza nawias historji i stłumił w was chwilowo zdolności państwowo-twórcze: najazd Mongołów, najazd kozactwa, zaraza ukrainizmu i karygodna, niepedagogiczna, antypolityczna chwiejność i mglistość polskiej polityki w stosunkach z wami. Dzisiaj nietylko nikt z was, ale sam djabeł nie zgadłby, czego właściwie ogół polski od Was chce i żąda? Bo że na tym punkcie zupełne panuje u nas bezhołowie i jakaś „taktyka podjazdowa" bez jasno wytkniętego, realnego celu, to pewna. A to wstyd...

I dlatego Nasza Przyszłość, wedle swego dawnego wyrażenia, toporem wali w tę beznadziejną, sztuczną budowlę polskiej i ruskiej taktyki na platformie ukranizmu, samobójczej i bez wyjścia dla obu stron, a która służy istotnie dzisiaj za atut i narzędzie różnym postronnym intrygom, a na miejscu tej szkodliwej fikcji stawia oczywistą prawdę: historycznego Rusina. Chcemy pomódz temu rdzennemu Rusinowi, aby zrzucił z siebie kozackie, moskiewskie i austrjackie kaftany, w które po kolei go ubierano i, przełamując w sobie szkodliwe fikcje i legendy, odbudował swą prawdę historyczną, nawiązał do szlachetnej tradycji i odrodził na tem swój światopogląd, który mu przywróci poczesną rolę wśród narodów Europy.

Łączy się to z całokształtem t. zw. polskiej polityki wschodniej, dość mglisto a romantycznie dziś jeszcze pojmowanej — raczej może tylko przeczuwanej. Piękną jest ona, o ile ją znamy, nawet porywająca. Ale my, z pod znaku Naszej Przyszłości,

fantomów gonić nie chcemy. Nam Drang nach Osten polski przedstawia się konkretnie w postaci sprawy ruskiej. Może w niej Polska kiedyś — prędzej czy później — odegrać pożądaną rolę, ale pod warun⸗kiem, że wzmocni w tym celu zawczasu swój pro⸗gram i swój potencjał polityczny. Słaba, tonąca we łzach i mgle, to znowu miotana nerwowymi po⸗drygami chwilowej energji Polska nic nie zrobi i każ⸗dą sprawę przegra. A jeżeli mocna Polska kiedykol⸗wiek na wschód pójdzie, na ziemie ruskie, to dla sprawy ruskiej wszystko wówczas zależeć będzie od tego, jakiego spotka tam Rusina? Jeżeli spotka tam dzisiejszego Ukraińca, na kozackiej psychice w dalszym ciągu hodowanego, przesiąkniętego błęd⸗ną tradycją, bezproduktywnem hajdamactwem i duchem negacji, to żadnej nie ulega wątpliwości, że Ukrainiec ten dostanie się tylko z pod moskiewskie⸗go pod polskie panowane i nic więcej. Bo zaiste, nic innego nie będzie można z nim zrobić! Przecież nie dozwoliłaby Polska, ani żadne inne państwo, na wznowienie się chronicznych buntów i rzezi, upra⸗wianych na Ukrainie przez kozackiego ducha w cią⸗ku kilku wieków, jako zjawisko chroniczne, stałe. A niepodobna byłoby również wydać tych ziem na pastwę wszelakich wichrów politycznych i socjal⸗nych, od „hetmańszczyzny“ w jej różnych przeja⸗wach, aż po selrobów, bolszewików ukraińskich i im podobnych, które wówczas hulać zaczęłyby na ste⸗powej swobodzie, tworząc z „Wielkiej Ukrainy“ wieczny wulkan na wschodzie Europy.

Aby tym smutnym ewentualnościom z polskiej i ruskiej strony módz zapobiedz i jakąś rozumną przyszłość zawczasu budować, musi z polskiej i ru⸗skiej strony powstać przedewszystkiem odpowied⸗nia, krytyczna szkoła naukowa, a w konsekwencji potem i polityczna, którąby miała śmiałość przepro⸗

wadzić gruntowną rewizję fikcji ukraińskiej w imię prawdy dziejowej i w imię głębiej i dalej sięgającego politycznego rozsądku. Jeżeli losy zdarzą, że polityka polska będzie wstanie zaingerować kiedyś na wschodzie, to musi spotkać się tam, jak i w obrębie swych dotychczasowych granic wschodnich, z gotowym typem historycznie i mentalnie odrodzonego Rusina, z którym można byłoby na serjo mówić i *na którym można byłoby polegać.* Bo dotąd niemasz wypadku, żeby Polak, najżyczliwszą nawet intencją natchniony, wyszedł kiedykolwiek dobrze na stosunku z Ukraińcem! I nic dziwnego: jeden krok naprzód, potem trzy kroki wstecz i nagły skok gdzieś w przepaść na prawo, czy na lewo — oto cała mentalność Ukraińca! A z takim typem ludzi niczego wogóle począć nie można i oni sami niczego na serjo zrobić ze sobą nie byliby wstanie, mimo najgłośniejszych patrjotycznych haseł i państwowej tęsknoty.

Dlatego, na podstawie długich lat doświadczenia, nietylko naszego, ale i poprzednich naszych i waszych pokoleń, kształcąc dziś sami w sobie bardzo trudną sztukę stopniowego, konsekwentnego rozwiązywania doniosłych zadań narodowych i państwowych na dalszą metę, mówimy wam w oczy, bracia Rusini, jasno, twardo, szczerze i uczciwie:

Porzućcie sztuczne, błędne, a w skutkach ujemne tradycje siczowego romantyzmu, nie naginajcie prawdy historycznej do politycznych celów, nie sądźcie, że legenda kozaczyny jest i może być tarczą ochronną dla waszego narodu. Stańcie na gruncie rzeczywistości dziejowej. Nie obawiajcie się jej, bo ona tylko może wam być najlepszą mistrzynią i wskaże wam racjonalne drogi myśli i dążeń narodowych. Zrzućcie wszelkie obce szaty, w które was kolejno przybierano z rozpaczy narodowej lub dla cudzych celów politycznych, robiąc z was bezwolne

narzędzie dla tych obcych celów i szczując was dlatego przeciw jedynemu na świecie narodowi, w którego rzetelnym interesie leży wasz byt i rozwój, to jest przeciw Polakom. Okażcie głębszy zmysł polityczny i niezbędną w waszem położeniu odwagę decyzji i, porzucając fałszywe bogi, cofnijcie wstecz koło waszej historji na właściwe, szlachetne, twórcze tory. Niech zmartwychwstanie historyczny naród ruski, jako współrzędny czynnik, zdolny do pozytywnej budowy własnego narodowego bytu i państwa w ramach koncernu o troistym herbie. Niech wzbudzi się wśród was samorzutny, potężny ruch, w imię prawdy dziejowej, który postawi sobie za cel wykazanie nam i światu, że jesteście do tego zdolni!

To wszystko, co możemy wam, bracia Rusini, dziś narazie powiedzieć. Nie pochlebiamy wam, nie dążymy do werbowania was za wszelką cenę, ale jasno i wyraźnie wzywamy was tylko, póki czas, do stanowczego nawrotu z całkiem błędnej drogi. Widzimy jasno, w czem leży główny błąd waszego współczesnego dramatu, który ujemnem swem działaniem wszystkie komórki mózgów waszych przeżera i wszelkie wasze pozytywne i słuszne usiłowania prawdziwego odrodzenia narodowego paraliżuje: w fałszywej legendzie krwawej genezy waszych dziejów nowożytnych. A takiej legendy nie powinien tolerować żaden, naprawdę cywilizowany naród. Chwała rozbójniczych czajek i skrwawionego noża hajdamackiego nie może być przenigdy chwałą narodową i ona właśnie wyrzuca was poza nawias historji i czyni z was karty do rozgrywki w obcem ręku. *Ihr glaubt zu schieben und Ihr werdet geschoben!* Zdaje się wam, że posuwacie naprzód dzieje i losy wasze, a tymczasem inni wami posuwają, jak pionkami na szachownicy i smutną rolę tę odgrywać

będziecie tak długo, dopóki nie zrzucicie z siebie piętna i charakteru „ukraińców“.

Inaczej być nie może. Bo nie o samą nomenklaturę tu chodzi, ale o wszystko to ujemne, niszczące dla was i dla innych, co nazwa „ukrainiec“ z przeszłości i obecnie ze sobą przynosi: piętno i przekleństwo wieczystych hajdamaków, wiecznie na służbie obcej, wiecznie przeciw tej służbie się buntujących, a w pomyślnych okazjach wykazujących światu niezdolność państwowo-twórczą.

Zbrodnię lub gorzej jeszcze, bo błąd polityczny — jak się to mówi — popełniają ci wszyscy, którzy was na tej nieszczęsnej drodze „ukraińskiej“ naprzód popychają. Jest to linja wygodna i najmniejszego oporu, która jednak w ostatecznym rezultacie ciągle was poza nawiasem historji utrzymuje i popycha was w objęcia najzgubniejszych dla was, najdzikszych sympatji i sojuszów — w myśl dobrze wykalkulowanych obcych interesów, wprost przeciwnych waszej i naszej racji stanu. Wspólni nasi wrogowie lepiej od was orjentują się w położeniu. Dobrze wiedzą, że osłabianie Polski przez popieranie ukrainizmu jest usuwaniem wam z pod nóg najrealniejszej obecnie i oddawna podstawy i możności waszego rozwoju. Bo zburzenie Polski, a choćby tylko jej osłabienie, nie byłoby waszem wzmocnieniem, ale ostateczną zgubą.

Bierzcie więc całą sprawę kozacko-ukraińską za to, czem ona była i jest w istocie: za pewien potężny, ale bądź co bądź tylko uboczny incydent w dziejach waszego narodu, który wtargnął w historję waszą z Dzikich Pól swego czasu, a zlikwidować się winien obecnie pod skalpelem objektywnej, rozumnej, w głąb sięgającej krytyki. Cały ten okres, sam przez się, nie przyniesie wam ujmy, o ile ockniecie się z jego narkozy i wyznaczycie mu właściwe miejsce

burzliwego incydentu, uzasadnionego różnymi warunkami dziejowymi. Takie okresy długotrwałych buntów, wojen i wynikłego stąd rewolucyjnego romantyzmu zdarzały się w historji niejednego narodu. Ale nie mogą trwać wiecznie, jeżeli naród nie ma wewnętrznie strawić się i zginąć. Nie łudźcie się! Wasze zdobycze społeczno-gospodarcze, wasze kooperatywy i „sojuze“, wasze „proświty“ i t. p. nic wam nie pomogą! Pierwsza lepsza zawierucha zmiecie je z powierzchni ziemi. Nie na tem, nie na „mrówczej pracy“ gospodarczej, choćby w wąsko-patrjotycznym wykonywanej porywie, polega odrodzenie narodu. Po każdej epoce burzliwego, rewolucyjnego romantyzmu, z całą jego specyficzną psychiką, taktyką, prasą i literaturą, przyjść musi renesans w duchu klasycyzmu i zdrowego rozsądku. Musicie więc odrodzić w was historycznego Rusina, z wszystkiemi naturalnemi konsekwencjami tego imienia, dostosowanego oczywiście do nowoczesnych stosunków i do jakiegoś pozytywnego, realnego programu narodowego i państwowego.

Dalsze zdobywanie i ukrainizowanie ziem obecnego państwa polskiego jest dla was absurdem, bo na to odpowiedzieć muszą państwo polskie i naród świadomem lub podświadomem zastosowaniem wobec was zasady divide et impera. A tymczasem ogromna większość wasza deprawuje się i ginie za obcym kordonem. Deprawuje się i asymiluje. Na nic nie zdadzą się wszelkie wysiłki emigracyjne. Nie łudźcie się. Nie róbcie błędnej a zabójczej dla was analogji między waszą obecną, a polską historją w czasie rozbiorów. Ówczesna emigracja nasza całkiem inne miała w kraju i w narodzie własnym i przez to także wobec obcych podstawy, niż wasze dzisiejsze grupy emigracyjne. Powstania nasze, a nawet konspiracje i zamachy przeciw rzeczy-

wiście krwawym najeźdźcom i tyranom i bezwzględnym niszczycielom polskości całkiem inne miały podstawy, całkiem inny charakter, niż działalność waszych dzisiejszych bojówek, idących po trupach najlepszych zwykle synów Polski i Rusi. Fałszywie wysnuta analogja łudzi już tylko was samych i zwodzi, bo świat dawno już się w niej zorjentował. A jeżeli was ktoś jeszcze zagranicą popiera, to przecież jasnem jest, że tylko dlatego, aby nam dokuczyć, a was wieść na zatracenie. Wszak wiecie doskonale, że ideą np. uniwersytetu ukraińskiego w Pradze czeskiej nie jest wasze dobro, ale coś całkiem innego. Tworzą tam z was filary pomostu czesko-rosyjskiego, aby rzucić go w sposobnej chwili przez Małopolskę Wschodnią, depcąc was niemiłosiernie i zamieniając na Małorosjan lub może jakichś nowych Czechorusinów. A wiecie dobrze, co to znaczy! Smutnie skończy się wówczas zarówno wasze ukrainizowanie, jak i polska zabawa w ukrainistykę...

Oto słowa prawdy. Macie poważne przed sobą zadanie: odtworzyć Ruś, narazie przynajmniej w umysłach, tendencjach, prasie, literaturze i w organizacjach społeczno-narodowych. Ruś, która budziłaby szacunek na świecie, czego kozacki ukrainizm nigdy nie osiągnie.

Stoicie przed wielką próbą dziejową. Właśnie teraz, w obecnej epoce szybkiej na świecie ewolucji stosunków każdy naród wystawiany bywa na takie próby. Od was rezultat zależy.

J. B.

DACHY PŁONĄ

POWIEŚĆ ZIEMIAŃSKA Z OSTATNIEJ DOBY

Posiedzenie Związku Ziemian w Kamienobrodzie.

W parę dni potem jechali obaj panowie Przybyłowscy bryczką do Kamienobrodu na posiedzenie ziemian, które miało się odbyć jeszcze w kwietniu, ale z powodu powołania na czas jakiś hrabiego Gaszyńca do Warszawy, gdzie zasiadał w różnych komisjach, zostało odłożone na dzień 23 maja. Droga dłużyła się jadącym, gdyż z powodu zupełnie zrujnowanego gościńca można było jechać tylko stępa, w ciągłej obawie, żeby bryczka nie rozleciała się w kawałki.

Stosunek między ojcem a synem był dość naprężony od pewnego czasu. Nie lubili przebywać sam na sam ze sobą. Ojciec czuł się niejako winny wobec syna, unikał jego wzroku, tak często teraz na nim spoczywającego. Przeczuwał w głębi duszy, że chłopak go odgadł, że wie, co się w nim dzieje i wstydzi się przed nim. Antoś, wychowany w miłości i poszanowaniu dla ojca, wstydził się również swego sądu, którym ojca sądził, a który może nieraz z jego oczu przebijał. W głębi zaś serca żarzyła jeszcze, tłumiona zawsze i spychana na samo dno, miłość do Juli, więc gdzieś, z podświadomości, wytryskała także i zazdrość męska wobec rodzonego ojca. Cierpiał chłopak i zacinał się w tłumionym bólu coraz bardziej. Przytem lękał się czegoś, co wisiało w powietrzu i groziło im wszystkim, a czego obawiał się, że

oddalić nie potrafi. W końcu czuł jakby rosnący ciężar odpowiedzialności na sobie. Zdawało mu się, że role zamieniają się, że ojciec przechodzi w stan nieodpowiedzialnej za siebie młodości, on zaś dojrzewa nagle i wszystkie obowiązki na siebie przyjąć musi.

Dlatego, chociaż unikał ojca, prosił go jednak, aby go tym razem wziął ze sobą na posiedzenie ziemian, czynił bowiem, co mógł, aby zapoznać się z każdą platformą pracy gospodarza-ziemianina. W tym celu też wtajemniczał się, prawie przemocą, we wszystkie interesa ojca, przekonywał się jednak ze smutkiem, że stan ich był niepewny i kłopotliwy. Pan Karol Przybyłowski uchronił się, mimo ciężkich bardzo lat, od długów. Działo się to dzięki jego zdrowemu rozsądkowi w administracji i oszczędnej gospodarce na roli, a w dużej mierze także dzięki zapobiegliwości i praktycznym zdolnościom w zakresie domowego gospodarstwa pani Aliny. Nie żyli nigdy nad stan, nie wyjeżdżali prawie z Iwanówki, nie mieli wielkich wymagań. Dom i gospodarstwo dostarczało im tego, czego do życia potrzebowali, a w kręgu najbliższej rodziny zamykały się ich nadzieje, ambicje i radości. Jednakowoż dwa ostatnie lata ciężkiego rolniczego kryzysu wyczerpały wszystkie ich zasoby. Nie było z czego pokrywać niedoborów, a kredytu już nie było można otrzymać. Tak więc, nie zaciągając nigdy długów, wpadli w niepłatności, gdyż nie mogli wypłacić się za towary, pobrane w miasteczku u żydów, a przedewszystkiem zalegali grubo z podatkami. Inspektor skarbowy, przyzwyczajony do punktualności pana Karola, nie mógł zrozumieć tej zmiany i nasyłał mu egzekutora za egzekutorem. Trzeba się było targować, borykać, łatać dziury. Obecnie, na przednówku, położenie pogorszyło się znacznie.

— Co zrobimy z wypłatą sobotnią, ojcze? — zapytał Antoś. — Już od dwóch tygodni nie wypłaciliśmy ani grosza, za całe sadzenie ziemniaków jeszcze dłużni jesteśmy, dziewczęta już sarkają i napewno nie przyjdą na drugi tydzień do roboty.

Po długiej chwili namysłu odpowiedział pan Karol:

— Będziemy musieli dziś sprzedać Bemciowi pszenicę z nowych zbiorów. Już od kilku dni pyta mnie o to, a trudno mi było się zdecydować, bo cenę strasznie daje marną. Ale jeśli nie mamy innego wyjścia...

— To chyba będzie jedyny sposób. Ale, czy ta dziura, tak załatana, nie wyjdzie większa jeszcze na przyszły rok i czy nie zabraknie nam wówczas znowu pieniędzy i więcej jeszcze?

— Będziemy musieli w tym roku w zimie zabrać się do parcelacji. Innej rady nie będzie. Broniłem się długo przed tą ostatecznością i poza tem, co sprzedałem na odbudowę gospodarstwa po wojnach, nie parcelowałem więcej. Ale teraz jesteśmy już do muru przyciśnięci.

— Czy ojciec nie sądzi, że dobrzeby było wziąć około 20 dziewcząt sezonowych? Moglibyśmy je zapłacić zbożem w jesieni, a w ten sposób zyskujemy robotnika stałego, na którego zapłacenie nie potrzeba wciąż uganiać się za gotówką.

— Zapewne, że z tego względu byłoby to może praktyczniejsze rozwiązanie sprawy, ale z drugiej strony trzeba wziąć pod uwagę, że robotnik sezonowy jest najdroższy, chociażby już tylko dlatego, że jest niewykorzystany we wszystkie dnie deszczowe.

Tak rozmawiali ze sobą rzeczowo, spokojnie. Antosia myśl pracowała nieustannie, starała się oświecić, szukała wyjścia dla zagadnień gospodarczych. Pan Karol mówił, tłumaczył, chętnie zdawał

na syna trochę ciężaru, ogarniało go bowiem już wielkie znużenie, a czasem, widząc swoją pracę, tak nikłym uwieńczoną rezultatem, ulegał nawet rozgo=ryczeniu. Pozatem pochłonęła go całkowicie sprawa uczucia. Poza Julą wydawało mu się wszystko mdłe, nikłe i niewarte wysiłku.

Przed Domem Ziemian zjeżdżała się już brać zie=miańska. Ponieważ przewodniczący położył silny na=cisk na dzisiejsze zebranie, jawili się wszyscy, prócz pana Wyszymirskiego i młodszego Kostrzyckiego. Z pań była pani Ohorska i Lila Kostrzycka, która przyjechała z ojcem swym, panem Wincentym. Był także administrator hrabiego Gaszyńca, dzielny pan Balke, chłop, jak tur, silnej budowy i plenipotent księcia, pan Rudołowski. W sali obrad panował gwar, jak zwyczajnie przed posiedzeniem. Sąsiedzi witali się i nawzajem opowiadali sobie kłopoty lub dzielili nadziejami na dobre urodzaje.

— A wiecie panowie, że ta susza już w istną klę=skę przechodzi — perorował, jak zwykle z wielkiem ożywieniem, pan Kazimierz Ładoś. — Wypaliło mi już pastwiska. Jeśli w maju wyszczypią wszystko krowy, co będzie potem?

— Koniczyny bardzo marne w tym roku, źle bę=dzie z paszą — potakiwał pan Milczkowski.

— Ale pszenica zato, panie dziu, jak złoto, panie dziu — tubą wwiercał się potężny głos pana Balkego.

— U hrabiego zawsze pięknie — zauważyła kwa=śno pani Ohorska.

— Ależ pani dziedziczko, wszędzie tak samo. Przejeżdżałem przez Wiszenkę, panie dziu, łan za Borkiem szacuję na szesnaście korcy, panie dziu.

— A co, podobała się panu moja pszeniczka? — z szerokim uśmiechem zadowolenia wołał pan Ła=doś. — Szesnaście korcy, ani ziarka mniej nie zbio=

rę, o zakład idę. Co azotniak, to azotniak, panowie, na tem oszczędzać nie można!

— Czyś ty zwarjował, Kaziu, kto dziś nawozy pakuje? — jowialnie trochę upominał pan Przybyłowski. — Choćbyś i szesnaście korcy zebrał, a życzę ci jeszcze więcej, jeśli zaczniesz rachować, to przy dzisiejszej cenie pszenicy nie może ci się nakład wrócić.

— Zawsze to mówiłam — odkrywając dziąsła sączyła pani Ohorska.

— Daj mi spokój z tymi rachunkami, człowieku! Jeślibym zaczął kalkulować, to musiałbym wogóle wszystko rzucić, bo nic się nie kalkuluje.

— Cietrzewie grały wściekle w tym roku — opowiadał pod oknem pan Kostrzycki senior panu Rudołowskiemu. — Jeden siadł mi przed budką na dziesięć kroków. No, nie będę chyba strzelał do takiego! Gra i gra, puszy się, już mi tego było dosyć, ułamałem gałązkę, chrząknąłem, a on nic, gra dalej. Raptem, jakby coś zmiarkował, zerwał się, odleciał i siadł na jakieś dwieście kroków. A tuś mi, bracie, dopiero na strzał przyszedł! Celuję przez lunetę — paf! Jak siedział, z rozpostartemi skrzydłami, tak i został na ziemi. — Szerokimi ruchami obrazował swoje opowiadanie, tak, że sąsiedzi szeptali już, wokoło: „Wicek znowu poluje“.

— Proszę, proszę — przytakiwał pan Rudołowski, zaskoczony tym potokiem wymowy.

— No, strzelam nieźle. Pan wie dobrze, jak ja strzelam! Onegdaj zabiłem kulą w locie wronę. To mi nie nowina. A na wiosnę...

Hrabia Gaszyniec i książę Kamienobrodzki, o czemś żywo rozmawiając, weszli do sali. Uścisnąwszy każdemu rękę, zajął hrabia miejsce prezydjalne u góry stołu i natychmiast otworzył posiedzenie. Gwar ucichł, rozległ się przykry hałas szurania krze-

słami po podłodze, wnet i to jednak ustało. Wszyscy siedzieli wokoło, uważnie i z namaszczeniem zabierając się do obrad. Odczytano protokół i hrabia Gaszyniec głos zabrał. Ponieważ chciał dodać więcej powagi temu, co mówił, powstał, acz zwykle w tem gronie osób nie zadawał sobie tego trudu. Wyglądał szlachetnie i poważnie. Jego siwa broda, przycięta równo, uzupełniała piękną twarz, dodając jej namaszczenia, a niebieskie, głęboko osadzone oczy patrzyły przed siebie spokojnie, lecz jakby smutno.

— Czcigodne panie i panowie! — zaczął prawie cicho. — Pozwoliłem sobie poprosić państwa dzisiaj nietylko celem omówienia kilku spraw bieżących, ale również, aby wspólnie zrobić pewnego rodzaju rachunek sumienia i obrać na przyszłość kierunek pracy. Cieszę się niepomiernie, żeście się państwo tak licznie zjechali. Dowodzi to niezbicie, że odczuwacie, na równi zemną, powagę chwili i potrzebę zastanowienia się nad nią. Cieszy mnie, powtarzam raz jeszcze, ten zjazd liczny, gdyż dodaje mi osobiście bodźca do działania. Jako przez panów obrany przewodniczący, nie uderzyłem w próżnię, czuję w was oddźwięk, czuję oparcie. Wzmocniony duchowo tą waszą solidarnością, którąście teraz objawili, a za którą wam serdecznie dziękuję, przystępuję do rozpatrywania naszego obecnego położenia. Nie będę mówił o kryzysie rolniczym, ani o jego przyczynach, za dalekoby nas to zawiodło. Dla jasności obrazu ograniczę się tylko do stwierdzenia raz jeszcze niektórych rzeczy, ogólnie znanych, w celu wysnucia na końcu odpowiednich wniosków i pełen jestem nadziei, że obrady nasze dzisiejsze przyniosą zadawalniające rezultaty.

— Nasze znaczenie materjalne w społeczeństwie skurczyło się do bardzo małych rozmiarów. Parę lat temu byliśmy jeszcze potęgą finansową. Liczono się

z nami, jako z silnymi i doskonałymi konsumentami. Jeśli auto ziemianina zatrzymywało się przed sklepem w mieście, zdarzało się, iż kupiec, uradowany, wychodził na jego spotkanie aż na ulicę i witał swego najlepszego klienta. Za tę usłużność w niejednym wypadku drogo musiał zapłacić, bo dotychczas nie odebrał swojej należności. Spadliśmy, nie z naszej winy, do rzędu marnych odbiorców, bo nie kupujemy i nie dajemy już zarabiać. Ci, którym imponowały nasze pieniądze, mają nas teraz za nic i przypisują zwykle upadek nasz finansowy życiu nad stan. My wiemy, że tak nie jest. Tu w cztery oczy możemy sobie powiedzieć każdą prawdę, a jednak nie przyznamy słuszności tym zarzutom. Wydawaliśmy dużo, ale ulegaliśmy tylko ogólnej psychozie. Żyli tak samo, wydając dużo, wszyscy: kupcy i przemysłowcy, lekarze i adwokaci, wszyscy, którym pieniądze płynęły przez ręce. Nie można było od nas wymagać cnót wyjątkowych. Chociaż jest tam ten i ów wśród nas, który stracił majątek na życiu wystawnem, ale są to nieliczne wyjątki, które w każdej warstwie społecznej znaleźć się mogą. To tylko jest przykre, że ci panowie czynili to zwykle dosyć hałaśliwie, więc w oczach opinji publicznej mnożyły się zawsze ich postacie i urastały do liczby ogółu. My wiemy, że finansowo zachwiały nas raczej inwestycje kosztowne i nierentujące się, w okresie radosnej twórczości, budowy i odbudowy warsztatów. Wszak my tu na wschodzie mieliśmy niejednokrotnie w osiemdziesięciu procentach wojną zniszczone majątki i nie otrzymaliśmy żadnych odszkodowań. Zaciągaliśmy więc długi o nieproporcjonalnie wysokiej stopie procentowej. Dług, który przy dużej cenie ziemi i wielkich przychodach nie był zbytnim ciężarem, teraz, wobec spadku wartości ziemi i jej rentowności, stał się dla majątku grobo-

wym kamieniem. Materjalnie więc stoimy bardzo źle. Nie liczą się z nami, a władze irytują się, że nie mogą od nas wyciągnąć nałożonych podatków.

— Jakie jest zaś nasze znaczenie moralne w społeczeństwie? Cofnijmy się myślą trochę wstecz. Od czasu powstań i walk o niepodległość ojczyzny, które chlubną kartę stanowią w historji szlachty, praca nasza obywatelska pod zaborami była zawsze wydatna, na każdem polu, czy literatury, czy polityki, czy rozwoju gospodarstwa. Wszędzie świecili, jako jasne gwiazdy, przedstawiciele szlachty, *nasi ludzie*. W domach naszych przechowaliśmy święcie tradycję, cześć i miłość ojczyzny. Krzewiliśmy ją wokoło wśród ludu. A gdy zabrzmiał głos trąby bojowej nad światem i poruszył wszystkie ludy, my rzuciliśmy się do broni, pełni wiary i otuchy w szczęśliwy jej koniec. To szlachcic podniósł wysoko sztandar legjonów i pogarnęła się do wodza brać nasza licznie. Przelewaliśmy krew naszą ochotnie za przyszłą wolność. W chwili grozy, gdy miecz wroga szczerbił się o bramy stolicy, stanęliśmy wszyscy, jak jeden mąż, do apelu, pod broń. Kto mógł, kto nie mógł, ochotnie składał daninę majątkową. Lecz z chwilą odzyskania wolnej Ojczyzny karta naszego znaczenia moralnego odwraca się nagle. Nowi ludzie, nowe siły chwytają ster w swe ręce, a my — czy to kwietyzm jakiś nas ogarnął? — zapadliśmy w nasze siedziby wiejskie i zamilkli. Silna fala demokratyczna, prąc naprzód, dała wszystkim równouprawnie, ba, przez pewną gorliwość obdarzyła sympatją właśnie dotychczas mniej uprzywilejowanych. Czyśmy się o to urazili? Zamiast iść ławą naprzód wraz z innymi, zamknęliśmy się w naszych warsztatach, daleko od ruchu ogólnego, pracowaliśmy zawzięcie, uparcie, na swoich skrawkach ziemi. Zapewne, winić nas nie można, żeśmy wysta-

wiali sobie, iż w ten sposób pracujemy najlepiej, najkorzystniej dla siebie i ogółu, ale obecnie okazuje się, jak dalece pomyliliśmy się. Nasi najtężsi ludzie, najzdolniejsze głowy, pilnowały zacisza domowego, a *państwo budowało się prawie bez nas!*

— Nazwiska rodowe, tytuł szlachcica w naszem społeczeństwie nic dziś nie znaczą, samorzutnie przyjęliśmy nazwę ziemian. Nasza kultura salonowa, wykwintne formy, są dziś niestety nikomu niepotrzebne... Chowamy je narazie pieczołowicie wśród siebie samych.

— Zejdźmy z koturnów, pora ku temu! Nie jako szlachta już, ale jako warstwa ziemian, bierzmy się do dzieła, bo nam grozi zagłada. Zły płatnik podatkowy, słaby obywatel, niepotrzebny, nie działający, nie pracujący — zginie! Odetną go od zdrowego pnia.

— Chwila jest poważna. Dachy naszych starych, drogich siedzib płoną nam nad głowami i jeśli nie zabierzemy się do gaszenia pożaru z całą rozwagą i wytężoną energją, to wkrótce wywędrujemy ze zgliszcz, unosząc majątek w węzełku na plecach. Ziemianie, nie dopuścimy do tego i dobrowolnie nie oddamy pługa! Póki żyjemy jeszcze i ruszamy się, to nie sprzeniewierzymy się pamięci naszych przodków i ukochaniu ziemi...

Głos załamał się nieco hrabiemu Gaszyńcowi. Odchrząknął, napił się wody. Nikt ciszy nie przerwał. Słuchano go w skupieniu, z zapartym tchem.

— A więc, panowie — mówił dalej — trzeba wzmocnić nasze znaczenie, naszą wagę w społeczeństwie. W nas samych znajdźmy bodziec do czynu, nikt nam nie pomoże i na nikogo liczyć nie będziemy. Pierwszym krokiem do odzyskania wagi moralnej będzie wzmocnienie naszej własnej organizacji ziemiańskiej, abyśmy się stali siłą, z którą liczyć się

należy. Płaćmy regularnie wkładki, bierzmy zawsze udział w zebraniach, nie lekceważmy tej sprawy. Jeśli kto mówi czasem: „co mi tam powiedzą, szkoda czasu jeździć na zebrania“, ten myli się bardzo. Powinien rozumieć obowiązek żołnierza, który wywołany staje do przeglądu. Choć jest pionkiem tylko, niemniej jest niezbędny w ogólnej liczbie. Proszę to zrozumieć, że prezydjum nasze całkiem inaczej działaćby mogło, jeśliby oparte było o czynne zainteresowanie członków. Tu chodzi o stworzenie podstaw dla naszych przedstawicieli u góry. Z nas ma iść siła dynamiczna, która ich do większego działania pobudzi. Pozatem musimy starać się o umieszczanie naszych delegatów w każdej instytucji społecznej. Musimy pracować społecznie na terenie naszego województwa, naszego powiatu i każdej naszej poszczególnej wioski.

— O wiele trudniej będzie nam wzmódz nasze znaczenie ekonomiczne. Nad tem będziemy się jeszcze szereg razy głęboko zastanawiali. Oczywiście, mówić możemy tylko o pracy w małej komórce organicznej, jaką jest nasz powiat. Opracowujemy kilka projektów, które w miarę dojrzewania przedłożymy panom do rozpatrzenia. Na razie mamy jeden gotowy i pan Balke zreferuje go dzisiaj. Ale zanim się to stanie, proszę, aby szanowni państwo zechcieli sami wypowiedzieć się i z rozważań, które tu przedstawiłem, wysnuli konkretne wnioski i wskazania praktyczne.

Usiadł. Potoczył wzrokiem po obecnych, czujnie i bacznie obejmując obowiązki przewodniczącego. Pan Przybyłowski zażądał głosu.

— Wywody pana prezesa były bardzo ciekawe, pobudzają one do głębszego zastanawiania się nad przyczynami obecnego kryzysu ziemiańskiego. A poznawanie tych przyczyn ułatwi nam odnalezienie

właściwych dróg, które wyprowadzić nas mogą w ja=śniejszą przyszłość. Sądzę, że każdy z nas samodziel=nie powinien zastanawiać się i dróg tych szukać, a na zjazdach dzielić się swojemi spostrzeżeniami i my=ślami z innymi. Stoimy na przełomie, chwila jest nad=zwyczaj ważka, to też wdzięczni jesteśmy prezeso=wi, że nami wstrząsnął i ostrzegł nas. Od tego, w ja=kim kierunku pójdą nasze kroki obecne, zależy nasz los jako klasy posiadającej i wpływ mającej. Dlate=go za jeden z najważniejszych momentów wspólnej pracy uważam częste zjeżdżanie się i wymianę myśli.

Pan Milczkowski: Do tego samego zdania i ja się przychylam. Każdy z nas powinien uważać przyjazd na zebranie za poważny obowiązek, od którego uchy=lić się nie wolno. Ponieważ jednak tak trudno w nas wpoić to poczucie solidarności, powinniśmy sami so=bie nałożyć sankcje. Proponuję karę pieniężną dla te=go, kto nie usprawiedliwi swej nieobecności na ze=braniu.

Pan Ładoś: Przyklaskuję temu projektowi. W tak poważnej chwili nie możemy się rozpraszać. Musi=my się skupić, związać mocniej, inaczej zginiemy niechybnie i, jak obrazowo powiedział nasz przewod=niczący w swej świetnej przemowie, „Dachy spłoną nad naszemi głowami“. Idąc dalej, jak pan Milcz=kowski, proponuję jeszcze inne sankcje dla tych, którzy nie wpłacą wkładek mimo kilkakrotnego upo=mnienia: napiętnowanie publiczne na naszem zebra=niu i wykluczenie z naszego grona.

Książę Kamienobrodzki: Uważam ten projekt za zbyt daleko idący.

Pan Domecki: A ja się pod nim podpisuję. Skoro dotychczas nie umieliśmy okazać dojrzałości i dosta=tecznego wyrobienia społecznego, musimy dobro=wolnie iść pod jakiś bat. Bez bata u nas ani rusz.

Pan Kostrzycki mruczy do sąsiada: Ho, ho, zaga=

łopował się braciszek, widać, że sam do bata przy=wykł!

Pan Milczkowski: Kto wykonuje swoje obowiąz=ki, ten kar obawiać się nie potrzebuje.

Pan Przybyłowski: Dajcie pokój, panowie, ten wniosek jest nie do przyjęcia.

Pan Milczkowski: Zawsze jesteśmy za miękcy. W ostatniej chwili ustępujemy, nie umiemy ugiąć karku pod żelazne jarzmo dyscypliny.

Pan Kostrzycki: Uginaj go bratku sam!

Pan Domecki: Bata nam trzeba, bata!

Pan Kostrzycki: Do djabła z batem, protestuję!

Dyskusja zaczęła przybierać ton ostry. Hrabia Gaszyniec zaniepokoił się, bo zależało mu bardzo na rzeczowem i poważnem roztrząsaniu sprawy. To też, widząc zbliżającą się chmurę, zażegnał ją odrazu, wy=lewając trochę oliwy na rozkołysane fale.

— Sądzę, że w naszem kółku o sankcjach mówić nie potrzebujemy. Jesteśmy dziś nieomal w komple=cie i zdaje mi się, że rozumiemy wszyscy potrzebę solidarności. O ile zaś dotychczas ktoś z pośród nas nie stosował się jeszcze do jej zasad w zupełności, po dzisiejszem posiedzeniu, które nazwałem niejako rachunkiem sumienia, na pewno, zobaczywszy nie=uniknioną konieczność współpracy w Kole, weźmie wobec siebie samego ten obowiązek na swe barki. Własne jego sumienie będzie mu sędzią i rozkazo=dawcą, wobec zaś tak poważnego autorytetu niczem będą nasze zewnętrzne sankcje, poniżające godność i honor ziemianina

— Brawo, brawo! — odezwały się głosy. — Aprobujemy, zgadzamy się! Dobrze, mądrze powie=dziane!

— Zatem uważam sprawę tę za załatwioną— cią=gnął dalej hrabia Gaszyniec — i opierając się na wy=sokiem poczuciu honoru i obowiązkowości szano=

wnych państwa, liczę już odtąd na zebrania, tak licznie obesłane, jak jest niem obecne i na kasę Koła, wypełnioną punktualnie wkładkami. Przystępujemy teraz do wniosku, przedkładanego przez prezydjum wspólnie z panem Balke. Jest to narazie projekt w dość luźnych zarysach, którego opracowaniem w szczegółach zająłby się przez panów obrany komitet wykonawczy, o ile w zasadzie wniosek zostanie uchwalony.

— W myśl wypowiedzianych powyżej zasad, że należy się skupić organicznie i wzmóc materjalnie, projekt ten ma obydwa cele na oku. Może być doskonałem polem do wyćwiczenia naszej solidarności, oraz może nam przynieść wybitne korzyści materjalne, a uwzględnia także współpracę z małorolnymi. Po długiej i głębokiej rozwadze, która gałęź produkcji jest u nas najżywotniejsza i którą wobec tego najbardziej popierać należy, doszliśmy do przekonania, że jest nią produkcja mleczna, a to dlatego, że przynosi nam stałą gotówkę, perjodycznie, przez cały rok, stanowi więc w naszych gospodarstwach ogromną pomoc. Narazie jednak panuje u nas jeszcze całkowity chaos w zbywaniu tego produktu. Przeważnie skup mleka spoczywa w ręku pachciarzy — żydów. Niestety i w przyszłości nie będziemy mogli ich wyrugować zupełnie, gdyż stracilibyśmy odbiorcę poważnego w ludności żydowskiej miałych miasteczek, używającej tylko mleka koszernego. Chodzi jednak o wyrwanie reszty produkcji z rąk pachciarzy i o możliwe ujednostajnienie ceny. Ci, co mieszkają bliżej Kamienobrodu, sprzedają mleko o wiele drożej, niż ci, co mieszkają w odległości kilkunastu kilometrów. Różnica zaś powinna równać się tylko kosztom transportu. W samem miasteczku niezdrowa konkurencja wzajemna obniża ceny. Chodzi zatem o założenie spółki mleczarskiej, która objęłaby cały

powiat i zakupiłaby wszystko mleko u ziemian, a mo≈żliwie także produkcję chłopską na sprzedaż (współ≈pracę z małorolnymi uważam za rzecz ogromnie wa≈żną), wydzieliłaby i przeznaczyła kontyngent na mleko koszerne. Resztę sprowadzanoby do centrali w Kamienobrodzie, gdzie przeznaczonoby część na sprzedaż mleka, a część przetwarzałoby się w mle≈czarni związkowej. Techniczną stronę i formalną za≈łożenia spółki oraz sposób jej działania przedstawi w ogólnych zarysach pan Balke, któremu teraz głos oddaję.

Pan Balke wyprostował się w całej swojej okaza≈łości, chrząknął i przemówił stentorowo:

— Więc, panie dziu, zaczynam. Spółka mleczar≈ska, zawiązać się mająca w Kamienobrodzie na za≈sadach...

Przedstawił proponowaną wysokość udziałów, zbezpieczenia, kredyty, które można uzyskać na kup≈no odpowiednich maszyn, które są stosunkowo dość znaczne, koszt kupna lub wynajmu budynku,. który przypadkowo jest nawet do nabycia w Kamienobro≈dzie i odpowiadałby celowi. Spółka miałaby przera≈biać pełne mleko, gdyż prócz masła, wyrabiałaby i sery, oraz starałaby się w miarę możności o spożyt≈kowanie mleka chudego. Przedstawił kalkulację ce≈ny, jaką wszyscy wówczas osiągnąćby mogli, sposób dowozu i t. d.

Projekt zredagowany był jasno, przejrzyście, ko≈rzyści, wynikające z niego, bezsprzeczne, a trudności założenia niezbyt znowu wielkie. Pan Balke kilka ra≈zy dodał swoje ulubione „panie dziu“ i uroczyście oznajmił:

— Otóż tak się przedstawia projekt w zarysie, panie dziu. Skończyłem. — I usiadł sztywnie, jakby po złożeniu raportu.

Hrabia Gaszyniec spojrzał po obecnych. Narazie

panowała cisza. Wszyscy robili wrażenie olśnionych lub też i przerażonych tak śmiałą i daleko idącą pro≠pozycją.

— Proszę bardzo, aby panowie zechcieli wypo≠wiedzieć się co do projektu w zasadzie i swoje po≠stulaty wyrazili, aby komitet wiedział, w jakim kie≠runku miałby szczegółowy projekt ułożyć.

Pan Ładoś, jak zwykle gorączka i entuzjasta, za≠brał głos pierwszy.

— Projekt wspaniały, tego nam było potrzeba! Widzę tu wielkie korzyści materjalne, a i moralne także. Spółka da nam pole do solidarnej pracy, do skupienia się, jak powiedział przewodniczący, nabie≠rzemy wagi w społeczeństwie. Stworzymy w ten spo≠sób pewien kartel sprzedaży nabiału, działający na terenie powiatu i z którym wszyscy liczyć się będą musieli. Przyklaskuję projektowi, zgłaszam odrazu dwa udziały i całą moją produkcję mleczną, a Icka wylewam na pysk z folwarku! — Oczy mu błyszcza≠ły i gestykulował żywo.

W tej chwili posypały się już i inne głosy.

Pan Przybyłowski mówił rozważnie i rzeczowo:

— Uznaję, że spółka miałaby wielkie znaczenie pod względem moralnym, jako pierwszy, praktyczny krok w kierunku zrzeszenia się i współpracy z ma≠łorolnymi i wielkie znaczenie materjalne, ale widzę ogromne, piętrzące się trudności w jej założeniu. Je≠śli miałaby osiągnąć swój cel, musiałaby objąć w każ≠dym razie wszystkich ziemian w powiecie, a jeśli na≠wet wszyscy obecni przystąpią do spółki, to Jaś Wy≠szymirski zostanie jednak zawsze ze swoim Katzem i żadna siła nie zmusi go do rozstania się z nim, a roz≠porządza bardzo poważną ilością mleka.

— Z jednym opornym liczyć się nie można — wtrącił pan Kazimierz.

— Co zaś do strony materjalnej — ciągnął dalej

pan Karol — obawiam się, że ziemianie są dziś tak wyczerpani gotówkowo, że nie zechcą, a może i nie potrafią zebrać odpowiedniej ilości udziałów.

Pan Rudołowski, plenipotent księcia, w dłuższym wywodzie wykazał korzyści spółki, żądał tylko bacznej uwagi na zbyt produktów mleczarskich i zawiązanie odpowiednich umów ze spółką krajową. Porozumiawszy się z księciem półgłosem, zadeklarował 10 udziałów.

Pan Kostrzycki, opanowany stale duchem przekory, zawołał żywo:

— Poco mi spółki? Przez tyle lat pracowałem bez spółek żadnych... — urwał, bo Lila obok pociągnęła go mocno za rękaw. — Co?—pochylił się ku niej zły.

— Czemu się papa wyrywa? — gromiła córka. — Nas to przecie nie dotyczy, mamy folwark wydzierżawiony, a z tych kilku krów, które mamy na własny użytek, mleka nie sprzedajemy.

— Prawda, masz słusznoć, ale nie szkodzi, że im to powiedziałem. Niech się Michałowi nie zdaje, że może każdego na pasku wodzić.

— Gdyby to byli trochę papę na pasku prowadzili dawniej — mówiła twardo Lila — byłoby może lepiej.

— Eh, smarkata, nie mięszaj się... — burknął, ale spojrzawszy w jej twarz chłodną i opanowaną, ucichł. Wszyscy w domu poddawali się od jakiegoś czasu spokojnej, acz surowej ręce Lili. Ona jedna utrzymywała w domu ład i ratowała resztki fortuny.

Pani Ohorska sączyła teraz wolno przez zęby, nie rozchylając ich prawie:

— Spółka sama w sobie ma rację bytu i byłaby, dla nas zwłaszcza, zamieszkałych dalej od miasta, korzystną, ale zdaje mi się, że panowie chcą odrazu postawić mleczarnię na zbyt wysokim poziomie, a to koszt będzie za wielki i ryzyko także. Radzę ograni-

czyć sumę i wysokość udziałów i zmniejszyć narazie projektowane urządzenie mleczarni. Ja sama zgłaszam jeden udział, nie stać mnie bowiem na więcej, a powtóre moje krowy mało dają mleka, będę więc tylko w niedużej części korzystać ze spółki.

Pan Domecki podniósł rękę do ust, aby nie zdradzić się ze śmiechem, pan Milczkowski zaś żywo odpowiedział ciotce:

— Mleczarnia, aby mogła przynieść odpowiedni dochód, musi być odrazu tak postawiona, aby przerobić całą ilość mleka dostarczanego, a więc musi posiadać odpowiednią ilość maszyn. Do rowu chyba mleka wylewać nie możemy. Jestem zatem, aby spółkę zawiązać z kapitałem, proponowanym przez prezydjum. Uważam, że będę miał wielką korzyść, gdyż cena mleka podniesie się dla mnie odrazu o parę groszy, a równocześnie pozbędę się pachciarza, który kradnie, co się da, na folwarku. Krów wprawdzie mam niedużo, bo musiałem sprzedać kilka — pan Domecki w tem miejscu skinął porozumiewawczo głową — jednak przy odpowiedniem odżywianiu stan mleka podniósł się znacznie. Deklaruję więc dwa udziały.

Pani Ohorska obróciła się wolno i popatrzyła na niego zdumiona.

— Widzę, że cię stać, Jerzy, bardzo się z tego cieszę. Mnie nie stać na dwa udziały, najwyżej na jeden — powiedziała z przekąsem.

Dyskusja toczyła się dalej ożywiona, wszyscy teraz wypowiadali swoje zdanie. Przeważnie projekt podobał się; ci, co byli mu przeciwni, ulegali powoli, dając się brać zapałowi ogólnemu. Zgłoszono tylko pewne poprawki, wyrażono pewne postulaty i ostatecznie zadeklarowano taką ilość udziałów, że zawiązanie spółki nie ulegało już żadnej wątpliwości.

Na wniosek zarządu wybrano komitet trzech, złożony z pana Balkego, Rudołowskiego i Milczkowskiego, którzy mieli opracować bliższe szczegóły, nawiązać pertraktacje i zwołać posiedzenie udziałowców, konstytuujące spółkę.

Na zakończenie zabrał głos książę Stanisław. Prawił gładko i kwieciście, a podkreślał słowa gestem królewskim.

— Reasumując to, co tu moi czcigodni przedmówcy powiedzieć raczyli, stwierdzam, że cel dzisiejszego posiedzenia został całkowicie osiągnięty. Przezacny przewodniczący wstrząsnął naszem sumieniem społecznem. Zobaczyliśmy jasno błędy naszego dotychczasowego postępowania i uznając słuszność jego wywodów, postanowiliśmy pracować w kierunku wzmożenia naszego znaczenia w społeczeństwie pod względem moralnym i materjalnym. Dla osiągnięcia pierwszego celu postanowiliśmy poprzeć energiczniej własną organizację przez płacenie punktualnie wkładek, branie czynnego udziału w zjazdach, oraz przez popieranie wszelkich rozsądnych akcji społecznych i rządowych. Dla osiągnięcia celu drugiego, to znaczy podniesienia materjalnego, akceptujemy wszyscy projekt, tak piękny i praktyczny, przedłożony nam przez prezydjum i wybitnego handlowca, pana dyrektora Balkego. Spółka mleczarska zawiązuje się. Przyniesie ona nam bezpośrednio korzyści materjalne, a pośrednio wzmoże naszą solidarność, nauczy nas wspólnej pracy, która musi skupić wszystkich w jednym, poważnym celu. Zespólmy, panowie, siły i ruszajmy karnie w szeregu pod sztandarem, który wódz nasz, czcigodny przewodniczący, na przedzie niesie. A dla zagrzania ducha odczytajmy sobie dziś hasło, na sztandarze naszym wypisane: Utrzymamy się na ziemi!

Powiedział to głośno i dobitnie i urwał z zawie-

szoną w powietrzu ręką, jakby na ten sztandar wska-zywał.

Wrażenie było piorunujące. Zgromadzeni zerwali się z krzeseł, gromko wołając: Nie damy ziemi! Utrzymamy się, utrzymamy się! Pan Kazimierz pół-głosem zaczął już nucić rotę, ale zaginęła w grzmocie oklasków i ogólnej wrzawie.

Książe Stanisław wytworną ręką zrobił okrągły ruch, jakby chciał komuś przedstawić wszystkich ze-branych i pochylił swój piękny, szlachetny profil.

Żyto kwitnie w Iwanówce.

Przez dwa lub trzy tygodnie po owym próbnym podoju w Iwanówce, zakończonym tak niespodzie-wanie dla Julji, szef i praktykantka nie rozmawiali ze sobą o niczem innem, jak tylko o sprawach czysto gospodarczych. Jula była po brzegi wypełniona no-wem uczuciem, nieznanem jej dotychczas. Zamyka-ła je w sercu, jak skarb, obnosiła ze sobą, jak drogo-cenną relikwię. Z radosnem i głębokiem wzrusze-niem patrzała na pana Karola i oczekiwała dalszego potwierdzenia jego wzajemności. Czasem, jak igła, przeszyło ją zwątpienie; był teraz taki spokojny, opa-nowany, unikał jej. Czasem tylko wzrok go zdradzał i wówczas uśmiechała się w duchu radośnie: a je-dnak! — i wysyłała mu promieniem magnetycznym gorące słowa: „twoja jestem, kocham cię!“ I bywa-ła wówczas wesoła, swobodna, pewna siebie i pory-wająca. Pan Karol, bardziej świadom ciężkiej odpo-wiedzialności, wahał się jeszcze, próbował walczyć, unikać.

Któregoś dnia, a było to już w czerwcu, poszli oboje obejrzeć przerywkę buraków. Godzina była popołudniowa, przeszli milcząc aleję lipową, wiodą-

cą w pole i zanurzyli się wąską ścieżką w ogromny łan żyta, leżący tuż za ogrodem. Żyto miało się ku kwiatowi, wysokie i strzeliste było jak las, kolebało się z dwóch stron i muskało kłosami głowy przechodniów. Jula szła wolno naprzód, poddana cała dziwnemu uczuciu: „On i ja, zgubieni w szumiącem morzu żyta"... I nagle posłyszała za sobą namiętny szept:

— Kocham panią...

Drgnęła, lecz szła dalej, czując znowu na sobie jego palący wzrok.

— Kocham panią — powtórzył raz jeszcze ochrypłym, zduszonym głosem.

Odwróciła się z uśmiechem radosnym. Czekała. Chwycił ją za ręce w przegubach, przycisnął, objął mocno ramieniem i wpił się w jej usta. A potem nie wypuszczał już, tylko całował w oczy, w szyję, w odkryte ramiona, bez końca, bez pamięci. Poddawała mu się z rozkoszą i radością, ale po chwili odsunęła go na długość ramienia i spojrzała mu w oczy. Jego wzrok był jakby błędny i zamglony.

— Kocham panią! — powtarzał. — Kocham cię Julo... oczarowałaś mnie mała... tracę zmysły...

— Ja też kocham pana — szepnęła — ale... tak się całować nie dam.

— Daruj mi, już nie będę... Trudno mi się wstrzymać, gdy cię mam przed sobą.

Wonne żyto szumiało wokoło nad głowami, kłaniało się im w pas głęboko, a potem drwiąco wstawało, jakby się z nich natrząsało i znów się kłoniło. Patrzyli na siebie, trochę zmęczeni i trochę ździwieni.

— Nie mogę się jeszcze opamiętać, nie mogę zrozumieć, co się ze mną dzieje. Co to za czary?

— Kochamy się, panie Karolu. Oto czar i cud!

— Mów mi „ty", Juleczko droga, nie chcę być twoim szefem teraz.

Jula zapłoniła się.

— Kocham cię, Karolu...

Skądeś, z daleka, dobiegły ich jakieś głosy, ktoś szedł ścieżynką od ogrodu. Jula odwróciła się z żalem i poszła naprzód. Nie mówili już do siebie nic, brzemienni wzruszeniem chwili przeżytej. Serce Juli łopotało mocno i kolana dziwnie uginały się pod nią. Za chwilę wynurzyli się z żytniego morza, które nie przestawało falować za nimi i wyszli na łan buraków. Jak paciorki różańca nizały się zielone, wątłe roślinki w długie, niekończące się szeregi i biegły hen, w dał. W połowie łanu, w poprzek nich, legł żywy wał pstrych kiecek dziewczęcych. Na czworakach lazły robotnice naprzód, wyskubując niepotrzebne rośliny. Z boku, jak bicz nad niemi, stał polowy, grubą lagą kłując ziemię i krzycząc groźnie, jeśli która coś prześlepiła.

— Borsze tam, borsze, Marunia, deżeś sia zistała? Dywysia, Nastka, jak je twoja robota! Zjisty to umijesz, a praciowaty ne choczesz!

Pan Karol udawał wielkie zainteresowanie przerywką, mierzył kilka odstępów, czy były prawidłowe. Jula wyjęła notatnik i spisywała robotnice do raportu, lecz myliła się i po kilka razy musiała na nowo zaczynać.

Od tego dnia zmieniło się jej życie. Pan Karol nie unikał jej więcej. Szukali się nawzajem, a właściwie chwil, w których mogli być we dwójkę sami. Wówczas mówili sobie po imieniu, szeptali słowa, płynące z serc, brali się za ręce, albo też, jeśli mówili o rzeczach potocznych, patrzyli sobie w oczy głęboko i czytali w nich nawzajem swoją miłość. Czasem, gdy chwila była sposobna, brał ją w ramiona pan Karol, ale Jula zaczęła jakoś nagle wymykać się z tych objęć, unikała pocałunków. Zdarzało się, że topniała, jak wosk, w jego ręku, osuwała mu się w ramiona

bezwładnie i nagle, z nies.ychanym wysiłkiem woli, odtrącała go gwałtownie, zasłaniała twarz i umykała.

— Nie to, nie to — szeptała zalękniona. Coś się w niej burzyło i kotłowało. Wraz z pełną świadomością uczucia, które nią zawładnęło, zaczęło w niej rosnąć i poznanie goryczy owocu zakazanego. W pierwszych chwilach nie zdawała sobie z tego sprawy, nie myślała o tem, że zmysły potężnie upomną się o swoje prawa. Nie z naiwności, ale z niedoświadczenia i z niezrozumienia tych spraw wystawiała sobie początkowo, że obcowanie z osobą ukochaną, porozumienie duchowe, wspólność pracy, częste rozmowy, przelotna pieszczota, mogą wystarczyć uczuciu, które w niej gorzało, i nie myślała wtedy o przyszłości. Miała przed sobą jeszcze pół roku bytności w Iwanówce z nim, obok niego, czy to nie dość? I sumienie jej było głuche. Taka miłość platoniczna, to nic złego, nikomu krzywdy nie sprawi. Ale bardzo szybko już zmysły zaczęły krzyczeć: „niedość, niedość!“. Jula zatrwożyła się. Coś rozpętało się w niej i ciągnęło z siłą lawiny naprzód, a z drugiej strony sumienie budziło się także i do głosu przychodziło: „oszukujesz, okłamujesz, czy chcesz i kraść?“ Prawa, szlachetna natura Juli wiła się z bólu pod razami tego bata. Jak zbita, uciekała do siebie na górkę i jęczała. Lubiła panią Alinę, ceniła jej niepoślednie cnoty, a znając ją i jej bezgraniczne przewiązanie do męża i dzieci, wiedziała, jakim ciosem byłaby dla niej niewierność Karola. Czasem egoizm i jakiś mylny rozsądek zwalczał te groźne wyrzuty: „nic złego nie czynisz, masz prawo do życia, bierz, co ci brać wolno, nie pytaj o resztę“. Wtedy jeździła konno z panem Karolem na dłuższe wycieczki, była swobodna, wesoła, żartowała, miała tysiące pomysłów, praca szła jej doskonale. Ale wystarczało, aby pan Karol, podniecony tem jej usposobieniem, przychwycił ją

gdzieś na uboczu i poszukał jej ust, a już burzył się cały gmach, zmysły ją opanowywały i traciła odwagę, a nawet czasem i chęć do walki. Coraz to bardziej czuła się zapędzoną w ślepą ulicę bez wyjścia. Zdawała sobie doskonale sprawę, do czego dąży Karol, u którego zmysły jeszcze większą grały rolę. Jemu, mniej jeszcze, niż jej, mogły wystarczyć słowa, spojrzenia lub przelotne uściski. Całą siłą zbudzonego żywiołu parli do siebie i do posiadania się nawzajem. Czasem z podświadomości Juli wytryskała gdzieś zabłąkana myśl: „A możeby rozwód i ślub ze mną?“. Ale odtrącała tę myśl, jako niedorzeczną, niemożliwą, szybko i zdecydowanie. Z dniem każdym dwoistość jej położenia, fałsz, w który się sama wgmatwała i brak wyjścia z tego fatalnego kręgu ciążyły jej bardziej. Wkońcu zaczęła jej świtać, jako jedyne wyjście, myśl wyjazdu i zerwania ze wszystkiem. Było to jej skądinąd bardzo bolesne, dlatego ociągała się z ostateczną decyzją, szukała kompromisu ze swojem sumieniem. Odwlekała krok nieodwołalny i żyła w ciągłych przeskokach z radości w rozpacz, z niewytłumaczonego wesela w smutek.

A pan Karol cierpiał i borykał się ze sobą na swój sposób.

Święto przysposobienia wojskowego w Uzarach.

Uzary, folwark, należący do pani Ohorskiej, a dzierżawiony przez pana Milczkowskiego, były ośrodkiem pracy społecznej w kamienobrodzkim powiecie. Ludność wiejska była tu przeważnie polska, od dawien dawna osiadła, wzmocniona żywiołem kilku świeżych kolonistów, przybyłych po woj-

nie. Szkoła polska szerzyła oświatę, ale głównie dzięki niezmordowanej pracy państwa Milczkowskich i miejscowego kierownika szkoły, pana Wronki, podnosił się stopień kultury, wzmagało się poczucie narodowe wśród ludu.

Starostwo oraz okoliczne obywatelstwo starało się jaknajbardziej ugruntować mury tej twierdzy polskości i ośrodka kultury, aby szeroko i mocno wokoło promieniować mogła. Stał już w Uzarach piękny, murowany dom ludowy, pracowało wydatnie kółko rolnicze, chów koni i bydła był na wcale wysokim poziomie, prowadzono poletka doświadczalne, gospodynie pod przewodnictwem pani Milczkowskiej zrzeszone były w Koło i szczyciły się również hodowlą rasowego drobiu, młodzież zaś gromadnie należała do przysposobienia wojskowego.

Dzień 17 czerwca przeznaczony był na uroczysty obchód, który miał być zakończeniem dwudniowych ćwiczeń oddziałów miejscowych w połączeniu z okolicznymi.

Państwo Milczkowscy zajęli się bardzo gorliwie przygotowaniami. Zainteresowano całe ziemiaństwo okoliczne, oraz szerokie koło obywateli kamienobrodzkich, gdyż postanowiono nadać tej uroczystości charakter manifestacji państwowo-narodowej. Od samego rana ogromne rzesze ludności wiejskiej z całego powiatu ściągały taborami do Uzarów. Rozkładały się wokół na zielonej murawie, dziewczęta w barwnych strojach kwitły, jak kwiaty i szeroko rozścielając spódnice, przysiadały na trawie w gromadkach; parobczaki, paląc papierosy, zbierali się razem i przybierając butne miny, z rękami w kieszeniach, spacerowali po ulicach wioski i po błoniach.

Jak zwykle, uroczystość zaczęła się od mszy polowej. Na placu gminnym ustawiono skromny ołtarz na podniesieniu, krzesła, przyniesione ze szkoły, za-

jęli starosta i władze powiatowe, osobną grupę two=rzyli ziemianie. W szyku stanęły oddziały przyspo=sobienia wojskowego, a wokół szeroko i daleko roz=lały się barwne rzesze ludu wiejskiego.

Pani Alina, z twarzą ukrytą w dłoniach, modliła się żarliwie. Była pobożna, a teraz, gdy niepokój ja=kiś niewysłowiony i smutek kamieniem cisnęły jej serce, bardziej jeszcze szukała oparcia i pociechy w modlitwie. Wyciągała błagalne dłonie do Boga, bo w rozterce nie wiedziała, co jej czynić wypada. Pra=gnęła, aby zło odwróciło się samo przez się, o to więc Boga prosiła. Kajała się przed Stwórcą: gotowa jest cierpieć, jeśli za jej winy spotyka ją kara, ale niech Bóg łaskawie uchroni od nieszczęść gromadkę jej dzieci. Za cóżby one karane być miały? „I jemu Bo=że daruj winy, z manowców go nawróć, Panie, tam go wszak zguba czeka, Mnie grzeszną oświeć, abym wiedziała, co mam czynić, aby go odzyskać dla siebie i rodziny. Starałam się zawsze być najlepszą żoną, je=stem gotowa życie mu ponieść w ofierze, czyż tego nie wie? Czy to już nie wystarcza teraz? Cóż mam czynić jeszcze?“

Dzwonek jęknął. Padł tłum na kolana, jak łan zboża, podcięty kosą. W blasku słońca, wysoko po=nad głowami pochylonemi, zajaśniała biała, przeźro=czysta Hostja, bezkrwawa, prześwięta Ofiara. Wy=ciągnięte wysoko dłonie kapłana przedkładały ją Panu Najwyższemu na tronie niebieskim, wszech=władnemu i wiecznemu Bogu, Sędzi sprawiedliwe=mu dla przebłagania i ubłagania. Z serc ściśniętych wytryskała falą modlitwa i płynęła do stóp Bożego tronu wraz z Chrystusową ofiarą. Dusza pani Aliny wpłynęła z niej także w górę i poniosła się na tej fali błagać Boga o łaskę i cud.

„Boże coś Polskę“ — zabrzmiała pieśń mocna, wyrwana z tysiąca piersi i rozkołysała się wokół,

poszła na łąki, hen daleko i zamierała cicho nad strumieniem. Pani Alinie zdawało się, że wprost z łona ziemi idzie jęk stworzenia przed majestat Stwórcy i łączyła się gorliwie z tym hymnem potężnym:

„Od nieszczęść, które przygnębić ją miały"...

Głos z ust jej, rozchylonych szeroko, płynął silny i donośny, a z nim razem wyrywało się z piersi jej serce. Pan Karol patrzał na żonę z boku:

— Dlaczego śpiewa tak głośno? — myślał rozdrażniony. — Zwraca uwagę na siebie. Ten siwy kosmyk włosów wymyka się jej zawsze z pod kapelusza. Jaka ona już brzydka i stara!

Poczuł pewnego rodzaju litość dla niej, ale tem bardziej stawała mu się daleką i obcą, irytowała go. Odwrócił się od niej niemal ze wstrętem i w tej chwili zobaczył wychylające się do niego z mgły oddalenia czerwone wargi i białe zęby Juli. Nie było jej tutaj, została w Iwanówce, a jednak widział ją dokładnie przed sobą, jakby żywą i obecną.

W grupie panów stał, w nienaganny, sportowy komplet ubrany, pan Piotr Szczerba Szczerbański. Przyjechał niespodzianie znowu na miesiąc polowania na rogacze, do swego przyjaciela, hrabiego Gaszyńca. Ręce założył na piersiach i spokojnie patrzył po zgromadzonych.

— Z polską szlachtą polski lud — myślał ironicznie. — Ładny obrazek, barwnie, bujnie i kraso, a dziewuchy niektóre wcale, wcale... Ta czarna tam ze wstążkami na plecach zupełnie niczego, temperament ma, ale musiałaby się wykąpać i włosy obmyć. Wszystko to bardzo piękne, sielankowe, ale nie pachnie. Wyjął chusteczkę, mocno przesiąkniętą „Eau de Polo" i przyłożył ją sobie do nosa. O, jest i Ida, pikantna kobieta, działa na mnie, trzeba już raz doprowadzić z nią do czegoś, nie będziemy się wciąż bawić w ciuciubabkę, głupie ceregiele!

Wzrok ich spotkał się nagle, uśmiechnął się do niej i skinął głową porozumiewawczo.

Pani Ładosiowa klęczała obok pani Aliny. Spostrzegłszy pana Piotra, drgnęła i przestała się modlić. Nie spodziewała się go tu widzieć, zaszumiało jej w głowie, działał na nią zawsze tak podniecająco. Wyobraziła sobie żywo swoje dalsze tryumfy: on będzie żebrał jej łaski, ona zaś będzie go dumnie wodzić w swoim rydwanie.

Po mszy św. i kazaniu ruszono ku domowi ludowemu, gdzie oczekiwać miano defilady. Sąsiedzi witali się, potworzyły się grupki, rozchodziły i nowe zbierały. Wielkie poruszenie sprawił przyjazd pana Piotra. Ze wszystkimi witał się serdecznie, jak z dawnymi znajomymi, każdemu umiał coś przyjemnego powiedzieć, każdego za serce chwytał. Oczywiście najbardziej zajął się panią Ładosiową.

— Vous n'avez pas changée, vous êtes belle comme le jour.

Pani Idzie śmiały się oczy i usta. Gra się zaczynała, ale trzeba dobrze siły skupić, bo czar partnera działa silnie, dowcip, wesołość, uroda. Ale! zawiedzie go jeszcze, dokąd sama będzie chciała.

— Gdzie pan spędził cały ten czas? Czy udawały się panu polowania?

— Opowiem pani wszystko, ale idźmy przejść się trochę. On étouffe ici! Tak tu jest gorąco przed domem.

I odciągnął ją na bok.

— Myślę, że pani pamiętała o mnie. Proszę się przyznać, że pani tęskniła za mną — mówił jej wesoło do ucha, gdy odchodzili ku łąkom.

— Cieszę się, że pana widzę, ale nie miałam powodu tęsknić za panem — odparowywała atak

Hrabia Gaszyniec witał się z panią Ohorską, która czuła się tu prawie gospodynią.

— Jakże pani idzie w gospodarstwie? Dzisiaj ludzie tak trudno dają sobie radę, a pani, chociaż kobieta, nie obawia się wszystko dzierżyć w swojem ręku.

Pani Ohorska odkryła w uśmiechu duże zęby i dziąsła.

— Sądzi pan, że kobiety są mniej zdolne do prowadzenia interesów?

— O nie, broń Boże, nie chciałem tego powiedzieć! Świat się feminizuje. Może się źle wyraziłem. Lepiejby było, gdybym był powiedział, że i kobiety nawet nie potrafią w dzisiejszych warunkach wygospodarować dochodu.

— Nie myślę, aby warunki dzisiejsze były takie, żeby już nie można było wśród nich końca z końcem związać. Przy oszczędności wszystko da się zrobić. Najgorszy mój kłopot to dzierżawcy, którzy się tak ociągają z płaceniem. Niech pan patrzy na tego Milczkowskiego. Zachciewa mu się społecznictwa, czas i zapewne mnóstwo pieniędzy temu poświęca, a z ratą zwleka. Czy to się nazywa uczciwość?

— Niech pani łaskawa będzie trochę wyrozumiałą. Pracuje społecznie, to prawda, ale pieniędzy na to nie traci, bo ich nie ma. Niech pani zechce zrozumieć, że dzisiejszy dzierżawca, nawet tak dobry gospodarz, jak Milczkowski, nie może zarobić grosza na dzierżawie. Mogę pani raczej pogratulować takiego dzierżawcy, który płacił dotychczas — to unikat. Przeważnie zalegają z kilkoma ratami, a nawet powiem pani, że jest ustawa, chroniąca dzierżawców. Niechże mu pani z własnej woli ulży i zniży raty, póki się tu jeszcze trzyma, bo gdyby musiał dzierżawę opuścić, byłoby dla pani gorzej.

Pani Róża, wlepiwszy wzrok w hr. Gaszyńca, słuchała zdumiona tej mocnej obrony, nie spodziewała się jej, poprostu nie wiedziała, co odpowie-

dzieć, ale, gdy odszedł, wzruszyła ramionami i zacisnęła usta.

— Widocznie prosił go o wstawiennictwo, ale nie przyda mu się to na nic, nie ustąpię! Niechby się nie bawił w przysposobienie wojskowe. Jeszcze mnie Zosia naciągnęła na beczkę kapusty na dzisiejszy obiad dla tych próżniaków. Prawda, nie była już całkiem świeża, ale zawsze mogły ją jeszcze u mnie zjeść świnki.

A pani Zosia Milczkowska rzeczywiście biegała między gośćmi i robiła honory domu, zapraszała do świetlicy, gdzie ustawiony był obfity bufet i gdzie panowie z miasteczka, spoceni i grzani, raczyli się już suto piwem, zakąskami i strzelali głośnymi dowcipami. Pani Zosia była fertyczna, żwawa, milutka, z każdym zamieniła parę grzecznych słówek, ale na miejscu usiedzieé nie mogła ani chwilki. Wciąż porozumiewała się z panem Wronką, to znów biegła do swoich dziewcząt, z któremi w tajemnicy przygotowała przedstawienie na dzisiaj i znowu wkręcała się między gości.

Pani Alina rozmawiała z jakąś kobietą, która trzymała mizerne dziecko na ręku.

— Co brakuje waszemu małemu?

— A czy ja wiem? Takie jakieś jest niezdarne, jeść nie chce, nie bawi się z innemi dziećmi...

Pani Alina pytała dalej, badała, radziła i przyniosła dziecku ciastko z bufetu, a potem wmieszała się w tłum bab. Umiała z niemi rozmawiać, jednać je sobie i lubiła ponad wszystko ten prosty lud, tchnący ziemią, wrosły w rolę, czerpiący z niej wprost swoje soki żywotne, niejako z niej się rodzący. A baby nuże jej bóle i kłopoty zwierzać — zapomniała pani Alina o swoich.

Sąsiedztwo zjechało się bardzo licznie, brakowało tym razem tylko państwa Kostrzyckich, (książę

z córkami bawił zagranicą). Natomiast przyjechali państwo Cerkawscy dosyć starym i zniszczonym wózkiem. Zrobili to dla córek, które teraz kręciły się, jak frygi, wszędzie, strzelając oczyma na prawo i na lewo. Pani Cerkawska zazdrośnie badała stroje pań, a mąż jej, udając, że go to wszystko nic nie obchodzi, palił krótką fajeczkę i stał na uboczu czekając, aż się ktoś do niego zbliży.

Przyjechał dziś nawet pan Wyszymirski i przyprowadził kilka koni. Podobno będzie brał udział w defiladzie. Wszyscy byli bardzo ciekawi tych pięknych koni i potrosze także dziwnego sąsiada, oryginała, który tak rzadko się udzielał, że wprost o nim zapominano.

Panowie zwartą kupą otaczali starostę, żywo mu coś przedkładając, a starosta, flegmatyk, odpowiadał wolno i uśmiechał się dyplomatycznie.

Nagle zaczęto wołać ze wszech stron: „Idą już, idą!". Starosta wysunął się na przygotowane dla niego podjum. Dźwięki marsza zabrzmiały i orkiestra, złożona z chłopców wiejskich, dmąca w kilka trąb i fletów, ustawiła się naprzeciw starosty. Tłum zakołysał się, wymiatając czysto drogę i ułożył się w dwa szpalery.

Od strony łąki wracał pan Piotr Szczerbański z panią Idą. Pan Piotr zacieśniał sieci. Pani Ida czuła się coraz bardziej osaczona. Trzepała się jeszcze, jak motyl w uwięzi. Nie mogąc już przejść gościńca, stanęli po stronie przeciwnej domu ludowego, przed którym całe ziemiaństwo i inteligencja zebrane były.

— Voyons Ida, ne faites pas d'histoires — mówił już do niej po imieniu i bez przerwy pieścił jej rękę, którą trzymał mocno w swojej dłoni, korzystając, że uwaga wszystkich skierowana była w stronę pochodu. — On se verra un de ces jours. Poco

mamy tak długo czekać i tracić najsposobniejsze chwile?

Pani Ida dąsała się.

— Vous me rasez, vous me parlez comme si vous ignoreriez, que j'ai un mari, et un bon garçon, allons!

— Mais qu' est-ce que ça peu bien faire â votre mari? Nie zrobisz mu żadnej krzywdy, a zresztą — il ne le saura pas.

— Je vous rendrai ma visite un jour que je serai a Paris et maintenant, voyons, laissez — moi. — Wyrwała mu rękę. — Niech pan patrzy tymczasem! — Nerwy jej drgały, odwracała uwagę w inną stronę, szukając uspokojenia.

Drogą w żywym szpalerze płynął już pochód: dziarskie, wesołe parobczaki, wszyscy z karabinami na ramieniu, wyrzucali sprężyście nogi, jak struny wyprostowani, patrząc karnie na przedstawiciela władzy i państwa. Szło to wszystko rytmicznie, miarowo, aż radowały się oczy. Przemaszerował cały oddział, a za nim szła konnica. Trzy szwadrony, a na czele pan Milczkowski, komendant, w mundurze wojskowym, na karym ogierze, silnym, o rozrosłych piersiach i zadzie potężnym. Falą spływała grzywa i ogon, czerwone chrapy rozdymały się, jakby żywą krwią tryskały, mocno spięty na munsztuku wyrzucał pyszny wierzchowiec nogi gwałtownie przed siebie, gryzł wędzidło, piana kapała mu z pyska. Pana Milczkowskiego czarne oczy błyszczały zapałem, zasalutował szablą po wojskowemu i przeprowadził swój szwadron. Na czele drugiego jechał pan Ładoś na siwej arabce, tańczącej lekko na munsztuku. Szyja jej cudownie wygięta, ogon daleko odsadzony, nogi cienkie i suche, jak u sarny, przebierają po ziemi. Szmer podziwu przeszedł po zebranych widzach, a pan Ładoś, uśmiechnięty, wesoły, tryumfujący, przypominał dawnego rycerza-szlachcica, który z hu-

morem i fantazją wiedzie swój hufiec na harce. Zasalutował zgrabnie, z wdziękiem i odjechał.

Trzeci szwadron prowadził długoletni, wytrawny kawalerzysta, pan Wyszymirski. Z naprężoną ciekawością śledzili go wszyscy: koń, kasztan, hunter pełnej krwi i rzadkich zalet, ogromnej miary, pod spokojną i doświadczoną ręką szedł równo, jak maszyna, uszy postawione naprzód, uważny na każde drgnienie jeźdźca. Budowa bez zarzutu, a o wspaniałych jego zdolnościach do skoku dawno już sława głosiła. Pan Wyszymirski, poważny i surowy, z zaciśniętemi szczękami, prowadził wolno i pewnie swego wierzchowca. Koń i jeździec, jak zrośnięci ze sobą, stanowili jedno. Harda duma i surowa zaciętość prężyła pierś jeźdźca. „Iść naprzód, dokonać dzieła, choćby po trupach — zwyciężyć!“ to mówiła jego męska postawa.

Oklaski rozległy się gromkie wokoło, lecz on nawet ich nie zauważył. Jego szwadron, zaopatrzony w kilka koni z jego własnej stajni, przedstawiał się najokazalej. Jeźdźcy rekrutowali się z dawniejszych, wysłużonych ułanów, trzymali się więc dobrze na koniach. Dziewczęta pokazywały sobie palcami najurodziwszych chłopców i śmiały się zalotnie.

— Patrzaj Marynka, Wojtek jedzie, ale fajnie!

— A o, Karol, tak jedzie, jakby na wesele!

— Gdzie, gdzie?

— A ondzie wo! Nie widzisz, czy co?

— Matko najświętsza, ażesz to Jasiek tam!

— Tyż się pryzyntuje!

Powoli odpłynęły szwadrony i tłum zakołysał się znowu. Teraz z kolei były przemowy starosty, hrabiego Gaszyńca, pana Wronki i jeszcze kilku innych. Potem na plac ubity przed domem ludowym wystąpiła grupa dziewcząt, ubranych z krakowska w czarne gorsety i wykonała kilka rytmicznych korowo-

dów ze śpiewami pod batutą ukrytej z boku pani Zosi. Najbardziej podobała się pieśń żniwiarek w wieńcach ze zboża na głowach i z sierpami w rękach. Tyle było wdzięku i falistej rytmiki w schylaniu się dziewcząt do żęcia, a potem w podnoszeniu wysoko błyszczących w słońcu sierpów, że nie było dość słów podziwu dla artystycznych pomysłów pani Zosi. Zakończyło się przedstawienie wesołą nutą dożynek, zafurkotały spódnice, rozwiewając się szeroko w żwawym, wirowym tańcu, białe ramiona łączyły się i rozplatały, nogi przytupywały równiutko, migały barwne wstęgi. Ruch, błysk, życie — wszystko drgało radośnie w tym tańcu i serca widzów, porwane w tempo tej radości, weselnie biły w piersiach. Grad oklasków posypał się zewsząd, a rumiane, zdrowe twarze dziewcząt, wyciągnięte teraz w jeden rząd, dla odebrania słusznych pochwał, śmiały się do gości białymi zębami.

Starosta uradowany, nie mógł się dosyć nadziwić, ściskał ręce wszystkim dziewczętom pokolei, hrabia Gaszyniec również. Pan Szczerbański żartował z niemi, tak, że salwy śmiechu wybuchały co chwila. Odszukano panią Zosię, gratulowano jej szczerze niezwykłego zupełnie widowiska, a ona, uszczęśliwiona, mrużyła oczka i powtarzała skromnie:

— Zdolne mam dziewczęta, gdyby nad niemi popracować, możnaby do ładnego dojść rezultatu.

Teraz zaczęto robić przygotowania do wielkiej uczty, na którą zaproszona była wszystka młodzież, należąca do przysposobienia wojskowego. Ustawiano więc stoły, wynoszono ogromne kotły ze strawą, stosy chlebów, gomółki serów i t. p. Obliczano poczęstunek na paręset osób, wszystkie więc domy ziemiańskie przysłały obfite zaopatrzenie w postaci prowiantów. Starosta i parę osób z pośród ziemian=

stwa i z Kamienobrodu mieli także dla solidarności uczestniczyć w biesiadzie, reszta gości rozjeżdżała się.

Przy pożegnaniu szepnął pan Piotr pani Idzie:

— On se verra bientôt. Good by dear!

— On se verra à Paris, good by! — z wyzywającym uśmiechem zabrawurowała pani Ida, ale czuła, że naigrawszy się z ogniem, opaliła już sobie trochę skrzydełka i nie tak pewna siebie, jak była godzinę temu, wsiadała do bryczki.

Łąka nad stawem w Czelatyńcach.

Ostatnie dnie czerwca. Sianokosy mają się ku końcowi. Na polach zbierają dziewczęta w kopice wysuszoną już koniczynę. Na łąkach pachnie siano. Dzień jest upalny, niebo bez chmurki, cisza i spokój w powietrzu.

Pani Ida na ładnym półkrwi arabku, łysym kasztanie, jedzie przez las. Czarny dress znakomicie opina jej zgrabną kibić. Czarne lakierowane buty świecą w słońcu, czarna dżokejka rzuca cień na twarz i odrysowuje doskonale łuk głowy. Jednem słowem, jest to elegancka amazonka, prowadząca świetnie konia i mogąca śmiało stanąć do zawodów na konkursach hippicznych w stolicy. Jej widok, samotnej, w lesie, na wyboistej drodze, jest raczej nieoczekiwany, tu możnaby prędzej spodziewać się jakiejś rozwichrzonej czupryny, wyniszczonych szarawarków, niedbałej na koniu postawy. Ale pani Ida jedzie na spotkanie z panem Piotrem i chce się podobać. Jedzie pierwszy raz w życiu na schadzkę, chociaż ma już 35 lat i przy jej usposobieniu jest raczej dziwnem, że nie miała schadzek dotychczas, tyle bowiem już razy wyzywała los i tyle razy kroczyła nad

przepaścią. Zawsze wiedziała, że w ostatniej chwili cofnąć się potrafi.

Tym razem jednak nie cofa się, przeciwnie, idzie naprzód, czuje się pokonaną. Choć... gdyby jej kto powiedział teraz w oczy, że jedzie zdradzić męża, plunęłaby mu w twarz, lub... zaniosłaby się od śmiechu. Wcale takiego zamiaru nie ma i nigdy nie miała. Jedzie się kąpać do stawu czelatynieckiego, jest gorąco, pasjami lubi pływać, a przytem, aby było weselej, ułożyli się z panem Piotrem, że będą się kąpać wspólnie. Czyż to nieraz ludzie kąpią się i pływają razem i nic jeszcze z tego nie wynika! Gdy ubierała się w amazonkę, wiedziała wprawdzie, że się to na czem innem skończyć musi. Kto zna pana Piotra, ten wie dobrze, że kąpać się z nim, to nie jest bezpiecznem i na niewinnem chlapaniu w wodzie on nie poprzestanie.

— Ale jednak — myślała — może właśnie nic nie będzie! Jadę się przecie tylko kąpać i w najmniejszym stopniu nie upoważnię go do niczego. Nie, napewno nic nie będzie. Poprostu nie dam się. Nie kocham go przecie zupełnie. Gdyby dziś odjechał, nie uroniłabym ani jednej łezki. A Kazio?

Tego Kazia traktowała zawsze trochę z góry, jak duże dziecko. Kochała go ongiś bardzo, był taki przystojny, wesoły i dziarski, ale kilkanaście lat wspólnego pożycia wychłodziło w niej silniejsze uczucia. Ten gorący, żywy chłopak, przedzierzgnięty w mężczyznę, nad wyraz popędliwego, a łatwowiernego w swoich sądach, nużył ją czasem, nie mogła się nigdy oprzeć poczuciu pewnej wyższości umysłowej, choć przyznawała mu zalety: wielką pracowitość, zmysł praktyczny w gospodarstwie i świetną znajomość swego zawodu. Mimo to, nie znajdowali wiele wspólnych stycznych. Jednym z powodów, dla których pozostawała mu wierną, była

jego wielka ku niej miłość, granicząca nieomal z uwielbieniem i całkowite jego zaufanie. Nie odważyła się dotychczas zawieść tego zaufania. Uważała się nawet za osobę wysoce etyczną i prawą, skoro mając tyle okazji, nie korzystała z nich i nie zdradziła Kazia nigdy — chociaż był to tylko taki Kazio... naiwny, dobry chłopak!

Toteż i dziś nie zstąpi ze swego piedestału cnoty i nietykalności.

— Nie zrobię ci krzywdy, Kaziu drogi, nie zawiodę cię, bądź pewny. Wykąpię się, popływam i wrócę taka sama, jak byłam — uspakajała pani Ida swoje sumienie i oddalała niesmak, który cisnął się jej do gardła i psuł całą przyjemność wycieczki. A przecież tak pięknie było wokoło! Wybrała drogę krótszą, przez las, choć bąki kręciły się i dokuczały okropnie Faraonowi, który miał już kark i boki całkiem pokrwawione, a ona musiała bez przerwy szpicrutką odpędzać uprzykrzone stworzenia. Jednak wolała chłód i cień lasu, niż spiekotę i jaskrawe światło gościńca. Cisza stała w lesie. Przez zieleń liści siały się złote, ruchome kręgi światła na ziemię, jechała jak po szczerych dukatach, niekiedy zagwizdał kos, tajemniczy majestat lasu rozścielał się dokoła, a ona gubiła się w nim, roztapiała i marzyła o tem, jakby to dobrze było teraz rozpłynąć się, zagubić i być jakby niczem.

Wjechała w boczną dróżkę, wydeptaną bosemi nogami. Gąszcz był tu zwarty, pręty biły ją po twarzy i musiała wciąż głowę przyginać do karku konia, liście szeleściły po jej butach, ale po chwili las się skończył, jakby urwał nagle. Przed nią leżała ogromna łąka, która obejmowała seledynowym pierścieniem staw. A staw w dali, jak tafla szczerozłota, lśnił i błyszczał w słońcu. Na łąkach rozrzucone były, niby grzyby, kopice siana. Ile ich było!

A jak pachniały! Wciągnęła mocno pełną piersią powietrze, koń parsknął.

— Od tego zapachu w głowie się mąci — pomyślała pani Ida i spojrzała w dal, na staw. Gęsta kępa olch nad brzegiem przecinała jej widok stawu na dwie części, łódka kołysała się na wodzie. Poznała odrazu, że pan Piotr już jest. Jaskrawa plama płaszcza kąpielowego majaczyła na ziemi. Podjechała do kępy.

— Hallo! — zawołała wesoło, lecz czuła, że głos jej drży.

Z jaskrawej plamy na ziemi oderwał się mężczyzna, napół nagi i stanął przed nią. Był piękny: mocny, muskularny tors spoczywał na nogach, silnie związanych, łydki i mięśnie na ramionach uwypuklały się dobrze. Wyglądał jak bożek, doskonały w proporcji i harmonji, który z Olimpu zstąpił poigrać z rusałkami do gaju.

Zeskoczyła lekko z konia, szedł ku niej z wyciągniętemi ramionami, kuszący, zdobywczy.

— Wiedziałem, że przyjedziesz, trochę późno, ale lepiej późno, jak nigdy. Do twarzy ci w tym stroju. — Zdjął jej dżokejkę z głowy i pocałował w usta. Ida uwiązywała konia.

— Przyjechałam się kąpać. Pan lubi pływać, nieprawda?

— Oczywiście, lubię.

— Ja także, pasjami. A woda dobra?

— Jeszcze nie próbowałem, czekałem na ciebie.

Odwiązywała od siodła mały pakuneczek ze strojem kąpielowym. Ręce jej drżały, straciła całkiem pewność siebie. Zalotność jej zwyczajna i wyzywająca postawa opuściły ją zupełnie, czuła się mała, bezbronna, niemal pokorna. O krok od niej stał Piotr i wciągał ją mocno w krąg swej magnetycznej fali.

— Nie traćmy czasu, rozbierz się szybko, ja ci pomogę. — I zaczął rozrywać jej krawat.

Odepchnęła go.

— Dajże spokój, sama się rozbiorę! — Pobiegła do szałasu obok, który służył jako ubieralnia i zatrzasnęła gwałtownie drzwi.

Pan Piotr leżał znowu na trawie i gwizdał wesoło.

— Teraz już mi nie umknie!

Gdzieś w górze, wysoko, ciągnęły kaczki, z tamtej strony stawu ciemnym pasmem rysował się gęsty park czelatyniecki, a w nim głęboko tkwił ukryty pałac hrabiego Gaszyńca. Panny wodne migały lśniącemi skrzydełkami nad wodą, komary skakały, znacząc na niej kreski, czasem żaba ciężko plusnęła, a czasem inna zarechotała z daleka. Pozatem było cicho. Wszystko wygrzewało się do słońca i poddawało się jego promieniom. Soki z ziemi wyciągały się w górę, wszystko pragnęło żyć i mnożyć się pod ożywczem, ciepłem tchnieniem.

Ida wybiegła z szałasu prosto do wody i zanurzywszy się w niej po kolana, zatrzymała się. I jej ciało było piękne. Długie nogi, pierś wysoka i krągła. Krótki, zielony trykocik zaledwie ją osłaniał. Schyliła się i zaczęła opluskiwać ramiona. Postać jej odbiła się w wodzie, a na tle jasnej tafli stawu rysunek cały nabierał takiej wyrazistości i estetycznej wymowy, że Piotr zerwał się, sięgnął po aparat leżący obok i zawołał:

— Poczekaj, sfotografuję cię tak. W tym seledynowym blasku jesteś naprawdę boska.

Zaśmiała się. Lecz już zatrzasnęła się migawka, Piotr odłożył aparat, podszedł do niej, ujął ją za rękę.

— Chodź, chodź do mnie.

Wyrwała mu się zwinnie, chlusnęła do wody i w tej chwili zaczęła pływać.

— Nie złapiesz mnie, nie złapiesz — zaczęła się z nim zalotnie przekomarzać i oddalała się szybko.

— Nous verrons ça! — odpowiedział, zły trochę i zanurzył się także. Płynął wolniej, lecz rytmicznie. Ida zmęczyła się prędko, wkrótce więc zrównał się z nią i płynęli czas jakiś obok siebie, klasycznym ruchem, kurcząc i wyprężając członki. Oboje zapomnieli o wszystkiem innem, poza rozkoszą pokonywania chłodnego żywiołu. Panowali nad nim, unosząc w górę dumnie głowy i królując mu niejako. Pieściła woda chłodno ich wyprężone muskuły, przelewała się im przez białe ramiona, a oni zagarniali ją pod siebie i wyciągali się na niej spokojnie i władczo.

Głębokie wdechy. Równo pulsuje krew w żyłach. serce bije mocno, lecz jednem tętnem. Płyną wciąż przy sobie, okrążyli staw. Nie mówią do siebie nic, tylko wciąż królują wodzie. Groźna ona, lecz potulna i dobra dla swoich panów. Może wchłonie w siebie żądzę krwi, ugasi ogień zmysłów, obmyje tych dwoje chłodną swą pieszczotą z grzesznych pragnień i oczyści z ziemskiego błota...

Po chwili leżeli obok siebie na rozrzuconej kopicy siana wonnej i miękkiej, rozciągając się w słońcu i podając swe białe ciała jego ciepłym promieniom. Co woda ochłodziła, to słońce rozgrzało...

— Siano pachnie zabójczo — mruknął Piotr, przymykając oczy.

— Rozkosznie jest —mówiła Ida, zarzuciwszy ramiona wysoko za głowę, przeciągając się jak kotka i poddając się pocałunkom słonecznym.

— Gdy tak leżymy teraz, w ciszy — ciągnęła po chwili — zdaje mi się, że czuję wokół siebie „Duszę Przyrody". Stoi nad stawem, nad łąką, nad lasem, wynurza się jakby z ziemi, tu, o, wszędzie wkoło nas i zagarnia nas wolno w siebie. Zlewamy się z nią

w jedno, jesteśmy tylko jej cząstką, gubimy się w niej. Wierzę, że wszystko na świecie ma swoją Duszę, a ta Dusza promieniuje z każdego ciała i zlewa się w jedną wielką „Duszę Wszechświata"... Czasem jestem panteistką — zakończyła, uśmiechnąwszy się i mrużąc oczy przed słonecznym blaskiem.

Piotr milczał. Kochał przyrodę, lecz działała na niego zwykle pobudzająco. Krew pod wpływem słońca rozgrzała się. Zmysły zeskrzepłe w chłodnej kąpieli, odtajały i poruszyły się. Ocknął się nagle i uniósł na łokciu.

— Nie lubię kobiet, które się bawią w filozofję! — rzekł twardo. — Nie chcę, abyś była „bas bleu", to najgorsze piły. Jesteś ładna, nie potrzeba ci zbyt dużo rozumu.

— Oszalałeś chyba! — żachnęła się Ida, jakby ją bąk uciął. — Winszuję, jeśliś przestawał z samemi głupiemi kobietami!

— Może nie wszystkie były głupie — mówił już z uśmiechem, spokojnie — ale nie chciałem i nie potrzebowałem ich rozumu — i spojrzał na nią lubieżnie. — Nie chcę słyszeć o duszy, ja wolę ciało. W całej tej pięknej przyrodzie, która nas otacza i o której mówisz, c'est la „Bête humaine" qui m'intéresse surtout, et quand le spécimen est d'une race supérieur, comme dans le moment donné, il m'éxite, il m'inquiète — mówił coraz ciszej i namiętniej. Ręka jego wysuwała się w kierunku Idy.

— Tu es belle, Ida chérie, je te veux.

Gorąca fala uderzyła na Idę. Serce jej załopotało mocno, drgnęły wszystkie nerwy, strzępy myśli, słów przemknęły huraganem przez mózg:

— Brutal, cynik, poniewiera kobietę, uciekać... Kazio...

Chciała się zerwać, lecz nie zrobiła najmniejszego ruchu. W jednej chwili uciekło jej wszystko z gło-

wy, mózg stał się próżny, dusza zamarła wraz z godnością, cnotą i wszystkiemi szczytnemi zasadami. Nie było tam już miejsca na krzywdę i poniżenie, bo podział miał być równy z kielicha rozkoszy...

I zatopili się oboje w szale namiętności, a „Dusza Przyrody“ nakryła ich swem opiekuńczem skrzydłem.

Żniwo w Iwanówce.

Pani Alina krzątała się około swoich codziennych zajęć w gospodarstwie domowem i na podwórzu. Towarzyszył jej nieodstępnie pies Tref, bo wiedział, że mu się często, gęsto, coś oberwie, a zwłaszcza koło lodowni, skąd codziennie mięso wydawano. Ponieważ to były już wakacje, więc ku wielkiej radości pani Aliny pomagała jej we wszystkiem Haneczka. To była już mała, mądra gosposia, która miała zmysł praktyczny, wysoce wyrobiony i wielkie zamiłowanie do tych zajęć. Wydały już obie kucharzowi na obiad, dopilnowały roboty płukania masła w mleczarni. Zwiedziły kurniki, Haneczka posypała ser z krwawnikiem małym indyczkom, które, żałośnie i cienko piszcząc, dziobały ją po rękach. Zajrzały do chlewków, pani Alina zbadała jakość i ilość karmy. Na tych zajęciach zbiegł cały ranek, była już prawie godzina dziesiąta, upał wzmagał się i stawał się coraz dokuczliwszy, pani Alina czuła się zmęczona. Od jakiegoś czasu robota jej nie szła już tak szybko i składnie, jak zwykle. Nie cieszyło ją nic, jakaś dziwna apatja i znużenie ogarniały ją coraz mocniej. Myślała czasem, że to wiek temu winien, miała już lat 45 i mówiła sobie, że trudno być zawsze młodą, żwawą i wytrzymałą. Musi wkońcu przyjść chwila, kiedy człowiek zacznie się już zesu-

wać po drugiej stronie góry życia. Może i tusza, którą przybierać zaczęła, tak ją męczyła i ociężałą czyniła, a może poprostu tylko ten upał we znaki się jej daje. Gdyby nie Haneczka i jej szczebiot wesoły, jej zwinna, lekka pomoc, jakżeby temu wszystkiemu dziś podołać mogła? Z wdzięcznością i szczęściem spojrzała na nią.

— A teraz, Hanuś, pobiegnij do kuchni i przynieś w koszyczku śniadanie, przygotowane dla Antosia i garnuszek niebieski. Pójdziemy do sadu, gdzie Maryś zbiera maliny na konfitury, nadsypiemy trochę do garnuszka i pójdziemy do żniwa zanieść to Antosiowi.

— Świetnie, matuś! Dziś Antoś jeździ na żniwiarce, napracuje się porządnie, to musi być głodny, jak wilk.

I jak strzała pobiegła do kuchni. A pani Alina czekała na nią, oparta o słup na ganku. W szerokim słamianym kapeluszu, w jasnej sukni, z której właśnie ściągnęła duży fartuch gospodarski, wyglądała jeszcze wcale pięknie, choć koło oczu nazbierało się trochę zmarszczek, a usta nie uśmiechały się już tak ciągle. Z pod kapelusza wysuwało się pasmo włosów, gęsto przetykanych siwemi nitkami.

Haneczka wybiegła żwawo z bocznych drzwi domu.

— Jestem, matuś, idziemy już!

Tref wyskakiwał radośnie i co chwila opierał łapy na jasno różowej sukience dziewczynki. W sadzie słońce prażyło silniej, drzewa owocowe, niskie, nie dawały takiego cienia, jak lipy w ogrodzie. Między drzewami rósł gęsty las malin, ulubione miejsce zabaw i chowanek dzieci. Pani Alina szła wolno główną ścieżką w górę.

— Ma-a-a-ryś! — wołała, a zaraz za nią Haneczka darła się w niebogłosy:

— Maryśka, Maryśka, dawaj tu maliny!

Z pośród gęstych prętów i liści wynurzyła się jasna głowa Marysi z wytrzeszczonemi oczyma i buzią, całą zasmarowaną na czerwono; w ręku trzymała ogrodowy wazonik, do połowy napełniony malinami. Pani Alina i Haneczka roześmiały się na głos.

— Bój się Boga, jak ty wyglądasz!

— A bo co? — wytrzeszczyła oczy jeszcze bardziej Maryś.

— Szkoda, że zwierciadła nie ma — śmiała się dalej Haneczka.

— Umalowałaś się, jak nieboskie stworzonko.

— E, co mi to szkodzi — wzruszyła ramionami i obtarła twarz dłonią, ale równocześnie pomalowała się jeszcze bardziej, gdyż ręka jej była cała czerwona od jagód.

Pani Alina z Haneczką śmiały się wciąż. Nagle załomotało coś w jabłonce nad ich głowami i nieoczekiwanie padł przed niemi na ziemię Stach.

— Ona jest, matuś, Helena Kurcewiczówna, która się kryje w oczeretach przed Bohunem, a ja jestem Bohun — krzyknął junacko — i wisz, porwę cię, Heleno! Zagłoba opuścił ciebie. Zmykaj, bo ci zabiorę twój garnek z malinami.

— Jak dotkniesz moich malin, to cię ugryzę — krzyknęła Maryś z daleka.

— Kobieto, puchu marny, umiesz się tylko bronić zębami. Wiem ja to, wiem, podła to obrona!

— Ja ich tu przyprowadzę — krzyknęła Haneczka, dając z kolei nura w maliny. Ale za chwileczkę już wyłaniali się wszyscy troje z powrotem. Maryś przyciskała mocno do piersi wazonik z malinami. Stach trzymał ją za łokieć, a Haneczka obie ręce wpiła w kołnierz Stacha. Wszyscy byli zziajani i mocno zarumienieni, a Stach perorował:

— Heleno Kurcewiczówno, mam cię w mojej

mocy, pójdziesz do niewoli, biorę cię w jasyr, a jeśli się będziesz opierać, to cię zabiję i zjem maliny.

— Głupi jesteś, Stachu! — padł nagle głos z jabłonki. Pani Alina spojrzała zdumiona w górę. Zosia siedziała z książką w ręku wśród najwyższych gałęzi.

— To Balladyna zabiła Alinę za dzbanek malin.

— Ot, mądrala nasza! Jaka tam Balladyna, jaka Alina! Alina, to mamusia. Wara ci od Aliny, jabym za Alinę dał się posiekać, ale Maryśka to jest Helena Kurcewiczówna, bo my się tak bawimy.

— Baw się Stasiu, jak chcesz — wtrąciła pani Alina — ale nie potrzebujesz szarpać sióstr, one są słabsze.

— Słabsze, słabsze, wiadomo! Umieją tylko gryść i drapać. Pazury, zęby, to wasza broń — i Stach wykrzywiał się tak zabawnie dziewczynkom, że roześmiały się wszystkie.

— Pokaż Maryś, ile uzbierałaś — pytała pani Alina. Niepełny wazonik? To niedużo, a po obiedzie mamy smażyć konfitury. Daj mi trochę dla Antosia — wyciągnęła garnuszek, a Maryś wsypała do niego ostrożnie wonne, miękkie, czerwone jagody.

— Nie nazbierałam dużo, bo mi nikt nie pomaga, jest tak gorąco... — żaliła się trochę płaczliwym tonem.

— Mógłbyś też Stachu trochę pomóc siostrze — mówiła pani Alina, ukrywając garnuszek pod liściem w koszyczku.

— Czy Bohun kiedykolwiek zbierał maliny? Gdyby mi mama kazała dzikiego ogiera dosiąść, albo wdrapać się na mury forteczne, tak o — i zwinny, jak kot, wspiął się na drzewo z powrotem — tobym zrobił to bez wahania — kończył już z pośród liści swoją junacką przechwałkę — i okryłbym się nie-

śmiertelną sławą. Ale nie każ mi, mamo, zbierać malin i prząść na kołowrotku...

— Jesteś dziki człowiek, urwisz, pyszałek, zuchwały smarkacz — wołały teraz wszystkie trzy siostry, a Haneczka, zbierając upadłe jabłka z ziemi, celowała wprost w niego.

— Odejdź — deklamował Stach z góry — bo strząsnę na ciebie pył z moich szat, a na tem wyjdą najgorzej jabłka, które padać będą na twoje plecy.

— Stachu, zaprzestań, bo rzeczywiście strząsasz jabłka — zgromiła pani Alina.

— Matuś, ja pomogę zbierać Maryśce — powiedziała Haneczka — za godzinę będziemy miały pięć kilo uzbierane, a po obiedzie usmażymy konfitury, dobrze?

— Dziękuję ci, Hanuś, zawsześ zacne dziecko i najmilsze. Jesteś moją prawę ręką, moją pomocą. Owszem, zostań tu w sadzie, ja pójdę sama do Antosia. Tref! — zawołała na psa.

— Ja idę z tobą, matuś — zawołał Stach i znowu zeskoczył z drzewa. — Kiedy Antoś będzie jadł śniadanie, to będę za niego prowadził żniwiarkę. I wywrócił parę kozłów na ścieżce przed matką.

— Nieokiełznany chłopak — uśmiechnęła się pani Alina — żywy, jak iskra, skąd się to bierze?

Szła wolnym krokiem, kołysząc się w biodrach i z przyjemnością patrząc na syna. Przeszli aleję lipową i zatrzymali się na skraju ogrodu. Przed nimi rozciągał się srebrny łan żyta. Tu było dzisiaj żniwo.

Żniwo, żniwo! Najpiękniejsza pora na wsi, kiedy ziemia płaci hojnie za trud, w nią włożony, a ludzie, pochyleni, kwapiąc się, zbierają pełnemi garściami owoce, które jej łono im wydaje. Słońce żarem zalewa, język wysycha, pot strumieniami spływa z czoła, a ludzie, niepowstrzymani, kwapią się i kwapią od

świtu do późnej nocy i w nocy jeszcze, aby zebrać to wszystko, co im daje ta matka ziemia i nie uronić nic, bo to skarb, to chleb. Całować trzeba ziemię, za jej dary, bo w nich jest życie i moc. Ręce omdle= wają, nogi uginają się, krzyże bolą, a ludzie pracują zawzięcie.

Pan Karol, który hen, z tamtej strony łanu, od bu= raków cukrowych, pilnował żniwa, myślał gorżko:

— Rodzi nam się zboże bujnie i pięknie, lecz co nam z tego? Nikt sobie nie ceni życiodajnego daru. Nie możemy go wymienić na to, co nam jest nie= zbędne, nie mamy za co wychować dzieci i kształ= cić je. Możemy conajwyżej żyć tym chlebem, tu, przy ziemi, na twardej roli. Nie dla nas zdobycze kultury i wynalazki. Uderzaliśmy w twarde łono zie= mi oskardami i pługami, rwaliśmy ją na strzępy i try= snęła nam obfitym plonem, a nam, niewdzięcznym, z żalu opadają teraz ręce, bo i co nam z tych plo= nów?..

Ciach, ciach, żęły dziewczęta i wrzynały się głę= bokimi zębami w łan. Tu żyto położyło się, bo było zbyt bujne, można je było brać tylko sierpami. Pan Przybyłowski dawał żąć na dziesiąty snop. Było dzie= wuch ze dwadzieścia, wszystkie w jaskrawych spód= nicach, okrągłemi biodrami wyrastały ponad zboże. Czerwone, zaognione nogi mocno wparte były w zie= mię, gdzieniegdzie łysnęło białe udo, a z otwartych koszul wychylały się zdrowe, jędrne, wiejskie pier= si. Czasem ponad głową wysoko błysnęło, jak złota smuga, pasmo zboża, które szerokiem kołem prze= kładała żniwiarka do snopa z drugiej strony. I ciach, ciach, znowu tak szybko połyskiwały sierpy, że tru= dno je było oczami uchwycić. Gdzie niektóra wy= prostowała się na chwilę, otarła rękawem pot z czo= ła, gdzie niektóra podeszła do wiadra, stojącego opo= dal z wodą i klęknąwszy, przechylała je do ust.

Od strony ogrodu, gdzie żyto stało prosto, Antoś prowadził żniwiarkę konną. Terkotały tryby głośno i przykro, z ponad kłosów tam, daleko, wyrastały skrzydła i zapadały kolejno w łan. Widać było grzbiety i głowy końskie, chłopaka na koniu, oraz kapelusz Antosia, aż obszedłszy dokoła zaczęty kawałek, zwróciła się żniwiarka bokiem do pani Aliny, która z przyjemnością oglądała kręcącą się wolno gwiazdę ze skrzydeł, wygarniającą co trzecie uderzenie pełną naręcz złotego zboża. Stach popędził cwałem do Antosia i dał mu znać, że matka czeka na niego, a sam wpraszał się na żniwiarkę, ale Antoś nie pozwolił. Kazał zleść chłopakowi i dać chwilę odpoczynku koniom, a Stach urażony poszedł do ojca pod buraki.

Pani Alina czekała na Antosia na granicy pola i ogrodu, w cieniu drzew. Z bezmierną miłością patrzyła na zbliżającego się syna. Przez tych kilka miesięcy, spędzonych prawie całkowicie na świeżem powietrzu, przy pracy na roli, rozrósł się i zmężniał bardzo, skóra na twarzy opaliła się na czerwono i stwardniała, rysy zaostrzyły się, jakiś wyraz nieznanej zawziętości i uporu przebijał się w pięknych oczach. Nie miał na sobie bluzki, tylko koszulę, otwartą na piersiach, przemoczoną potem i zabrudzoną. Zdjął kapelusz, dużą chustką otarł pot z czoła i karku, pocałował matkę w rękę i usiedli oboje nad rowem w cieniu. Zanim zabrał się do jedzenia, odpoczywał chwilkę.

— Dlaczego pracujesz tak ciężko, Antosiu? — mówiła pani Alina, czule patrząc na niego. — Nie potrzebujesz sam prowadzić żniwiarki. Zawsze to robił Mikołaj, dlaczego nie ma tego robić nadal? Tyle teraz bierzesz na siebie pracy, że boję się o twoje zdrowie. Nie podołasz temu.

— Czy matuś sądzi, że mi to nie służy? Czy źle

wyglądam? — I spojrzał na matkę, przelotnie się uśmiechając. — Mikołaj ma inną pracę, bo wiesz matuś dobrze, że musieliśmy znacznie ograniczyć ilość służby. Oszczędność, kryzys! Ci, co zostali, muszą pracować więcej, jak dawniej. Każda oszczędność przeprowadzona daje nam większą szansę utrzymania się na ziemi.

— Tak, ale co mają robić ci biedni, którzy zarobek tracą? Muszę dożywiać dwoje dzieci Karola Szymka, bo zginęłyby z biedy. — Litościwe serce pani Aliny buntowało się przeciw takim zarządzeniom.

— Niechby lepiej był pracował, nie możemy utrzymywać darmozjadów, tylko najlepszych pracowników! Gdyby nasze gospodarstwa rolne miały zostać jeszcze instytucjami dobroczynnemi, to już najlepiej odrazu wszystko oddać do komuny, lub państwu, niechby sobie samo radziło!

Wziął koszyczek z rąk pani Aliny i zabrał się do jedzenia. Milczeli teraz oboje. Pani Alina śledziła go z boku. Patrzyła na męski, silny jego kark, po którym pot wymył w kurzu jaśniejsze bruzdy, na kosmyk czarnych włosów, wiszący nad czołem i zadumała się.

Niepokoiła ją trwająca wciąż zmiana w usposobieniu Antosia. Z chłopca wesołego i beztroskiego stał się chmurny, zamknięty w sobie, milczący, w pracy zapamiętały, unikał ludzi, nie wyłączając matki, często rzucał słowo opryskliwe. Co mogło być tego przyczyną? Czy uczucie dla Juli, o co go dawniej posądzała, czy może co innego? Ale co w takim razie? I to co napawało ją największem przerażeniem, bo było daleko groźniejsze, niż miłość chłopca do dziewczyny — ostatecznie naturalny bieg rzeczy ludzkich. Od długiego już czasu widziała zbliżające się ku sobie niebezpieczeństwo z innej całkiem

strony i mętnie przeczuwała, że Antoś widzi je także
i że ta wspólna obawa łączy ich serca, ale nigdy nie
odważyła się mówić z nim o tem. Niewyczerpany jej
optymizm życiowy zawsze wahał się przed uzna-
niem jasno grożącego zła. Stale była gotowa wszyst-
ko darować, przebaczyć i zbagatelizować. To była
broń, z którą szła przez życie i która dotychczas ni-
gdy jej nie zawiodła. Macierzyńską wyrozumiałością
i cierpliwością zalewała wszystko i pogodnie dążyła
naprzód. Cierpliwość jej i dobroć zwyciężała za-
wsze, skłaniały się ku niej serca, a ona wierzyła nie-
odmiennie, że dobro musi zatryumfować samo ze
siebie, nie trzeba więc zbytnio złemu się przeciwsta-
wiać. Tak też i teraz, gdy spostrzegła się, że zadzierż-
gają się nici zbyt wielkiej sympatji między jej mę-
żem i Julą, wzywała pomocy i ratunku u Boga modli-
twą i zdawało się jej, że nic innego czynić nie powin-
na. Chociaż Karol unikał jej teraz widocznie i przyj-
mował niecierpliwie każdy jej objaw troskliwości,
darowywała mu to ochotnie, wierząc, lub chcąc wie-
rzyć, że to wszystko bez śladu przejdzie, że jego
sympatja ku Juli, to tylko kaprys starego dziecka
i, jako kaprys, tylko pobłażliwie traktowany być wi-
nien. Do Juli czuła żal w głębi duszy, wzmagający się
z dniem każdym, lecz walczyła z tem uczuciem męż-
nie, tłómacząc sobie, że jest niesprawiedliwa wobec
sieroty, boć przecie te ich spojrzenia, które czasem
przychwytywała, urywane słówka, częste spacery, to
tylko igraszki! Ostrzegał ją nieraz instynkt, że się
myli, że to wcale nie są dziecinne igraszki, a wów-
czas wielki lęk ściskał jej serce, ale nie znajdywała
w sobie bodźca do czynnej walki. Miała coś z natury
strusia, chowała głowę w piasek, zamykała oczy i nie
chciała widzieć wroga. Dla tejże przyczyny nie mó-
wiła o tem nigdy z Antosiem, choć przeczuwała, że
rozumie ją i nawet może mógłby jej pomóc. Tru-

chlała na samą myśl skrystalizowania swoich obaw w słowie. Żałowała jeszcze tych chwil złudzeń, w których zdawało się jej, że to wszystko jest głupstwem.

Teraz, gdy patrzyła na niego, przyszła jej nagle świadomość, że ten chłopak, nad wiek poważny i dojrzały, układa w duszy plan jakiś, zamiar wielki, który buduje wolno i w ukryciu, ale który niezadługo przejawi się w czynie i zapragnęła przebić ten mur milczenia i wejrzeć głęboko w jego serce.

Odłożywszy próżny koszyczek, leżał Antoś teraz, wyciągnięty na wznak, na trawie. Ramiona podłożył pod głowę i przymknął oczy. Przed nimi rozlany srebrzył się łan żyta, w części już stała szczotka ścierni, ale niezżęte jeszcze zboże, z pochylonymi kłosami, cicho i dostojnie czekało żniwa. Bezmierna cisza południowej godziny zachodziła nad pola i ogrody. Muchy tylko brzęczały i spędzone siadały znowu, co chwila, na spracowanych koniach i ludziach. Pani Alina powiewała gałązką nad głową Antosia. Nagle otworzył oczy i spojrzał na nią z taką wdzięcznością i miłością, że wzruszyła się i aby nie dać poznać po sobie zbyt wielkiej miękkości, zapytała szybko z uśmiechem:

— Gdzie ojciec?

— Po drugiej stronie łanu.

— A Jula co robi? — wypłynęło jej z ust mimowoli pytanie i w tej chwili pożałowała go. Zdawało się jej, że już kojarzy te dwa imiona, że już obawom daje wyraz.

— Nie wiem — odparł niedbale. — Sądzę, że w oborze, bo to pora podoju.

Zamilkli znowu na chwilkę, ale milczenie ich było pełne myśli i brzemienne w ciężkie słowa, które za chwilę paść miały. Antoś podniósł się nagle i oparł na łokciu.

— Mamo, ty musisz wymówić miejsce pannie Juli.

Cisza.

— Przecież ona tu jest niepotrzebna. Gospodarstwo może się doskonale bez niej obejść... przecież teraz ja jestem pomocą ojcu... poco nam ona? — jąkał się, nie wiedział jak sformułować swoją myśl, lękliwie spojrzał matce w oczy. Były szeroko otwarte, wlepione w niego z niewysłowioną trwogą, usta, wpół uchylone, nie mogły ułożyć się do żadnego słowa. Oto ukazano jej nagle niebezpieczeństwo, które czaiło się na nią w ukryciu przez tyle tygodni. Oto ono! Teraz zobaczyła je jasno, w pełni światła. Stoi przed nią groźne, wielkie, natrząsa się z niej. O, teraz jest już namacalne, niewątpliwe, okropne, teraz już trzeba się bronić, nie pomoże zawijanie oczu chustką, lub ukrywanie głowy w piasek. Jest, jest, wyzywa ją, a więc: do walki! Raptownie i nieoczekiwanie, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zbudzona, odezwała się w niej energja czynu. Z ociężałej trochę i jakby sennej pani Aliny wyrosła nagle lwica, gotowa walczyć w obronie swego gniazda. Walczyć teraz musi i nie cofnie się już! Nie zbywa jej na odwadze, a tembardziej, że oto do pomocy ma dzielnego sprzymierzeńca. Fala krwi zalała jej twarz, mimowoli prawie wyszeptała:

— Tak sądzisz, synku? — jakby jeszcze oczekując ostatniego potwierdzenia, ostatniego bodźca do walki, z której odwrotu nie będzie.

— Czy tak sądzę, mamo? — zawołał nagle gorąco. — Ja myślę, że to jest wprost konieczne. Ona *musi* stąd wyjechać jaknajprędzej!

I jakby bojąc się dalszej rozmowy, powstał szybko, nacisnął kapelusz na głowę, przeskoczył rów i poszedł do żniwiarki.

Jula w swoim pokoju na górce przebierała się do obiadu. Czyniła to zawsze bardzo starannie. Dbała o swój wygląd, a teraz może jeszcze więcej, niż zwykle. Umyła się zimną wodą od stóp do głów, włożyła jedwabną, seledynową kombinację i usiadła przed skromnem lusterkiem, aby się przyczesać, upudrować. Jej okrągłe ramiona, równe, gładkie plecy były odkryte, szyja smagła i szczupła, jak łodyga, zakwitała bujną czupryną kasztanowatych włosów. Była cała ponętna, jak kielich zamkniętego jeszcze kwiatu, obiecującego czar i rozkosz w swojem tajemniczem wnętrzu. Była teraz smutna i jakby zgaszona, ale spokojna, zebrana w sobie i pełna powagi. Po nieustających szarpaninach i walkach zdobyła się na krok stanowczy zerwania i wyjazdu. Przed kilku dniami napisała już do stryja z prośbą o zachowanie dla niej miejsca w Mogielnicy i zapowiadając swój rychły przyjazd. Teraz sprężyła się w sobie i napięła mocno wolę, aby wytrwać w tem postanowieniu, nie dać się zachwiać niczem. Świadomość ofiary, którą miała spełnić, podnosiła ją we własnych oczach do godności niemal bohaterskiej. Dziwnem tylko było, że teraz właśnie, mimo postanowienia, mimo ofiary dobrowolnej, czuła jakby rozgoryczenie i złość wobec pani Aliny. Każdy jej nerw drażniła ta osoba, którą dawniej lubiła, taka zawsze dobra i zdająca się, jakby o niczem nie wiedziała. Spełniała ofiarę, a w podświadomości jej drgała jakaś przekorna, bezsensowna myśl: „To przez nią, wszystko przez nią, a ona nawet nie potrafi ocenić mojej ofiary!“ Mimo to jednak nie chwiała się już w swoich zamysłach, tylko z wielkim smutkiem wyobrażała sobie chwilę rozstania.

Ktoś zapukał do drzwi, odłożyła pilnik, podniosła głowę, lecz skoro we drzwiach stanęła pani Alina, chwyciła obok leżący płaszcz kąpielowy i otuliła

się nim szczelnie, ruchem, który mógł być wywołany wstydem dziewczęcym równie dobrze, jak chęcią opancerzenia się przed nieprzyjacielem. Na twarzy pani Aliny malowała się powaga i surowość niezwyczajna. Jula sprężyła się w sobie w oczekiwaniu czegoś niemiłego.

— Przyszłam pani powiedzieć, że sądzę, iż pani u nas dłużej przebywać nie potrzebuje...

Głos jej był niezwykle twardy, chrapliwy. Długo w niej musiały kipieć uczucia buntu i urazy do tej dziewczyny, aby na usta jej, zawsze łagodne, takie ostre słowa wpływać mogły.

— Potrzebuję pokoju dla mojej kuzynki, która niedługo przyjedzie — próbowała trochę łagodzić ostrość pierwszego wystąpienia.

Lecz oczy Juli już błyszczały urażoną dumą, odrzuciła głowę wstecz, potrząsając swoją bujną czupryną i powiedziała:

— Pracuję u męża pani i jego rozkazom tylko podlegam.

Pani Alina stała chwilkę, zdumiona tą zuchwałą odpowiedzią, ale zaraz fala krwi gorącej oblała jej twarz. Podjęła walkę zaciekłą w obronie swoich najdroższych i nie cofnęłaby się już przed niczem.

— Pani daruje, ale domem rozporządzam na równi z mężem i głos mój jest w tej sprawie tak samo ważny. Sądzę, że obecność pani u nas w domu jest niepotrzebna i proszę, aby pani zechciała go opuścić. Zaręczam, że mąż mój wymaganiu mojemu nie sprzeciwi się. A więc... żegnam.

Obróciła się i wyszła z godnością, choć drgały wszystkie jej nerwy. Jula, oparta o toaletkę, stała nieporuszona, jak żywy głaz, lecz gdy drzwi zamknęły się za panią Aliną, zawołała wściekle przez zaciśnięte zęby:

— Chce pani ze mną walki? Dobrze, będzie ją

pani miała. Zobaczymy, która z nas silniejsza!

Już dawno przebrzmiał odgłos kroków po schodach, a Jula, nieprzytomna z gniewu, wygrażała pięścią w kierunku drzwi.

— Może wystawiasz sobie jeszcze, że jestem utrzymanką twego męża! Zapewne tak myślisz... Zobaczysz mnie wkrótce w innem świetle. Nie umiałaś utrzymać męża, a na mnie się ciskasz!

Biegała po pokoju, potrącając przedmioty, wprost w szale gniewu. Była w tej chwili ordynarna i pospolita, jak każda kobieta, która walczy o mężczyznę. Duma jej, do głębi urażona, przyciemniała zupełnie jej sąd i odebrała jej możność panowania nad sobą. Zapomniała, że przed chwilą zdecydowana była opuścić na zawsze Iwanówkę i zerwać z Karolem; chodziło przecież tylko o parę dni. Nie chciała burzyć tej rodziny, tak zwartej, nie chciała pogrążać w nieszczęście tejże samej pani Aliny, ani odbierać ojca dzieciom. Chciała sama ponieść ofiarę. I oto raptem nieszczęśliwe wystąpienie tejże słodkiej pani Aliny wali wszystkie jej zamysły. Rzucono jej rękawicę, więc staje do walki. Teraz już nie ustąpi. I ona ma prawo żyć i domagać się szczęścia dla siebie, tembardziej, że w jej ręku spoczywa jeszcze szczęście Karola. Ona mu je potrafi dać w pełni i na inny całkiem sposób, jak mdła pani Alina, która go nuży i od której on odwraca się z obrzydzeniem. Czy ona temu winna, że pani Alina nie umiała utrzymać męża przy sobie, że go zraziła? Czy ma jej teraz wspaniałomyślnie odstępować człowieka, który jej nie chce, a chce i pragnie tylko jej, Juli? Jak bańka mydlana trysnęły wszystkie jej zamiary. Nie ofiara, ale walka teraz potrzebna. Dobrze tak! Mosty spalone. Walka będzie jawna i zwycięska, bo zakończy się połączeniem ich dwojga na zawsze w jawnem i prawowitem małżeństwie.

Zmęczona opadła na łóżko, nerwy odprężały się powoli. Uspokoiła się troszkę. Zapukano do drzwi, nie dała odpowiedzi, ale przez przymknięte powieki widziała, jak weszła do pokoju pokojówka Hela z tacą w rękach. Położyła tacę na toaletce, spojrzała na Julę i zatrzymała się chwilę:

— Pani kazała przysłać obiad panience. Czy panienka chora?

Wzrok Heli był życzliwy, ale w głębi jasnych źrenic migotały ogniki niewyraźne. Domyślała się? Wiedziała? Współczuła? Ciekawa była? A może wszystko razem. Ale Juli już na tem nic nie zależało, co o niej myślą i jak ją sądzą. Odpowiedziała krótko i dość szorstko:

— Zostaw mnie Helu, zmęczona jestem.

Po wyjściu pokojówki siadła na łóżku i zaczęła zbierać myśli. Trzeba było coś postanowić, jakoś działać. Wśród chaosu nieprawdopodobnych pomysłów i projektów jedna, nieodparta konieczność narzucała się z całą siłą: wyjazdu natychmiastowego, bez pożegnania się z kimkolwiek. Tu, pod tym dachem, przebywać nie może już ani jednego dnia. Pole jej działania może leżeć tylko poza Iwanówką. Ale jak dać znać Karolowi? Czy widzieć się z nim? Nie. Nie uważała się teraz za dość silną, aby z nim mówić. Czuła się w okropnej depresji i wyprowadzona z równowagi duchowej. Obawiała się, że w tym stanie może powiedzieć słowa, których żałować będzie zawsze, że przedstawi się w najgorszem świetle, że straci władzę swoją nad nim, odkrywszy całkowicie swoją niemal zwierzęcą część natury, a czuła przecież dobrze, że ta chwila wzburzenia u niej minie i potrafi wówczas działać logicznie, spokojnie i konsekwentnie. Instynkt niezawodny mówił jej, że siła przyciągania jej nie zmaleje, ale raczej wzmoże się z oddali i że wszystko,

co zechce, potrafi przeprowadzić, chociażby z naj-dalszego punktu kraju. Teraz nie zostaje nic innego, jak uciekać z pod dachu swojej rywalki i nie przy-jąć od niej nawet tego marnego obiadu. Wyciągnę-ła kosz z kąta pokoju i gorączkowo zaczęła się pa-kować.

Czelatyńce.

Hr. Gaszyniec i p. Piotr Szczerbański siedzieli w głębokich, klubowych fotelach, przy czarnej ka-wie i wonnych cygarach, w bibljotece Czelatyniec-kiej. Obok hallu, był to ulubiony pokój hrabiego, spędzał tu dnie całe, o ile na wsi przebywał. Przez duże otwarte okno weneckie, wychodzące na taras, wpływało do pokoju ciepło i zapach ogrodu. Pani Gaszyńcowa odeszła wcześnie po obiedzie, gdyż spodziewała się przyjazdu gości na herbatę. Był to dzień jej imienin i wiedziała, że przyjadą złożyć jej życzenia: oboje księstwo, państwo Kostrzyccy, Ła-dosiowie, może pp. Przybyłowscy i pani Ohorska. Chciała zatem wypocząć przedtem i poszła do swe-go pokoju.

Pan Piotr trzymał w ręku wspaniałe różki kozła, którego upolował przed paru dniami. Teraz, z ka-wałkiem białej czaszki, odczyszczone i wygotowa-ne, przyniósł je właśnie Jan na tacy.

— Jeśli pozwolisz mi je zabrać ze sobą, kochany Michale, to będą jedne z najładniejszych w moim dość okazałym zbiorze.

— Oczywiście, weź je sobie na pamiątkę z Cze-latyniec, są naprawdę wyjątkowo piękne. Operlenie i grubość u nasady rzadko spotykane. Cieszy mnie to, że jednak taki okaz znalazł się u nas, bo tereny te nie są specjalnie dobre dla rogaczy.

— Sądzisz, że atmosfera, a może warunki nie sprzyjają tu rogaczom — mówił pan Piotr, uśmiechając się lekko i nie podnosząc oczu od rogów, które dalej starannie badał.

— Atmosfera poprawiła się bardzo na ich korzyść z twoim przyjazdem — pochwycił hrabia w lot niedomówiony dwuznacznik pana Piotra i spojrzał domyślnie i wesoło na niego. — Ale myślałem jednak o tych rogaczach, które żyją w lasach, a nie w domach sąsiedzkich.

— Cieszę się więc podwójnie, że miałem szczęście spotkać się z tym okazem na parę dni przed moim wyjazdem.

— I uśmiercić go. Pobyt twój w Czelatyńcach nie zostanie ci więc w pamięci jako całkowicie jałowy.

— O co to, to nigdy — zaprzeczył żywo pan Piotr i odłożywszy rogi na tacę, zaciągnął się mocno cygarem. — Przeciwnie, będę miał bardzo miłe stąd wspomnienia. Człowiek taki, jak ja, bez rodziny, bez majątku, gromadzi sobie skarb wspomnień. Wiesz, jak będę już stary i poprostu „do niczego", będę żył wspomnieniami.. Naprawdę, okolica wasza jest wcale interesująca.

— Nie wiem znowu, z jakiego punktu widzenia to określasz?

— Z punktu widzenia osób, które tu poznałem — i wypuściwszy mocny kłąb dymu, uśmiechnął się jakby do wizji, którą zobaczył i przymrużył oczy.

— I typów, może chcesz powiedzieć. — Hrabia dał upaść tym razem tematowi, który pociągał zawsze pana Piotra .

— Owszem i typów... bardzo ciekawe, uniosę je ze sobą w pamięci na szeroki świat. Taki Wyszymirski naprzykład, dziwak, uparty, jak kozioł, Wincenty Kostrzycki, przechwałek o szerokim geście,

żywiołowy Ładoś, wiecznie w ruchu i niezastanawiający się głębiej na żadną rzeczą. Owszem, owszem, cała galerja szlagonów typowych, znakomicie tkwiąca na tle wiejskim powiatu kamienobrodzkiego. A kobiety... — i nagle zaśmiał się głośno. — Cette Ohorska, elle me fait l'effet d'un sac vide de tout contenu physique et moral! Albo mogę ją przyrównać do kościanego dziadka, w którego dużych zębach trzeszczą słowa, jak orzechy, ha, ha, ha!

— Złośliwy jesteś!

— Broń Boże, oceniam z całkowitą bezstronnością, ale oceniam to, co widzę, a o tem, czego nie widzę, sądzić nie mogę. Ale macie i inne urocze kobietki: pani Zosia Milczkowska, to stworzenie pełne wdzięku, Lila Kostrzycka całkiem niczego, biodra, nogi pierwsza klasa, w stroju Ewy musi być śliczna.

— A pani Ida? — Hrabia Gaszyniec pociągnął cygaro i spojrzał z ukosa na Piotra.

Pan Piotr wolno podniósł do ust filiżankę czarnej kawy i odpowiedział dopiero po chwili.

— O ta, to już nie licuje do waszych szlagonów. Trochę inaczej ją ubrać, l'atticher un peu i w Paryżu mogłaby laury zbierać. Elle este très fine... Oh, la!

— Zaręczam ci, że długo tu nie zostanie. Życie ziemian na wsi bierze taki obrót, że nie da się pogodzić dwóch kierunków: życia towarzyskiego i intelektualno-kulturalnego z ciężką, żmudną pracą rolniczą. Żywioły, które się nie przystosują do tej grubej, wprost chłopskiej roboty, będą musiały prędzej, czy później emigrować do miast. Sądzę, że pani Ładosiowa będzie pierwsza uciekać z „pod płonących dachów".

— Zgadzam się zupełnie z twoim poglądem, bo jestem sam uosobieniem takiego ziemianina, który opuścił wiejskie zacisze, wprawdzie pod przymu-

sem i poszedł w świat. Tak, tak, życie na wsi jest pełne uroku, ale oglądane, jak w tej chwili, przez weneckie okno biblioteki lub ze stanowiska myśliwego w lesie. Ale jeśli się ma wstawać codziennie o godzinie piątej rano i na swoje ubranie zbierać wszelkie zapachy obory, to oczywiście zaczyna to być mniej zabawnem. Ostatecznie, my szlachta, jesteśmy klasą, już do pewnego stopnia wyselekcjonowaną i wyrafinowaną na podłożu nieskończenie długiej kultury wieków. Nie można chyba żądać od nas cofnięcia się na poziom chłopski. Uciekamy do środowisk, które są nam bliższe kulturą.

— Uciekamy — powtórzył głucho Gaszyniec i zadumał się. Nastała chwila ciszy. Poprzez niebieskawy dym z cygar patrzały zwysoka księgi, poukładane ciasno na półkach, na dwie małe, ludzkie głowy tam w dole. W żółte karty papieru zasuszone rozumy patrzały z góry na te dwa, jeszcze żywe mózgi i szczerzyły do nich martwe zęby. Było tu ich tyle i wiedziały tak wiele w swym spokoju i doświadczeniu stuleci, że drwiły z tego, jak dwa rozumy chciałyby rozwiązać palące kwestje społeczne, kiedy ich nigdy nikt nie rozwiązał.

— Lecz nie powinniśmy uciekać! — wstrząsnął się nagle hrabia Gaszyniec.

— Dlaczego?

— Bo stracimy wówczas wogóle wszelką rację bytu, przepadniemy wraz z naszemi tradycjami.

— Zasilimy naszą kulturą społeczeństwo miast i wsiąkniemy w nie. Przepadło! Już i tak nazwiska nasze przybierane są bezprawnie przez wszelkich drapichróstów: Potoccy, Gaszyńce, Leszczyńscy na kamieniu się rodzą. Nawet nie pytają już teraz „z jakichto Potockich?“. Trzeba jeszcze tylko umieć zagrać ostatnie atuty, wykorzystać to, czem się było,

a oprzeć się już na masie. Juljusz Cezar popierał stronnictwo popolari, chociaż pochodził z ojca patrycjusza i ten, co u nas jest pierwszym w kraju obywatelem, choć z rodziny senatorskiej, oparł się początkowo o socjalistów. Tylko ten utrzyma się, kto zejdzie ze szlaków utartych i pójdzie przebojem na nowe drogi. W ten sposób możemy jeszcze odegrać rolę decydującą i być przodownikami.

— „Heil dem starken Manne!“ — uśmiechnął się Gaszyniec. — Piłsudskich tuzinami nie wydamy. Musimy myśleć o szarym tłumiku ziemiańskim, który jest już i tak nieliczny i słaby, ale jeszcze jest i trzyma się kleszczami ziemi, bo widzi tu jedyny cel istnienia. Trzeba mu to ułatwić, pomóc w tej pracy.

— I ty się tem trudzisz, Michale? Niewdzięczna praca, owoców nie wyda. Żyjemy na przełomie dziejów. Czujemy wszyscy, że musi nastąpić przewartościowanie społeczeństwa. Klasy dolne pchają się ku górze, górne padają. Działo się to zawsze w ciągu wieków i dzieje nadal. Daruj, że się znów odwołam do starożytności, ale przypomnij sobie reformę rolną w Grecji za Solona, w Rzymie za Grakchów. Nic nowego pod słońcem!

Plutarch i Tacyt tam, na półkach wysoko, kłapali bezszelestnie zębami: „nic nowego pod słońcem“.

— Nie trzeba tylko brać rzeczy tragicznie, a umieć wyciągać z życia to, co ono nam dać może. Ja kocham kobiety, j‘aime les femmes!

— Wierzę ci, stary lubieżniku i może być, że twoja filozofja jest najlepsza, ale jak ty chcecz, aby i ziemianie wyciągali z życia i z tego, co ono im dać może, najlepsze, kiedy ono im nic innego nie daje, jak dzieci i płody rolne, z których narazie niema dużo pożytku!

— Ah, bah, il ne faut pas se marier, il ne faut pas avoir d'enfants!

— Patrz chociażby na tych Przybyłowskich! Czy uważasz, że sytuacja ich jest do pozazdroszczenia? Mają pięcioro dzieci. Możesz wprawdzie powiedzieć, że było to z ich strony nieroztropnością, lecz nie zmienia to postaci rzeczy. Dzieci są i trzeba je wychować. A teraz zaczyna się tragedja rodziców, których nie stać na wychowanie dzieci na poziomie ich stanu i tego, do czego sami byli przyzwyczajeni.

— Daruj, to absurd. Tysiąc morgów i to podobno niezadłużonych i nie stać na wychowanie dzieci?!

— A jednak fakt oczywisty. Powtarzam: na wychowanie według ich stanu. Mówiła mi pani Alina, że w tym roku wycofać muszą córki z klasztoru, a syna ze Lwowa, bo nie mogą posyłać z domu 600 złotych miesięcznie na ich utrzymanie. O ile dawniej można było zarzucić ziemiaństwu, że żyło czasem ponad stan i zaciągało długi, o tyle teraz mógłbym śmiało powiedzieć, że ogół ziemiaństwa żyje znacznie poniżej swego *stanu*, chociaż zapewne jeszcze powyżej swojej *możności* finansowej.

— Ale, ale, przypominam sobie, że mówiłeś mi coś o zakładaniu jakiejś spółki mleczarskiej w powiecie, wśród ziemian. Jakże się ta sprawa przedstawia?

— Nie tracimy nadziei, że spółka się zawiąże. — Hrabia Gaszyniec uśmiechnął się smutno. — Trudności wprawdzie piętrzą się różnego rodzaju. Ja wierzę jednak w energję i zmysł organizacyjny pana Balkego. Pertraktacje toczą się w dalszym ciągu. Bardzo znamiennym i pocieszającym jest także objaw, że zgłosiło się trochę bogatszego włościaństwa i podpisało udziały. Niestety, zrobiło zawód kilku

ziemian, pierwszy zapał ostygł już i wynajdują teraz rozmaite przeszkody i niedogodności spółki...*)

— Masz! Solidarność ziemiańska! — zadrwił pan Piotr. — *Nie umieją niczemu się podporządkować, oprócz przemocy. Oto ich główna, niewytępiona niczem wada!*

Hrabia Gaszyniec zamyślił się znowu na chwilę, a księgi dumały po swojemu.

— Wada, powiadasz? Co nazywasz wadą? Niema wady, ani zalety, tylko są czyny ujemne i dodatnie. Każda wada może być zaletą i odwrotnie, zależnie od tego, w jakich okolicznościach jakie czyny wywołuje. Najczęściej spotyka się ziemiaństwo z zarzutem braku solidarności. Skąd ten brak wypływa? Z poczucia niezależności, tkwiącego w ziemiaństwie od niepamiętnych czasów szlacheckich. Szlachcic czuł odpowiedzialność tylko wobec Boga, Ojczyzny i własnego sumienia, pana nie uznawał żadnego, nawet królowi urągał. Czasy się zmieniły, lecz stanowisko ziemianina na wsi nie uległo w tym wypadku zmianie. Jest panem niezależnym u siebie. Jeśli zapłaci podatek, świadczenia socjalne i odbędzie służbę wojskową, nikt nie ma prawa wtrącać się do jego podwórka, rządzi tam niby w małem państewku, dobrze lub źle, jak mu się podoba. Ta niezależność utrudnia mu wprawdzie skojarzenie się z drugim, ale ongiś była matką wybitnych ludzi, niespożytych energji, nieprzeciętnych zdolności, wydawała twórców. Dziś zaś stoi na zawadzie do rozumnej samoobrony. Trzeba jeszcze wziąć pod uwagę fakt, że domy ziemiańskie są bardzo szeroko rozrzucone po prowincji i wyjazd z nich jest czasem z powodu fatalnych dróg bardzo utrudniony, nie może więc to ułatwić zjazdów ziemian i wspólnej, solidarnej pracy.

*) W tem zdaniu kulminuje dramat powieści. (Przyp. wydawcy).

— Ale na polowanie, to z najdalszego kąta, gdy tylko trąbka zagra, zjadą wszyscy ławą!

Pan Piotr ziewnął, przeciągnął się i wstał.

— Mamy chyba dość tej dyskusji o ziemianach, chodźmy trochę do ogrodu.—Wyszli na taras. Przed nimi rozciągał się zielony, starannie strzyżony trawnik z jaskrawemi plamami pysznych kwiatowych klombów. Pani Gaszyńcowa stała w gaiku róż i nożycami ogrodowemi ścinała do koszyczka najwspanialsze remontanty.

— Pięknie jest u ciebie, Michale, nie widać tu wcale tej nędzy ziemiańskiej, o której mi wciąż bajesz. Chciałbym całe życie tu spędzić.

Hrabia Gaszyniec poklepał pana Piotra lekko po ramieniu.

— Masz słuszność stary, nie ma tu jeszcze nędzy i może Bóg da, nie będzie. Nie mogę jednak przerównywać się do przeciętnego ziemianina. Weź łaskawie pod uwagę, że miałem bardzo znaczną fortunę przed wojną, a i moja żona miała wcale pokaźny majątek. Dziś zaś mamy o dwie trzecie mniej. Kapitały straciliśmy zupełnie, a z czterech folwarków zostało nam tylko dwa i to zmniejszone nieco i okrojone. Gdyby nie stawy, które założyłem już szereg lat temu i które przynoszą nam ładne dochody, niebardzo wiem, jakbyśmy sobie radę dać mogli. Narazie wystarcza nam to całkowicie, ale wiesz, sądzę objektywnie — ciągnął hrabia Gaszyniec dalej, schodząc po kamiennych stopniach do parku — że te wszyskie nasze pałace, ogrody, folwarki nie stoją w żadnej proporcji do stanu naszego posiadania. Są przebudowane, są ciężarem, niewspółmiernym na nasze barki, dlatego naogół są zaniedbane i chylą się ku ruinie. Park na wsi, to jest luksus.

— Tak, tak, jutro będziesz pasł krowy na tra=

wnikach. Skoro nie chcesz parku, musisz to zużyć na pastwisko.

— Jutro jeszcze nie, ale może za parę lat...

— Ocal dla mnie wtedy tę „Maréchal Niel“ cudowną. Moja przyjaciółka ma śliczną willę pod Warszawą, tam przesadzimy te róże. Chodźmy do hrabiny, może wybiorę sobie jeszcze inne gatunki.

Hrabina podała mu kosz wspaniałych kwiatów. Woń, barwa, kształt misterny — jeden poemat. Wszyscy troje pochylili się nad koszem, wyjmowali ostrożnie kwiaty, poili się ich pięknem, wchłaniali ich woń.

— Dokąd, jeśli wolno wiedzieć — zapytała z uśmiechem hrabina —chce je pan zabrać?

— Zapytaj raczej dla kogo? — wtrącił hrabia.

— No tak, oczywiście, tylko nie chcę być tak niedyskretną.

— Ależ nie mam tajemnic: dla mojej przyjaciółki „en forme“, Mimi Valmore. Michał chce wypędzić krowy do parku, wobec tego muszę ocalić pani róże i dać im gościnne schronienie.

Hrabina zaśmiała się.

— Michał ma zawsze oryginalne pomysły, ale to zostaje zwykle w sferze teoretycznych rozważań, które zasilają obficie djalektykę salonową. Dziękuję zatem serdecznie za gościnę dla moich róż, narazie...

Nie skończyła, bo już od strony bramy wjazdowej potoczył się wygodny brek państwa Kostrzyckich.

— Jadą goście! — zawołała.

Wszyscy zwrócili się w kierunku nowoprzybyłych. Już pani Kostrzycka wylewała się z breku wraz z całą przesadną swą serdecznością i rzucała się w objęcia hrabiny.

— Wszystkiego najlepszego, droga Maryniu!

Niech ci Pan Bóg szczęści i los twój na najlepsze drogi kieruje. Choć ciężko nam teraz bardzo i nawet koni dobrych niema, powiedziałam Lili, że choćbyśmy piechotą przyjść miały w najgorszą drogę i z największego oddalenia — nie pozwolę sobie opuścić twoich imienin, droga Maryniu i muszę powinszować ci serdecznie.

Pani Gaszyńcowa odbierała z taktem i spokojem ten potok wymowy i mokre pocałunki na policzkach.

Z drugiej strony breku pan Szczerbiński podawał rękę Lili. Zeskoczyła lekka i śmigła.

— Comme un oiseau en vol! Hop la!

— Merci, je saute seule, j'ai des jambes assez robustes.

— Je le vois et de belles jambes! Czy mogę panią prosić, aby pani przyszła ze mną na chwileczkę obejrzeć wspaniałe róże, które właśnie zebraliśmy.

— A tout à l'heure, monsieur. Najprzód przywitam się ze wszystkimi.

Pan Wincenty wyskoczył również sprężyście z wózka, przywitał się z państwem domu i pogładziwszy czuprynę ruchem sobie właściwym, rozglądnął się wokoło.

— No i tak! — Miał minę, jakby chciał jeszcze powiedzieć: Co teraz będziemy robili?

— No tak! — pochwycił pan Piotr wesoło. Dzików narazie tu niema, może będą niezadługo krowy wśród drzew w parku, a wtedy przybywaj z Schönauerem!

(d. n.).

Amelja Łączyńska.